PAN POLICMAJSTER TAGIEJEW

JÓZEF MASKOFF

Pan Policmajster TAGIEJEW

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

ILUSTROWANA PRZEZ

MARCELEGO HARASIMOWICZA

LWÓW, NAKŁADEM „WIEKU NOWEGO“, 1905

Z DRUKARNI ZYGMUNTA HAŁACIŃSKIEGO WE LWOWIE.

CZĘŚĆ I.

I.

Co się dzieje nocą w miasteczku?

Rozległ się krzyk.

A potem cisza.

To był straszny krzyk z pod wtłoczonej w usta pięści, z piersi, na których ktoś przykląkł i dławi i dusi.

W wilgotnej nocnej ciszy przeleciał ten krzyk z oddali, ztamtąd, gdzie powoli toczyły się fale rzeki i gdzie niegdzie tliła się wysoko latareńka naftowa.

Za chwilę ponowił się ten sam krzyk.

Był słabszy, już jakby echo — jakby ktoś omdlewał wyczerpany — bez możności obrony, a nawet skargi.

Jękiem krzyk się zakończył — jęk ten posunął się prawie po ziemi, po kałużach zastygającego jesiennego błota, na którem liście, wywiane zdala od lasów i pól, jasne tarcze kładły.

I ucichł, skonał jęk — rozpłynął się w czerni, we mgle wilgotnej, w ciszy, w zgniliźnie liści.

Horski i Jania zaczęli iść śpiesznie — tak, że Klicki nie mógł im nadążyć kroku.

— Niech państwo się nie boją... — odezwał się młody człowiek — ja mam zawsze kastet ze sobą.

Sięgnął do kieszeni i założył na rękę kastet składany, opatrzony rodzajem sztyletu.

— W Krakowie, gdy wracam do domu z Bronowic, noszę go zawsze na ręku. — To mój najwierniejszy towarzysz...

Horski nic nie odpowiadał. Wziął córkę pod rękę i szli tak pod domami, omijając instynktownie wyboje i kałuże zastygłego błota.

Zdaleka rozjaśniała się trochę przestrzeń rynku, obramowana bielą kamienic.

Jedyny hotel świecił rozwartą bramą i kilkoma oknami na pierwszem piętrze.

Zresztą nie było nikogo.

Gdy mieli już prawie wchodzić na rynek, znów od strony wału, ciągnącego się nad Wisłą, doleciał najwyraźniej krzyk.

— Mordują!...

Klicki stanął.

— Może należałoby pośpieszyć z pomocą? Tam najwyraźniej kogoś mordują!

Lecz Horski pociągnął go szybko za rękaw.

— Niech pana Bóg broni mieszać się w te rzeczy...

— Ależ ktoś woła — mordują!...

— To trudno.

A Jania dodała:

— My już do tego przyzwyczajeni.

Klickiego ta obojętność niemile dotknęła. Wolałby widzieć w tej ślicznej dziewczynie mniej egoizmu.



— Może należałoby pośpieszyć z pomocą? Tam najwyraźniej kogoś mordują! (str. 8).

— Ale ja jestem nie tutejszy i do tego nie przyzwyczajony, więc pójdę z pomocą.

Natychmiast Jania wyrwała rękę z pod ramienia ojca i uczepiła się palta Klickiego.

— Panie Władysławie — proszę, nie idź pan tam! Pan nie zna tutejszych zwyczajów. — Pan nie wie, że to właśnie może zasadzka, aby zwabić kogoś na wał i tam obedrzeć i zamordować.

— Ależ ten głos rozpaczliwy...

— Pan nie wie. O n i wybornie naśladują nietylko ludzi, ale i zwierzęta.

— Kto... o n i?

Jania obejrzała się dokoła.

— Oni... policja — wyszeptała.

— Jakże to?... przecież oni są na to, aby właśnie ludzi bronili?

Horski zaczął się śmiać przeciągle.

— Może tam u was w Galicyi, miły panie — ale nie tu. — Chodźmy.

Mówili szeptem, jakby lękając się własny głos posłyszeć. — Dokoła cienie nieruchome chłonęły w siebie ich słowa.

— Bo... — zaczęła znowu Jania — pan nie wie, u nas policmajster...

Lecz ojciec przerwał jej szybko:

— Nie tu miejsce, proszę cię! Chcesz mnie znowu wpędzić w jaką biedę.

— Niema nikogo.

— Zkąd ty wiesz? Tu kamienie słyszą i donoszą — chodźmy!

Zwrócili się ku rynkowi i zaledwie uszli parę kroków, posłyszeli za sobą łopot nóg bosych, lecących w ich kierunku.

Przejął ich strach, bo wszystko tu dyszało jakąś grozą w tę noc jesienną — lecz szli dalej, jakby lękając się zatrzymać i czekać na to coś, ku nim z ciemni nalatujące.

Tylko Klicki zbliżył się ku Jani, tak, że na ramieniu swojem czuł zetknięcie się jej drobnego ramienia, odzianego w pluszowy żakiecik.

Kastet otworzył w pogotowiu do obrony i uczuł się prawie rad, że może temu dziewczęciu w tej chwili dać jakąś pewność bezpieczeństwa, gdy coś groźnego ku nim z chyżością pędziło. Łopot bosych nóg zbliżał się gwałtownie, coś jakby elastyczna ziemia odbijała te kroki. Było ich kilku tych, którzy lecieli. W ślad za nimi dały się słyszeć jakby jakieś brzęki o flizy, coś uderzało, jakby podkute buty. Wszystko to leciało gwałtownym tumanem i zdawało się walić idącym na karki.

Wreszcie prawie im z pod łokci wyrwali się i przelecieli dwaj ludzie bosi — odziani w jakieś nieokreślone, jasne odzienie. Jeden z nich był z gołą głową. Drugi miał okaleczoną rękę. Gdy biegli pędem koło Horskich i Klickiego — słabe światło latarni na chwilę oświeciło ich twarze. Jeden z nich był żydem, drugi był to młody, bezwąsy chłopak o ospowatej twarzy. Lecieli jak wicher i śmiali się tak, jakby ta gonitwa była dla nich zabawą.

Tylko żyd, który miał rękę skrwawioną, lecąc, owiązywał jakąś szmatą dłoń i palce, których krew broczyła ubranie i bruk.



Horscy i Klicki instynktownie rzucili się w bok do ściany domu przylgnęli.

Zaledwie zdołali się opamiętać, a dostrzegli z cienia nocy wysuwającą się sylwetkę policyanta, który biegł w kierunku uciekających.

Policyant rosły, silny, barczysty — biegł ciężko w milczeniu zupełnem. Zobaczywszy stojącą pod ścianą grupę ludzi, przyśpieszył kroku. Klicki rzucił się z pomocą.

— To mordercy! — wyrzekł — trzeba dopomódz do schwytania...

Lecz znów uczuł drobne ręce Jani, wpijające się w jego ramię.

— Proszę... niech pan się w to nie miesza!

Błękitne oczy patrzyły na niego tak wymownie

z pod skrzydeł czarnego kapelusika, usteczka drobne w podkówkę się układały. Tyle trwogi poczciwej było w wyrazie tej drobnej buzi, że Klicki pozostał znów na miejscu.

Przebiegający mimo nich policyant miał czas obrzucić ich długiem, nieufnem spojrzeniem. Zwłaszcza spojrzenie jego siwych oczu utonęło na chwilę w osobie Klickiego, badawczo i z dużą siłą.

Wszystko to załatwił ten człowiek w jedną chwilę z bystrością niezwykłą — widać było, że pragnie zapamiętać, kto mu na drodze staje. Załatwiwszy to, pobiegł dalej.

Bosi złoczyńcy tymczasem wydostali się już na rynek i tam migotali w jasności niepewnej, jakby duchy lekkie, z mgły utkane. Czarna sylwetka policyanta przecięła kilkakrotnie stalowe jeziorko błotne, w którem odbijała się melancholijnie samotna, płonąca na środku rynku latarnia.

I nagle ta sylwetka się zatrzymała i znieruchomiała zupełnie.

Horscy i Klicki wyszli na rynek i skierowali się ku kamienicy narożnej, prawie całej wygasłej i pogrążonej w ciemni.

Nad zaryglowanemi drzwiami sklepu Horskiego głucho wicher szarpał szyldem starym i obszarpanym. Gdy doszli do bramy, Horski spojrzał na ów szyld, szukając klucza od bramy w kieszeni.

— Uważajcie — wyrzekł — żeby wam to stare próchno na głowy nie spadło.

Jania zaczęła się śmiać wesoło.

— No, no, śmiej się... zobaczysz, że się szyld kiedy w taką noc rozleci.

— Czemu pan nie zmieni na nowy? — zapytał Klicki.

Lecz Horski rozłożył tajemniczo ręce i rumiana, okrągła jego twarz — typowa twarz „kupca“ z pokojem do śniadań — przybrała dobroduszny a zarazem wystraszony wyraz.

— N i e l z i a!... — wyrzekł tajemniczo.

Jania natychmiast powtórzyła gest ojca i buzię swoją nastroiła do tegoż samego wyrazu.

— N i e l z i a... — powtórzyła.

Klicki zdumiony na nich spojrzał.

— Cóż to znaczy po europejsku? — zapytał.

— Znaczy... nie wolno! — zachichotała Jania.

— Któż nie pozwala?

Miny Horskiego i jego córki przybrały jeszcze więcej tajemniczy wyraz.

— O n!...

— Ależ kto? Mówicie zagadkami, o n i... o n... kto?

— Skoro pan tu dłużej zabawi, to się dowie.

— Chętnie, choćby dlatego, ale ja pojutrze odjeżdżam.

Jania posmutniała i zaszyła się w swój wysoko postawiony bobrowy kołnierzyk...

— Dlaczego?

— Muszę... Pani wie... Atelier zostało samo. I tak trudno się było wyrwać...

Mówili na pozór obojętnie, ale dwie pary młodych oczu aż przeszywały się miłosnem spojrzeniem.

Horski irytował się, bo w klucz nasypane okruszyny nie pozwalały mu od razu otworzyć bramy.

— Skaranie Boże z tą dziewczyną... — zawołał nareszcie — uparła się, żebym do kieszeni zabrał pudełko z resztą cukierków. I ot okruchy się wysypały, a ja mam biedę z kluczem.

Jania przybrała żałosną minkę.

— Ach taciu — szkoda przecież cukierków...

— Mało się ich najadłaś w teatrze? Podczas przedstawienia nic nie robiłaś, tylko gryzłaś cukierki. Pan źle zrobił — dodał, zwracając się do Klickiego — że jej tyle słodyczy przyniósł. Zęby potraci.

— Przesądy, tatku...

— No, no — dobrze. Żegnaj się z panem, bo wreszcie brama otwarta.

Jania podała drobną rzeczywiście rączkę Klickiemu.

— Do widzenia — wyrzekła z uśmiechem — do jutra... Pan u nas je obiad? prawda, taciu?...

Ale „tacio“ już był w bramie. Zawrócił się jednak i wyciągnął szeroką, poczciwą rękę ku Klickiemu.

— No... naturalnie. Opowiadałaś mi tyle o-tem, jak to pan ciebie i wujenkę gościł i podejmował w Krakowie, jakeście wracały z Zakopanego, że przecież musisz się jakoś wywdzięczyć.

— A więc do jutra!...

I gdy „tacio“ porał się z zapałkami, aby drogę rozświecić, pewna mała rączka wysunęła się z bramy, znalazła się w rękach Klickiego i uczuła, że wąsy młodego człowieka były miękkie i bardzo miłe, gdy się tej rączki z całym ferworem dotknęły.

Za chwilę rączka znikła, brama zatrzasnęła się z łoskotem i tylko wicher szarpał starym zbutwiałym szyldem nad głową Klickiego.

Młody człowiek przypomniał sobie owe „n i e l z i a“ — wzruszył ramionami i zaczął iść wzdłuż muru w kierunku hotelu, w którym mieszkał.

Idąc tak w cieniu domów, był prawie niewidzialny i rad trzymał się tej czerni, bo chciał pozostać sam ze swemi myślami, które zuchwale tłoczyć mu się do mózgu zaczęły.

Opuszczając Janię, sądził, że główną impresyą tego dnia będzie jej uśmiech, jej spojrzenia oczów, dziwnie świetlanych, błękitnych, które od pierwszego spotkania w Zakopanem na werandzie w Kuźnicach tak mu się w serce wgryzły.

Lecz ta droga i nad wszystko miła dziewczyna była we wrażeniach jego w tej chwili przysłonięta. Coś silniejszego, coś bardziej groźnego, ogromnego wysuwało się ku niemu z tych czarnych zaułków, którymi cały rynek był poprzecinany. I ten jęk, dosłyszany od strony Wisły — ten jęk zdawał się stężały w powietrzu i ciągle omotywał go echem jakiejś okropnej, strasznej siły.

Co się tu tak żali? —

Co kona? —

Co jęczy? —

Co tak strasznością swoją pełza i życie dławi? Dlaczego głowy gną się ku ziemi? Dlaczego ci ludzie rzucają ciągle ukośne spojrzenia i nadsłuchują, jakby jakichś dla nich tylko zrozumiałych głosów?

Od wczoraj, od chwili przybycia Klicki doznaje

tego wrażenia. Otrząsnąć się z niego nie może. Gdy posługacz hotelowy stanął przed nim, żądając paszportu, on jeszcze obrażony, w palcie, w kapeluszu ofuknął się opryskliwie:

— Za chwilę!

Lecz posługacz pokornie, cicho tłumaczyć począł:

— Proszę łaski pana — my nie możemy inaczej wpuścić do numeru.

I ten ruch charakterystyczny rozłożenia rąk w smutnem tłómaczeniu.

— Nie wolno!

Ach!... więc i tu „nie lzia".

Paszport oddał, a chłop wziął go ostrożnie z nabożeństwem i wyszedł z pokoju zrezygnowany i przyjmujący zły humor gościa w imieniu rządu.

Lecz od tej chwili Klicki już poczuł, że mu spadła na kark szara, błotna zmora i że go dusi i dławi i męczy. Nawet przejasne oczy drogiej dziewczynki nie mogą odegnać tego czegoś „strasznego", co się po kątach miasteczka rozwłóczy, a nocą już wypełza, wstaje jak kłąb nagle zbudzonych żmij.

II.

Tajemnica Wakowlina i dwóch białych cieni.

Powoli zmierza Klicki ku hotelowi. Musi wreszcie wyjść z cienia, a że mu nie pilno, więc się nie śpieszy.

Na rynku niema nikogo.

Złoczyńcy, goniący ich policyant, wszystko znikło, jak zaczarowane.

Klicki zaczyna uczyć się chodzić cicho, stąpać bez hałasu, tak, jak tu czynią przeważnie wszyscy mieszkańcy tego dziwnego miasteczka.

Idzie cicho — laskę wziął w lewą rękę, prawą, uzbrojoną kastetem trzyma w kieszeni paltota.

Ciągle ma bowiem wrażenie, że ktoś poderwie mu się z pod nóg, że napadnie na niego, dźgnie go nożem.

Dochodzi do zaułku.

I słyszy szepty.

Jest to ciemna jama, zamknięta rozkopaną ziemią, na której migoce słabiuchno zatknięta na żerdzi latarka. Koło tej latarki ktoś majaczy. Lecz Klicki cofa się. Boi się teraz, gdy jest sam. Nie wie, czy ma iść. Szept dolatuje do niego dość wyraźnie.

Przylgnął do rogu kamienicy.

Namyśla się, czy przejść mimo zaułku, czy wrócić się i obejść rynek dokoła.

Lecz oto co słyszy:

— D a w aj p o ł o w i n u!

— Nic... to nie można. To jak? To dla nas obu połowa?

— C z o r t y p o h a n e, d a w a j p o ł o w i n u, a n i e t... n o...

Zaczyna się dzielenie jakąś koprowiną. Dzwoni drobna moneta. Białe cienie przysiadły przy latarce — liczą.

W cieniu ukryta wielka rosła postać wyciąga rękę.

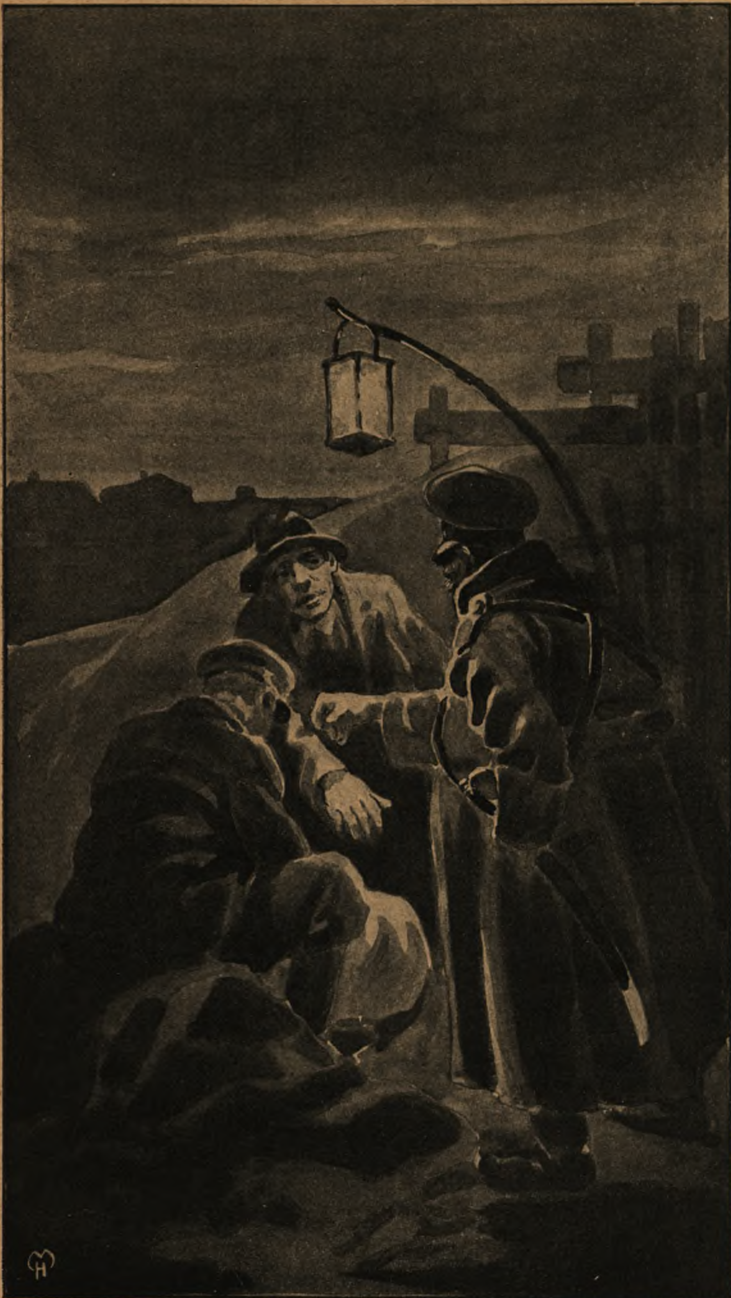
— N o... p a s k a r i e j e.

Jakieś westchnienia i znów brzęk pieniędzy. Klicki w jednej chwili rozumie sytuacyę. Uciekający złodzieje dzielą się łupem z kimś ukrytym w cieniu.

Mówi po rosyjsku, każe sobie dać połowę... Dział skończony.

Ciężkie kroki, pobrzęk szaszki i z zaułka wynurza się postać policyanta.

Klickiemu oddechu w piersiach nie stało. Cóż za bezprawie! Ogarnął go jednak wielki lęk. Przycisnął się do ściany i chciał w nią wrosnąć poprostu. Wolał wpaść w ręce tym dwom, z których jeden ociekł krwią, a drugi w biegu błysnął ku niemu szeregiem białych wilczych zębów — niż popaść w moc tego strażnika bezpieczeństwa, który roztaczał dokoła siebie cały krąg grozy i strachu nieokreślonego.



— Dawaj połowinu! (str. 20.)

Policyant stanął na chwilę — spojrzał przed siebie i nic w przestrzeni rynku nie dostrzegłszy, iść zaczął w przeciwnym kierunku.

I tak powoli idąc, zniknął w ciemności.

Z zaułka dobiegał znów szept:

— Ścierwo... wziął połowę!

— Boś frajer — było lecąc schować co nie co za pazuchę.

— Ny... jak było chować?... to było zawiązane na węzełek w chustkę. Jak się chłop zwalił na ziemię, to było wtedy rozwiązać.

— Kiedy psiajucha wrzeszczał.

— Ny — on może jeszcze wrzeszczy!...

— Trza go było z wału w wodę.

— E!... po co? Niech go najdą. Co nam do tego?

Jeden ze złodziei wstał i kilkoma susami wydostał się na wierzchołek kupy ziemi.

— Idę do „mamusi“ — bywaj zdrów parchu!

— Ja idę też...

Wskoczył i ten — migotali chwilę, jakby dwa leciuchne cienie — zesunęli się w jamę i znikli po drugiej stronie rowu.

Klicki zdrętwiały wysunął się wreszcie ze swego ukrycia.

— Zamordowali — myślał — może nie zabili, ale mordowali. Tam leży ten chłop, którego później obrabowali. Policyant się z nimi podzielił łupem. Ależ to coś okropnego!

Uczuł żal do Horskich, że nie pozwolili mu biedz na pomoc mordowanemu.

— Byłbym go może ocalił, a przynajmniej którego z nich kastetem naznaczył.

Ogarnął go wielki smutek na myśl, że to dla marnej koprowiny, uwiązanej w róg chusteczki, polała się krew i może konał w męce i bolu człowiek.

— Ależ... trzeba dać znać do policyi... niech idą go ratować... koniecznie...

Aż go podminowało to postanowienie. Zaczął biedz szybko w kierunku oświetlonej, hotelowej bramy. Dopadłszy do niej posłyszał cienkie tony skrzypiec, grających Tigrionka. Dragoni bawili się w restauracyi. Od czasu do czasu zrywał się zawodzący, bolesny tenorowy głos:

— „moj Tigrionok na bałkan!...“

Całe lata przetrwała piosenka, wyjąca o losach Tigrionka. I znów grały skrzypce, jakoś łkająco, dyskretnie — a tylko jak grzmot zahuczał nagle śmiech głosów męskich, jakiś brzęk tłuczonego szkła przedarł się przez szyby — i znów cisza, i znów łkające, rozśpiewane skrzypce.



W bramie na stołku skurczony siedział posługacz hotelowy, chłop milczący, małomówny, ciemny dziwnie na twarzy, a w koronie prawie białych włosów. Skulony, jakby zawsze czegoś strwożony, zharmonizowany był dziwnie z grozą, rozwianą dokoła.

Zdawał się drzemać, czy być tak pogrążonym w swoim wewnętrznym świecie, iż nie widział, jak Klicki wpadł do bramy.

Młody człowiek targnął go za ramię.

— Słuchajcie!... — wyrzekł — tam na wale zamordowali kogoś. Trzeba pośpieszyć z pomocą. Wyście tutejsi — co mam robić? gdzie się udać?

Posługacz podniósł na Klickiego senne oczy i widać było, że chwilę dłuższą przeżuwał usłyszane słowa.

— Na wale? — powtórzył.

— Ależ tak!

I w zgorączkowanie Klickiego wpadło nagle dziwne, pełne prawie obojętności pytanie:

— No to co?

Klicki na chwilę oniemiał.

Jakto? mord, rabunek, krew — a ci ludzie zdają się to przyjmować, jako rzecz zwyczajną, jako stan, nie wyprowadzający ich prawie z równowagi?

Co najwyżej w oczach przejawi się lęk, trwoga, ale to już o siebie, o swoich — o tę bliskość ludzką — a dal wyjącą odsuwa się i mówi:

— No to co?

Dziwne!

Jest to krótka chwila takich refleksyj. Klicki powraca do swego pierwotnego postanowienia z uporem sobie właściwym.

— Powiadam wam, że kogoś zamordowano... weźcie latarnie, zawołajcie ludzi — pójdziemy szukać. Idąc, damy znać na policyę.

Nic nie zdoła oddać wyrazu oczów, jakim wypełniły się źrenice posługacza, gdy usłyszał ostatnie

zdanie Klickiego. Była w tem ironia, lekceważenie i rodzaj litości nad zaślepieniem człowieka, który nie wie, co mówi.

— Cóż się na mnie patrzycie?... chodźcie, mówię wam — może być zapóźno...

Rozległ się cichutki skrzyp drzwi — za Klickim ktoś stanął. Klicki obrócił się żywo. Dostrzegł właściciela hotelu — Izaaka Feinbube — spokojnego, szpakowatego żyda, odzianego w długie watowane palto.

— On nie pójdzie, mój człowiek — wyrzekł powoli Feinbube — żaden z moich ludzi nie pójdzie... Ja tu już stoję od chwili w progu i słyszę, co pan mówi. Pan jest przyjezdny, pan nie zna naszych zwyczajów... Niech pan lepiej idzie spać!

Klicki zwrócił się teraz nalegająco do właściciela.

— Ależ dlaczego? skoro tam ktoś kona? Pójdziemy w kilku — nic się nam nie stanie. Weźmiemy policyę.

I na twarzy Izaka Feinbube wystąpił znów ten nieopisany wyraz ironii i litości nad zaślepieniem człowieka, który nie wie, co mówi.

A ręce wykonały gest, ten sam gest, który wrył się już w umysł swoją charakterystyczną rezygnacją.

— Nie wolno...

Klickiego energia wzrastać zaczynała. Uczuł chętkę walczenia z tą apatją, która leniwą, mętną falą błota zaczynała ku niemu występować ze wszystkich zaułków, z tych domów cichych i uśpionych, z gestów bezradnych tych ludzi o sennych, zrezygnowanych, strwożonych źrenicach.

— Skoro nie chcecie się tem zająć — to ja sam

się zajmę — wyrzekł stanowczo, zapinając palto — proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest policya.

— Ja panu radzę iść spać — powtórzył z flegmą żyd.

W tej chwili ze schodów zesunęła się cicho postać kobieca, owinięta w pled. Z pod pleda widać było biały nocny kaftanik. Włosy czarne, silnie ufryzowane, twarz blada trójkątna — oczy ogromne, czarne, ocienione rzęsami. Młode to było i nędzne, gdy tak stanęła pod światłem latarni oświecającej bramę. Podkowy pod oczami — zapadłe policzki wystąpiły jak skarga na przeznaczenie, na los.

— Panie właściciel — zaczęła prawie szeptem — czy pan ma mój paszport?

Izaak wzruszył ramionami.

— Panny paszport w policyi. Ja już mówiłem przez posługacza.

— Ale ja muszę jutro wyjechać. Ja mam śpiewać pojutrze gdzieindziej... Proszę mi oddać paszport.

— Nu... jest w policyi.

— Ja go panu oddałam. Niech mi go pan zwróci...

— Nu jest w policyi. Ja nic więcej pannie nie powiem.

— Niech pan go wydostanie.

Klicki już z góry wiedział, co nastąpi. Gest rezygnacyi i zupełnej bezsilności ze strony żyda.

A potem dobra rada:

— Niech panna lepiej idzie spać.

Lecz „panna“ zaczęła podciągać nosem i mruczeć coś — targać pled, aż wreszcie odwróciła się i poszła na górę, na schody.

Klicki mimowoli patrzył, jak drobna i chuda znikała w szarej ciemni wschodowej klatki, idąc z wysiłkiem i czepiając się poręczy.

— Proszowski!... — zapytał żyd posługacza — co oni tam o jej paszporcie powiedzieli?

— Oni powiedzieli, że Josełe z nią pogada.

— No... to niech Josełe z nią gada.

Klickiego to wszystko zaczęło niecierpliwić.

— Gdzie tu policya?

— Pan naprawdę chce tam iść?

— Naprawdę. Niech mi Proszowski pokaże.

Żyd z flegmą rzucił się ku drzwiom restauracyi.

— On panu nie pokaże, bo ja jemu nie pozwolę się w to mieszać. Ale tu jest taki jeden żydek, on pana zaprowadzi.

— No, to śpieszcie się... prędko...

Izaak zniknął w restauracyjnej sieni. Za chwilę tony skrzypiec umilkły.

Wówczas Proszowski postał chwilę, jakby się wahał, jakby walczył ze sobą — wreszcie zbliżył się do Klickiego.

— Proszę pana... lepiej niech pan z nimi nie zadziera, a potem niech się pan strzeże.

Otwarcie drzwi restauracyjnych przerwało słowa posługacza. Cofnął się w głąb bramy i przysiadł na krzesełku. Zdawał się zapadać w martwotę.

Tymczasem z restauracyi wypadł jak z procy nie duży rudy żyd — widocznie skrofuliczny, bo cały pozszywany, z długim nosem i wysuniętemi wargami, co mu nadawało podobieństwo do lisiego ryja. Pod pachą trzymał skrzypce. Na szary surdut narzu-

cone miał zniszczone palto, grube buty z cholewami zbłocone były, a błoto to zdawało się być przyschnięte i zeskorupiałe od wichrów.

Robił wrażenie czegoś bardzo nieczystego i zgniłego, chciało się go usunąć kijem z drogi, aby nie zetknąć się z nim wypadkiem, tak jego dusza ziała czemś szpetnem w liniach jego ryja — w szwach jego szyi, okręconej czerwonym wełnianym szalikiem.



Joseɫe Pinkas

Za nim szedł Izaak i Klicki został dopiero teraz uderzony kontrastem powierzchowności Feinbuba z rudym muzykantem.

Właściciel hotelu ze swą srebrnawą brodą patryarchy miał jakiś wygląd, budzący na pierwsze wrażenie uczucie zaufania. Nosił się czysto i z godnością. Sam nie uwydatniał tych zalet, w zestawieniu ze skrofulicznym niechlujem odbijał korzystnie.

— Josełe pana zaprowadzi! — wyrzekł, wskazując na rudzielca.

— Pan do policyi? — zapytał szybko Josełe — proszę, proszę, niech pan za mną idzie.

Wypadł z bramy, podkasał palto i zaraz chlupiąc nogami, wpadł w jak największą kałużę.

Obrócił się i rzucił Klickiemu zachętę:

— Proszę pana za mną!

Lecz drzwi restauracyi otworzyły się i pokazał się w nich oficer z rozpiętym na piersi mundurem, z trupio bladą twarzą.

— Josełe! prachwost ty etakij... Kuda ty diewałsia?...

Josełe ze środka kałuży usłyszał ten głos.

— Siejciaś waźwraściajuś... odkrzyknął — zmiękczając komicznie s i z.

— Pajdi siej czas zigrat', ty swinskoje ryło, Tigrionka.

— Siejciaś!

— Wot ryżyj diawoł uszoł!...

Oficer pokiwał się na nogach i wrócił do restauracyi.

— Niech pan idzie zaraz za Josełem, bo panowie oficerowie mogą się rozgniewać, że pan im zabrał muzykanta. Ja każę zamknąć bramę, a on tymczasem pana doprowadzi do policyi i zaraz się wróci. — To bardzo mądry i uczciwy żydek.

Klicki wyszedł na ulicę i zaczął się rozglądać w ciemności, nie mogąc już dojrzeć Joseła.

Tymczasem Proszowski zamykał bramę pośpiesznie, aby utrudnić dragonom wydostanie się szybkie na ulicę.

Klicki stał na trotuarze, nie mogąc się zoryentować, w której stronie jest jego przewodnik.

— Pst... pst... — dało się słyszeć w ciemności.

— Czy to Josełe? — zapytał Klicki.

— Tak, ja. Niech pan idzie.

— Nie widzę was. Nie wiem, gdzie jesteście.

— Aj... aj... Dlaczego ja pana widzę? Ja wszystko widzę w nocy, jak we dnie. Ja panu zagram co po cichutko, to pan pójdzie za skrzypcami.

— Po co?

— Bo ja nie mogę wyleźć z ciemnościów. Tam dragony mogą mnie zobaczyć, oni się do lufcików dobierają.

Rzeczywiście przy oknach restauracyjnych zapanował jakiś ruch.

Cieniuchne toniki skrzypiec leciuchno wionęły Tigrionkiem. Zaledwie to brzęczało w wilgotnej przestrzeni. Klicki zmiarkował, że dochodziły z pod domów na lewo. Skierował się w tę stronę. Tony umilkły. Ponowił się szept.

— Dobrze wielmożny pan idzie... tak... tak...

Klickiego owionął nieczysty odór.

— Proszę ze mną... — mówił Josełe tuż przy Klickim — ja wezmę pana pod łokieć, bo znów się zgubimy...

Ze strony hotelu doleciały przez otwarte lufciki rozpaczliwe wołania:

— Josełe!... pajdi siejczas!... Josełe!

Lecz Josełe już nie reagował na te wrzaski i prowadził Klickiego, który odwracał głowę, aby o ile możności zaczerpnąć jakiegoś możliwego powietrza.

— Josełe!... Jo... se... łe!...

Skręcili na prawo w uliczkę, pełną wybojów.

Klicki zaczynał doznawać wrażenia, iż wchodzi na jakiś niebezpieczny teren, lecz nie chciał sam przy-

znać się przed sobą, iż to niebezpieczeństwo jest mu przykre i straszne. Przeciwnie, zaczął się podniecać nerwowo i przywoływał z głębi swego sumienia to, co nazywał poczuciem obowiązku.

— Powinienem to zrobić — myślał, zdając się na łaskę i niełaskę cuchnącego stworzenia, uczepionego jego paltota.

Szli chwilę w milczeniu, wreszcie Josełe pierwszy mówić zaczął.

III.

Josełe Pinkas.

— A po co pan chce iść na policyę?

— Tobie co do tego?

— Nic... ja tylko tak z ciekawości. Bo jeżeli pan chce do samego policmajstra, to on już śpi, a jak do sekretarza, to un już także śpi.

— To się obudzą.

Josełe umilkł i idąc, podskakiwał tak, jakby nie mógł ani na chwilę utrzymać jednej linii nieprzełamanej ciała.

— Uni nie lubią, jak się ich budzi — wyrzekł wreszcie. — Uni są z tego bardzo niekontentne.

Klicki wzruszył ramionami.

— Mnie to nic nie obchodzi!

— Ale uni się mogą na pana pogniewać.

— Tego im nie radzę. Ja się ich nie boję! Ja nie tutejszy — ja sobie z nimi dam radę.

Josełe zaczął cmokać.

— To... to... Pan jest gorączka. Mnie mówił Feinbube, że pan wedle jakiegoś krzyku, co był na wale... Ale to proszę pana u nas tak po nocy często koty krzyczą, albo dziewki.

— Nie, nie — to było co innego.

Klicki, idąc tak w ciemni z tym żydem, miał coraz dziwniejsze wrażenie. Nie widział go, a przecież go widział doskonale. Ta chwila, podczas której ujrzał go wychodzącego ze drzwi restauracyjnych, a potem na środku kałuży pokurczoną sylwetkę ze skrzypcami pod pachą — wbiła mu w pamięć każdy szczegół tej postaci. I nie dziw, że Klicki odtwarzał pamięciowo ruchy i całość Joseła — on go teraz widział w ciemności, tak, jakby jakaś nadzwyczajna siła promieniowała od tego człowieka i oświetlała go i czyniła z niego to coś niezwykłego, co się tylko w kręgu wewnętrznego świata w chwilach przeczulenia dostrzega.

Więc Klicki czuł, jak te obojętne na pozór pytania wykrzywiają twarz Joseła. On widział jego mruganie oczów i to nerwowe drganie, przelatujące mu sztychem pod skórą. Widział to i postanowił strzedz się owego muzykanta. Postanowił nie mówić mu nic ani o sobie, ani o tem, z czem do policyi idzie.

— Ja, proszę pana — zaczął po chwili Josełe — tak samo raz w nocy wracałem i słyszałem takie krzyki. Zaraz poleciałem do policyi, dałem im znać. Pan policmajster zaraz się odział w mundur i w szynel — bo to bardzo porządny policmajster — i poszedł tam, gdzie krzyczeli. I to były pijane dziewki z żołnierzami. Une się z nimi kłóciły — a uni się po mordzie bili... Tak pan policmajster zgniewał się na mnie za to, że go zbudziłem... Un bardzo się gniwał...

— No, ale na mnie gniewać się nie będzie.

— Nu, może pan ma i racyę — może tam i kogo zamordowali.

— Jakto... może?...

— Nu... bo gdyby pan widział, jak uciekali, to...

— Pewnie, że widziałem!

Te słowa wyrwały się mimowolnie Klickiemu. Josełe podskoczył, jakby się potknął o kamień.

— To inaksze... — wyrzekł z namysłem. — Ale to może nie uni mordowali. — Pan mógł nawet widzieć krew, a to przecie jeszcze nie to. Takiemu mogła krew z nosa skapać.

Klicki milczał, lecz czuł, że ogarnia go w tej chwili ogromna chęć wygadania się.

Jest to uczucie, znane osobom, które były w sądzie badane. Jest wtedy w nas rozdwojenie sił. Jedna siła każe nam milczeć i omijać pewne kwestye — druga siła, jakaś przekorna, rozpętana, dziwna a przecież niezwalczona, każe właśnie to ukrywane wypluć ze siebie jak najśpieszniej, dławiąc się poprostu tem ukrywaniem tego, co swem niebezpieczeństwem zdaje się nas przeżerać do głębi.

I teraz Klicki zaciskał tak rękę dokoła kastetu, że aż kolce wpiły mu się w dłoń.

Próbował fizycznym bolem zwalczyć moralne wrażenie wyrzucenia ze siebie potoku słów, któreby mu ulgę przyniosły.

— Choć to z nosa — zaczął znów Josełe — krew leje się po giembie i zaraz to widać. Pan dobrodziej widział, że mu się krew po giembie lała?

— Nie.

— Ano... to po ręki? czy po ubraniu? Pewnie

po. ręki. — A dlaczego pan dobrodziej go nie zatrzymał? — Uni prędko biegają, ale ich można dogonić.... Nie?... Pan dobrodziej ich nie gonił?... Ich może policyant gonił?

Klicki parsknął śmiechem.

— A gonił ich!... — zawołał — ładnie ich gonił!...

— Bo on trochę gruby — jemu ciężko. Bo to gruby ich gonił. Un tam stoi zawsze w nocy na wale. To un ich musiał chcieć złapać...

— A... chciał ich złapać!

Josełe roześmiał się cicho.

— Takiemu grubasowi to się i nie chce łapać po błocie... Un jest porządny człowiek, tylko się zatył...

— To jest łotr...

I to wyrwało się znów z ust Klickiego prawie bezwiednie. Posłyszał swe słowa dopiero wtedy, gdy je wymówił. Zdawało mu się, że ktoś wyciągnął mu je przemocą z gardła. Chciał zatrzeć to wrażenie i odezwał się zaraz:

— Daleko jeszcze?... dlaczego się tak wleczemy?

— O tu... za rożkiem... Ale dlaczego pan dobrodziej mówi, że Wakowlin to łotr? Ja wiem o nim co nie co... ale un dobrze jest widziany.

Zamilkł na chwilę i dodał zupełnie dobrodusznym tonem:

— Może ja nie wiem — może un się tak ukrywa. Ja jestem głupi. Znam grać na skrzypcach i to mój zarobek. Ja Wakowlina znam tylko tak, z wału, z policyi. Un mi się wydawał uczciwy... Aj! aj! jaka szkoda, że un dziś taką paskudną rzecz zrobił i że

go przytem pan dobrodziej widział... Aj! aj!... To jemu bardzo zaszkodzi u pana policmajstra — a un ma dzieci i żonę.

Przystanął na trotuarze i przytrzymał za rękaw Klickiego.

— Może pan dobrodziej nie powie nic panu policmajstrowi? Un go wypędzi, bo un jest bardzo karaktierny...

Klickiego ogarnął upór.

— Właśnie że powiem.

— Chociaż nie wszystko.

— Wszystko powiem. I to, że źle ścigał złodziejów i to, że się z nimi dzielił pieniędzmi...

Chwileczka zapanowała milczenia. Klicki jasno zupełnie dojrzał siebie i Joseła, jak stoją naprzeciw siebie i mierzą się w ciemności oczami. Był to blask jeden, nadzwyczajny. Klicki po wyrazie Joseła dostrzegł, że powiedział rzecz ogromnej wagi, bo drgawki nerwowe aż wykrzywiły lisi ryj, a oczy latać, jak na sprężynkach, zaczęły.

Klicki zrozumiał, iż stało się coś nie do naprawienia — coś, czego może pożałować całe życie. Sięgnął jednak znów na dno swego sumienia i wygarnął z niego wszystek zapał, jaki miał dla wypełniania społecznych obowiązków.

Wygarnąwszy — okrył się nim, jak płaszczem. Pocieszył się, bo miał go dostateczny zapas. Ogrzał się i umocnił.

Tymczasem Josełe powrócił do równowagi.

— No... skoro pan dobrodziej widział... A pan dobrodziej nie był sam? Pan dobrodziej był w tea-

trze z kupcem Horskim i z jego doczką? To i uni widzieli?

Klicki instynktem odgadł, że należy „miejscowych“ uchronić od jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Nie... nie. Już byłem sam. Oni weszli do swojego domu. Pożegnali się ze mną.

— Tak?... To bardzo porządni ludzie. Bardzo porządni ludzie i panienka krasiwa...

Zaczął śmiać się chytrawo.

— Pan dobrodziej może wlublon?... niech się pan dobrodziej nie ciśnie... Josełe zawsze w takie sprawy nos wściubia — bo Josełe gra na wszystkich weselach... Jeszcze panu dobrodziejowi mazura zagra... Co?...

I jakby wesołością nagłą porwany — prawie poniósł Klickiego przed sobą.

— My teraz pójdziemy do policyi.

— Czy my nie idziemy?

— My trochu pobłądzili.

Zawrócił Klickim tak, jak na karuzeli z ogromną nerwową siłą.

— Niech się pan dobrodziej nic nie boi! — wołał z fantazyą i animuszem — pan policmajster bardzo uczciwy człowiek i un panu nic nie zrobi. Ja sam go obudzę, jak un śpi, i ugładzę. Niech się pan dobrodziej nic nie boi.

Doszli do jakiejś sionki, w której drzwi były na wpół uchylone i na ścianie paliła się mała naftowa lampeczka.

— Tu jest policya! — wyrzekł Josełe, wpuszczając Klickiego do sieni — tu się całą noc pali lampka,

co by był porządek i bezpieczeństwo. Niech się pan dobrodziej nic nie boi.

Przystanął chwilkę.

— Pst…



Podniósł palec w górę i słuchał.

Klicki ogarnął go wzrokiem i znalazł go zupełnie takim, jak go wyczuwał tam, pośród ciemności ulicznej.

Straszny, cuchnący, nerwowy i obdarzony nadzwyczajną siłą fizyczną i moralną.

Jak czarodziej ciągnął myśli wstęgą słów z głębi duszy...

Ciche tony skrzypiec dolatywały z górnego piętra.

— Pan policmajster nie śpi! — wyrzekł Josełe — un gra na skrzypce... un lubi grać... un dobrze gra...

I stojąc już na schodach brudnych, obłoconych, na które, jak na drabinę, wciągał poprostu Klickiego — dodał z nieokreślonym wyrazem, w którym pomieszana razem była duma, ironia i coś bardzo subtelnego, właściwego żydom, którym powiodło się zarzucić uzdę na pysk chrześcijanina:

— Un jest mój uczeń... pan policmajster.

IV.

Pan policmajster gra...

— Tu na prawo jest kancelarya, ale tam niema nikogo... Niech pan dobrodziej trochę przysiądzie, a ja zaraz pana policmajstra poproszę.

Josełe sięgnął po klucz, podłożony pod słomiankę, leżącą przed drzwiami kancelaryi, otworzył drzwi, wszedł pierwszy i potarł zapałkę.

Prędko jednak ją zdmuchnął.

W kąciku przybita kuchenna lampeczka tliła się leciuchno. W rogu izby czerwona gwiazdka wiszącej przed ikoną lampki znaczyła się krwawą gwiazdeczką, drżącą w przestrzeni.

Josełe szybko rozwidnił kinkiet, przysunął krzesło do pieca i uprzejmie zapraszał Klickiego, aby usiadł.

— Niech pan dobrodziej przysiądzie — piec jeszcze ciepły, a tam na dworze pieskie zimno!...

Czynił honory domu zupełnie jak u siebie, szastając się po izbie kancelaryjnej.

— Ja zaraz powrócę.

Przechodząc mimo stołu, dojrzał jakąś szufladę

wpół otwartą. Zamknął ją na klucz i wyjąwszy klucz z zamku, wsunął go do kieszeni.

— Niech się pan nic nie boi… un będzie dla pana łaskawy. O n gra… a jak gra, to w dobrym jest humorze.

Wysunął się za drzwi i zamknął je.

Klicki mimowoli porwał się z krzesła i w tej samej chwili usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Zamknięto go.

Ciche kroki Joseła przesuwały się przez sień i po chwili słychać było, jak otwierano drzwi, a muzykant znikł w mieszkaniu policmajstra.

Klickiemu uderzyła krew do głowy.

Po raz pierwszy w życiu znalazł się w tej sytuacyi.

Być zamkniętym w nocy, w samotnej izbie rosyjskiego urzędu policyjnego, jest rzeczą groźną. Poprzednio jednak zaszłe fakta grozę tę powiększały — Klicki był po raz pierwszy w Królestwie. — Od dziecka myślał ze strachem o tem, „co się tam dzieje“. — Co wiosnę powstawała w nim obawa „wojny z moskalami“. — Ta charakterystyczna wiosenna nowina, rodząca się z podmuchem ciepła, płynąca od pól i lasów z wonią świeżo zoranej ziemi — wpada zawsze do miast galicyjskich i przez pewien czas obija się o mury i dusze ludzkie, jak ptak zbłąkany z wieścią pod skrzydłem zranionem.

— Kto ją przywłóczy tę wieść? — nie wie nikt. Może te krasno odziane chłopki, co zblaszankami i pękami pierwiosnków przez rogatki ku miastu zdążają?— Zda się ona zimować, jakby uśpiona po błękitno ma-

lowanych chałupach, przed któremi rzędem rosną różowe malwy i przeglądają się w drobnych szybkach okien.

Dość, że razem z wiosennem ciepłem wykwita powoli ku słońcu trwoga dziwna, zmieszana z jakąś dumną radością. Wojna — kozacy — a jakże...

Najczęściej dzieci drżą ze strachu. Ociekniętę krwią ciałka dzieci podczas rzezi Pragi, widmami przeczutemi po przestrzeni się snują. Dzieci w Galicyi tulą się co wiosnę trwożliwie w białych łóżeczkach i „daj Boże, żeby kozacy nie przyszli“ — naiwnie się modlą. I potem to już we krwi zostaje taka groza i lęk. Tak myśli w tej chwili Klicki.

Przypomina sobie swoją naiwną modlitwę i to, jak niańka po konferencyi z babą, co nosi mleko, przezimowaną wieść o wojnie do pokoju wnosi. Rodzice mówią „głupia jesteś“ — lecz niańka uparcie powtarza: „Będzie wojna... będzie.“

A on kurczy się na krzesełku, na którem klęczy, bawiąc się przy stole. Udaje, że ustawia papierowych żołnierzy, lecz rączki mu drżą. Mimowoli myśli: — „kozak straszniejszy od takiego żołnierza“.

I gdy w nocy zostanie sam, całe szeregi wiżyj, mar przestrasznych opadają jego wysokie, opatrzone sztachetkami łóżeczko. Kozacy ciągną przez ulice miasta, śpiewają, krzyczą. Wszyscy się chowają do piwnicy i mama i tato, i siostry, i sługi. Nawet pies, nawet kotka Misia.

Tylko jego zostawili, zapomnieli w pośpiechu... On chce iść za nimi, drzwi zatrzasnęli, zamknęli się, on pozostał — umiera z trwogi, czeka.

A tu słychać muzykę... idą... idą...

Klickiemu wystąpił pot na czoło, tak go bardzo przejęło to wspomnienie. Przez chwilę zdawało mu się, że jest znów małem dzieckiem — tam w Krakowie, na Wiślnej ulicy, w skromnem mieszkanku rodziców. Złudzenie było silne. Strach był ten sam. Te drzwi izby policyjnej zamknięte, te tony skrzypiec policmajstra, jakaś piosenka cygańska, dziwna, denerwująca... i ta niepewność, co za temi zamkniętemi drzwiami o n i względem niego knują...

Klicki kocha bardzo Janię. To nie ulega wątpliwości. Lecz w tej chwili przez umysł zaczyna mu się przewijać jakiś żal do niej, że go tu ściągnęła.

— Skoro się z nią ożenię — myśli — natychmiast ją ztąd wywiozę... Tu jakieś straszne miejsce. Niepodobna tu wyżyć.

Skrzypce ucichły i zaległa teraz wielka, prawie grobowa cisza.

Nie była to ta cisza, która niesie ukojenie i rozpoczyna swe wielkie dobroczynne dzieło od tego, że wszystkie bole i trwogi, w gwarze i hałasie przeżyte, we. mgły spokoju osnuwa.

To była groźna cisza czuwającego zwierza, który nie odpoczywa, lecz przytaił dech, skurczył łapy, pazury wciągnął w pochwy — i coś obmyśla, coś mota...

Klicki otarł pot z czoła i całą siłę woli zebrał, ażeby przyjść do równowagi.

— To do niczego nie doprowadzi — pomyślał — poddawać się nerwom. Trzeba przeciwnie zebrać

wszystkie siły i mieć je jako środki obrony do rozporządzenia.

Zapragnął ruchu.

Zaczął obchodzić izbę, lecz nie znalazł w niej nic godnego uwagi.

Był to pokój kwadratowy o ścianach wilgotnych, pokrytych plamami wilgoci i brudu. Wysoko umieszczone okna, snać nigdy nie otwierane, opatrzone były kratą, zasnutą gdzie niegdzie pajęczyną. Na oknie czerniały jakieś butelki, leżał numer „Warszawskiego Dniewnika“ z resztkami chleba. W izbie znajdowały się tylko dwa grube ciężkie stoły, poplamione atramentem, z wpuszczonymi wewnątrz kałamarzami. Kilka piór walało się na stołach. Wązkie ławki ciągnęły się wzdłuż ścian. Tu i owdzie stało czarne od brudu sosnowe krzesło. Dokoła pieca leżały masy popiołu. Koło drzwi stał kubeł, z którego dobywała się ohydna woń rozmoczonych ogarków cygar. W ogóle powietrze było tu straszne, zgniłe i przepełnione chorobliwym smrodem. W głębi małe drzwiczki prowadziły do komórki bez okna, która służyła za miejsce ustępowe. Z komórki przez źle dochodzące drzwiczki wyciekała struga smrodliwej cieczy na podłogę izby.

W strudze tej odbijało się światło lampki, płonącej czerwono w przestrzeni.

Wielki smutek ścisnął serce Klickiego. Artystyczna strona jego duszy umilkła zgnębiona. Chcąc jednak odżywić się w jakimś zdroju, przynoszącym świeżość pięknych wrażeń, całą siłą zwrócił się ku Jani, jak ku dobremu aniołowi swych myśli.

— Drogie złote maleństwo... czy ona przeczuwa, gdzie jestem w tej chwili — myślał, siadając znów koło pieca — gdy jej jutro opowiem, wyłaje mnie za nieposłuszeństwo, ale zarazem będzie rada i dumna, że wypełniając obowiązek, naraziłem się na niebezpieczeństwo...

Pogrążył się w rozpamiętywaniu najdrobniejszych odcieni charakteru Jani. Wydawała mu się jeszcze trochę dziecinną i trochę skrytą, lecz postanowił umiejętnem prowadzeniem wyplenić te dwie drobne wady, które oszpecić nie mogły jej jasnej i drogiej duszyczki.

— Byle mi ją dali! — pomyślał z trwogą. — Kto wie. Horski kupiec zamożny. Oprócz syna Kazia w szkołach w Warszawie, nie ma więcej dzieci. Jania będzie panną posażną. On — Klicki jest wprawdzie właścicielem połowy fotograficznego zakładu w Krakowie, ale zakład malutki, ledwo zaczynający prosperować, długu dużo...

Nagle Klicki usłyszał, że w sieni dały się słyszeć kroki, klucz zazgrzytał w zamku i przed Klickim stanął Josełe Pinkas.

— Pan policmajster prosi dobrodzieja do siebie.

Klicki nie ruszył się z miejsca.

— Jeżeli to kancelarya, to niech pan policmajster wyjdzie tutaj — dlaczego ja mam iść do niego?

— No, on tak chce.

— Ale ja tak nie chcę. Ja nie przyszedłem z wizytą do policmajstra, tylko z oświadczeniem do policyi.

Josełe zniknął i przymknął drzwi.



Przedpokój wypełniła jakaś tęga figura... (Str. 49).

Klicki się za nim rzucił.

— A proszę mnie nie zamykać jak złodzieja, kiedym tu przyszedł to nie po to, ażeby uciekać.

Stanął w progu, nie dozwalając Josełowi zamknąć drzwi do sionki.

— A proszę się spieszyć, nie mam ochoty tu siedzieć całą noc.

— Ja idę i jemu powiem, ale on jest uparty, on chce tak, to musi być tak.

Josełe do przedpokoju wpadł, drzwi nie zamykał, tak że całe wnętrze przedpokoju było widać i oświetlone szeroko otwarte drzwi jadalni.

Klicki na minutę został sam.

Słyszał przyciszone głosy i przez chwilę przeszło mu przez myśl rzucić się na schody i umknąć do hotelu. Nie chciał jednak być niekonsekwentnym. Przyszedł — więc powinien wypełnić to, co postanowił.

Zresztą nie miał czasu na powzięcie postanowienia, bo dały się słyszeć szybkie kroki i zanim Klicki się opamiętał, przedpokój wypełniła jakaś tęga figura i szybko zbliżyła się ku drzwiom wchodowym.

V.

„On“.

Pan policmajster Tagiejew zatrzymał się we drzwiach.

Grzecznie, ale dość ostro wyciągnął rękę z zapraszającym gestem.

— Pażałusta... wajditie...

A widząc wachanie na twarzy Klickiego, dodał napozór dobrodusznie:

— Ja bolen... wy znajetie sierdce... praszu ka mnie... sdiełajtie adałżenje...

Klicki musiał ustąpić wobec choroby, którą się policmajster zastawiał.

Wszedł do przedpokoju.

— Razdiejtieś — wyrzekł gościnnie policmajster — w komnatach żarko.

Głos miał przyjemny, a mimo to dzwoniła w nim jakaś twarda nuta.

Klicki zesunął palto z ramion.

— Ja na chwilę, to rzecz niecierpiąca zwłoki...

— Wajditie w gastinnoju...

Z przedpokoju Tagiejew otworzył drzwi do jasno oświetlonego salonu.

Jaskrawo płonęła duża lampa, powieszona u stropu. Nadto na konsolce pod lustrem stał kandelabr z pięciu gorejącemi świecami.

— Saditieś — zapraszał gospodarz.

Na środku salonu tuż pod lampą stał pulpit z nutami. Na taburecie wyplatanym leżały skrzypce. Policmajster skrzypce przeniósł na fortepian. Czyniąc to, uśmiechnął się cierpkawo do Klickiego.

— Wy znajetie... od skuki... eto pas tan...*)

Klicki niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Panie policmajstrze!... zaczął — tu niema czasu do stracenia. Szedłem ulicą, słyszałem jęki, krzyki... Ktoś wołał... najwyraźniej mordują!... Potem przeleciało dwóch ludzi. Jeden miał rękę skrwawioną... za nimi gonił policyant...

— Nu tak prekrasno... — wyrzekł z dobrodusznością udaną Tagiejew — skoro ich gonił, to ich dogonił i pojmał...

Nie patrzył w oczy Klickiego. Swemi siwemi oczkami, zapadłemi w głąb, błądził po ścianach, po fotografiach, oleodrukach, któremi cały salon był obwieszony. Jarzące światło wydobywało na jaw ich szpetność i czyniło ten pokój dziwnie wstrętny nie tylko dla takiej artystycznej, jak Klickiego, duszy.

Klickiego zaczynało ogarniać jakieś gorączkowe zdenerwowanie.

*) Passe- temps.

— Ależ panie policmajstrze, ten policyant wcale ich nie ścigał, on biegł tylko dla formy — on pozwalał im umykać...

Tagiejew się żachnął.

— Co wy!.. co wy!..

— Mówię to, com widział...

— Wam się przywidziało... wy nie z d i e s z n i j?

— Nie rozumiem.

— A... pan nie tutejszy?

— Ja z Krakowa.

Coś błysło w oczach Tagiejewa. Pierwszy raz przesunął się źrenicami po twarzy Klickiego. I nagle począł się śmiać.

— Wy nas tam nie lubicie... co?... ja widział, i g r a l i K o s t i u s z k ę, tak nasz oficer pląsał na r o z p a s z k ę i był p i j a n...

— Panie policmajstrze, o tem niema teraz mowy. Tam może na wale ktoś kona bez ratunku...

— Och!.. zaraz kona!..

W sieni dały się słyszeć ciężkie kroki, głos jakby Joseła. Tagiejew nadsłuchiwał chwilkę, potem wstał i wyszedł do przedpokoju.

— I z w i n i t i e — wyrzekł grzecznie i drzwi od salonu do przedpokoju przymknął.

I znów Klicki pozostał sam.

Była to inna dekoracya, niż tam w smrodliwej kancelaryi, lecz uczucie trwogi, to wyczuwanie przyczajonego zwierza, było to samo.

W salonie przedewszystkiem uderzała Klickiego mnogość kwiatów, które poustawiane rzędami na

drewnianych schodkach zasłaniały okna, przybrane muślinowemi firankami.

Przeważały potworne kaktusy, ustawiane i dobierane według wzrostu, tak jak tam w Petersburgu dobierają według wzrostu żołnierzy i konie do gwardyjskich pułków.

Były to całe bataliony kolczastych potworów. Po brzegach, jak oficerowie, rozkładały liście mięsiste draceny.

Oprócz kwiatów salon był obstawiony długiemi, z kilku części złożonemi lustrami, które sięgały aż sufitu. Klicki spojrzawszy dokoła, zobaczył nagle swą postać powtórzoną kilkakrotnie w rozmaitych pozach i oświetloną jaskrawo. To zdenerwowało go do reszty. Kto wie, czy nie wolał tiuremnego smrodu policyjnej kancelaryi.

Drzwi otworzyły się, wracał Tagiejew.

— Pan daruje... ale to służebne afiery! — wyrzekł — taka to już moja dola. Ani nocy, ani dnia spokojnego... straszna praca.

Usiadł na taburecie, natomiast Klicki wstał.

— Panie policmajstrze, ja przyszedłem prosić, aby tam natychmiast się udano. Ja pójdę także, wskażę mniej więcej, zkąd dały się słyszeć krzyki i gdzie złoczyńcy biegli. Muszą być ślady krwi.

— Ach tak... ja zaraz dam moich ludzi, tylko oni nadejdą, Oni teraz są zajęci... tu straszne rozboje. Dla człowieka z wychowaniem to prosto katorga takie miasto. A może papierosska?

Podawał srebrną papierośnicę, ciężką i doskonale wykonaną.

Klicki odmówił.

— Czemu? — zdziwił się Tagiejew — wy że tam lubicie nasz tytoń i naszą herbatę... A ot może pan się napije c z a j u... u mnie samowar kipi dzień i noc.

Ręką ukazywał otwartą jadalnię, gdzie w rzeczywistości na stole oświetlonym kandelabrami stał samowar błyszczący, butelki dwie z rumem, winem i głowa cukru z niedużą siekierką.

Klicki ramionami wzruszył.

— Już z godzinę upłynęło — wyrzekł dobitnie — od tej chwili, kiedy tam mordowano na wale, może ten zamordowany umarł?

— Ach, g a ł u b c z i k! — odparł chytrze Tagiejew, skrobiąc się w głowę — taż s k a z a ł e ś, że za nimi biegł policyant. Jeżeli nie dogonił, to się musiał wrócić i dał ratunek...

Klicki przez chwilę zamilczał. Czuł, iż Tagiejewowi chodzi o to, aby mu powiedział o wszystkiem, co widział. Josełe musiał go uprzedzić, lecz coś wstrzymywało jeszcze Klickiego od wypowiedzenia całej prawdy.

— Tak... jeżeli on wrócił, to my niepotrzebni — ciągnął Tagiejew — i ot chodźmy się lepiej napić c z a j u.

W Klickim krew nagle zawrzała.

— On nie wrócił do zamordowanego ten policyant — wyrzucił ze siebie — on się dzielił łupem ze złodziejami...

— O!... o!...

Tagiejew oczy wybałuszył, usta otworzył.

— Co wy, gołąbku, mówicie...

— Prawdę. Widziałem ich, jak w zaułku, gdzie rozkopana ziemia i tli się latarnia na żerdzi, wziął połowę pieniędzy, które mordercy zabrali na wale jakiemuś chłopu.

Tagiejew powstał, wpakował ręce w kieszenie od kurtki i zbliżył się tak do Klickiego, że ten uczuł jego oddech przepojony tytoniem, miętą i alkoholem.

— Wy to widzieli? — zapytał.

Klicki aż się cofnął.

Na okrągłej, trochę nalanej twarzy, w której tonął nos, wierny typ preobrażeńskiego pułku, zmienił się wyraz tak szybko i z taką mocą, że aż to przeraziło Klickiego. Było to tak, jakby zwierz dziki znalazł nagle wroga u wejścia do swego doskonale wysłanego gniazda.

I cała u j u t n o ś t' tego mieszkania cichego, ciepłego, jasnego, wystrojonego według stopnia kultury właściciela, wypełniła się zbrojną nienawiścią, postanowieniem obrony choćby za cenę zatracenia poczucia sprawiedliwości nie tyle prawnej, ile z dziedziny serca czerpanej.

— Pan to widział? — powtórzył Tagiejew.

— Tak — odparł Klicki — widziałem.

Zdawało mu się, że stoi po drugiej stronie przepaści, że pochyla się nad nią, ale że odpowiadać tak musi i powinien.

— Pan tego widzieć nie mógł — podjął policmajster, a każde jego słowo było twarde, wyraźne i śpiewny akcent rosyjski, którym poprzednio ubarwiał swoją polską mowę, zniknął prawie zupełnie —

pan tego widzieć nie mógł... to była halucynacya. Nic więcej!

— Pozwoli pan! — przerwał Klicki wyniośle — Jestem trzeźwy, zdrów i halucynacyj nie miewam. Widziałem dokładnie, a że jestem artystą malarzem, niech mi pan da kawałek papieru i ołówek, a ja panu sylwetki tak złodziei jak i policyanta narysuję.

Tagiejew zaczął się śmiać, roztwierając szeroko usta.

— Da... da... w o t s ł o w o z a g a d k i. Pan jest artysta!... Wy ztamtąd wszyscy artyści... Pan we wszystkiem widzi przyczynę do obrazu. I tu także pan widział... Ot i wyjaśniło się.

Klicki pożałował swego pomysłu. Czuł, że ten człowiek o pozorach dobrodusznych jest silny, a może i silniejszy od niego. Lecz równocześnie ogarnęła go pewna pogarda, jaką czuje każden człowiek dla reprezentantów obcego rządu. Spojrzał z góry na Tagiejewa.

— Jak pan chce, może pan nie wierzyć, ale co do mordu uwierzyć pan musi. Proszę o asystę policyjną, powiodę na wał.

— Jaż asystę dam... za chwilę. A co do owego, który się dzielił łupem, to niech pan wie, że często policyanci sprzedają swoje stare mundury i ot... może jaki złodziejaszek się ubrał...

— Nie — on był ubrany po formie.

— Jaki pan uparty...

Tagiejew zaczął chodzić po pokoju i ciągle z pod brwi ściągniętych wejrzenie na Klickiego rzucał. Widać było jak się powściągał, jak się po-

wstrzymywał, aby tego zuchwalca z „Krakowa“ nie nauczyć po swojemu moresu i posłuszeństwa.

— Ja panu nawet radzę — zaczął znowu — niech pan takich rzeczy nie rozgłasza i nie powtarza, bo to panu może tylko zaszkodzić.

Klicki uśmiechnął się ironicznie.

— Mnie? w czem?...

Tagiejew ramionami wzruszył.

— Panu to może zaszkodzić — powtórzył.

— Wy do mnie nic nie macie.

— No... pan jest teraz u nas.

— Przepraszam, ja do pana i do policyi w gościnę nie przyjechałem.



Tagiejew z wściekłością kopnął taburet.

— Da... no wy tieper u nas żywiotie, tak wy dołżny diełat’, czto ja

w a m p r y k a z y w a j u — wyrzekł po rosyjsku prostując się i zapinając mundur, który miał do tej chwili rozpięty, tak że widać było czerwonem wyszytą r u b a s z k ę i spodnie rzemieniem podpasane.

Obrzucił strasznem wejrzeniem Klickiego i do okna podszedł.

Zapanowało milczenie. W przestrzeni aż kłębiło się od nienawiści. Klicki drżał cały nerwowo. Miał wrażenie, że Tagiejew przemyśliwa, jakby go zmusić do milczenia. I w tej chwili właśnie postanowił nie milczeć.

Wreszcie Tagiejew oderwał się od okna.

— Ot i moi ludzie... — wyrzekł znacznie złagodzonym głosem.

Klicki spojrzał na niego zdziwiony.

Twarz policmajstra przybrała układny, grzeczny wyraz. Usta układały się pod szczeciną wąsów w obleśne linie uśmiechu. Tylko żyły na czole nabiegły krwią, oczy jeszcze błyszczały z pod brwi ściągniętych. Widocznie ten człowiek umiał wybornie panować nad sobą.

— Proszę!... niechże pan idzie z moimi ludźmi na wał... Ja iść nie mogę. Jestem chory... ale tam są tacy, którzy mnie zastąpią.

Od schodów i sionki dolatywał tupot butów i zmieszane głosy.

— Proszę!...

Drzwi od przedpokoju otworzył. Klicki przeszedł mimo niego, kłaniając się lekko. Gdy nakładał spiesznie palto, Tagiejew stał w progu i przyglądał się

oświetlony z tyłu jaskrawo tak, że kontur jego zdawał się oznaczony cały złotą linijką.

— Kak wasza familja? — zapytał wyniośle.

— Władysław Klicki.

— Da... wy za paszportem?

— Tak!...

— A kiedy wy jedziecie?

— Pojutrze!...

— Nu... ładno... Praszczajtie.

Lecz Klicki bezwiednie zupełnie wyrzekł:

— Do widzenia.

Tagiejew z uporem powtórzył:

— Praszczajtie!

I ręką drzwi od sieni ukazał.

— Oni na pana czekają!

Ukłonił się lekko i do salonu wrócił.

Klicki otworzył drzwi i wyszedł do sieni.

VI.

„Oni“.

W ciemnej sionce aż roiło się od ludzi. Kilku z nich miało w rękach zapalone latarnie. Ciężka woń zmoczonych szyneli wypełniała powietrze.

Do Klickiego podsunął się natychmiast Josełe, który trzymając skrzypce pod pachą, niósł w prawej ręce latarkę.

— Ja mam dobrą latarnię... widać z niej na cztery mile, ja pana dobrodzieja poprowadzę!

I nie czekając na pozwolenie, uczepił się ramienia Klickiego.

— Ot i pan pomocnik! — wyrzekł, mrugając znacząco.

Z drugiego piętra schodził bardzo wysoki blady mężczyzna z zaspanemi rybiemi oczami. Wąsy blond opadały mu na wargi. Wyraz twarzy miał wysoce niezadowolniony i znudzony. Czuć było, iż wydarto go z ciepłej pościeli i że tego darować nie mógł.

Gdy zobaczył Klickiego, skrzywił się zupełnie jawnie i stojąc na schodkach, wyrzekł w formie rekomendacyi:

— Piotr Iwanowicz Markowskij!..

I wyciągnąwszy nogę, odzianą w but z cholewami, dotknął nią Joseła.

— P r y g a j, j e w r e j!..

Josełe podskoczył, pociągnął Klickiego i otworzył pochód.



Z drugiego piętra schodził bardzo wysoki blady... (Str. 60)

Aż trzęsły się schody pod ciężkimi krokami policyantów. Szli w milczeniu, ocierając się o wilgotne czarne ściany.

Josełe podnosił latarkę, oświecając wyboje, którymi wypełnioną była sień wchodowa. Wreszcie wydostali się na ulicę.

Zaraz zeszli na środek ulicy w największe błoto,

nie dbając zupełnie o to, że poprostu kroczą w samych kałużach. Snać byli do tego przywykli. Josełe pociągnął za nimi Klickiego, trzymając się ciągle honorowego miejsca na czele pochodu.

Klickiemu nogi w błocie więznąć zaczęły.

Miał na nogach kalosze, lecz były one zbyt duże i utrudniały mu chód, błoto lepkie i ta maź, specyalny fabrykat miasteczek w „prywiślańskim“ kraju, do wnętrza kaloszy Klickiego nalewać się zaczęła.

— Chodźmy trotuarem! — rzekł do Joseła Klicki.

Lecz żyd pokręcił głową.

— Nie można. O n i muszą iść z nami. Pan nas przecie prowadzi. I m nie wolno chodzić trotuarem, oni muszą iść po s r i e d i n i e ulicy.

Za Klickim szedł ów Markowskij i ze złością wbijał swe nogi w błoto, rozbryzgując je dokoła. Inni policyanci szli zwartą gromadą, ochlapując się wzajemnie tak, że latarnie ich niedługo poryły się plackami błota i przyciemnione rzucały słabe, migotliwe światełka. Tylko latarka Joseła wysoko wzniesiona, trójkątem szarawo świetlnym tańczyła po czarnej przestrzeni. Trójkąt ten wybiegał, cofał się, rozściełał się po ziemi, czepiał się domów, wydobywając z ciemni okna ciemne, drzwi zawarte — całą nocną senność wegetującego smutno nędznego życia.

Klicki szedł pomiędzy tą bandą, otoczony ich wrogiem milczeniem, cały zziębnięty fizycznie, moralnie wszakże przejęty gorączkowym żarem. Ci o n i stawali się wreszcie ciałem. Widział ich, niemal dotykał, czuł ich ciężkie oddechy, woń ich mokrej odzieży.



Klicki szedł pomiędzy tą bandą... (str. 62.)

Byli tą sforą nielegendową, lecz istniejącą, która otoczyła go i teraz niosła za sobą w przestrzeń ciemną, milcząc tajemniczo. Czuł, że pchnął ich w tę drogę ten „o n“, który pozostał w jego umyśle, oddzielony kłębami nienawiści. Byli jego przedłużeniem, wolą jego woli, czynem jego czynów. O n im nakazał milczeć, iść tak tajemniczo w tę noc ciemną, i o n i milczeli i szli pochyleni, brodząc w błotnistych cieczach, niepokojąco cisi i niepokojąco posłuszni.

I powoli — powoli, w tę noc czarną, szarpaną gwizdami wichru i skrzypieniem szyldów, które waliły rozpacznie o cielska kamienic, Klicki zaczął doświadczać wrażenia, iż on sam przestaje być istotą żywą, istotą realną i rozpływa się w jakiejś abstrakcyjnej sferze.

Wlecze się po szmacie ziemi, która jest napozór ziemią, lecz to jest kraj już oderwany, a tak przepojony myślą i pragnieniami całych pokoleń, że po nad jego powierzchnię jak opar wysnuwa się właśnie ta abstrakcyjna sfera pragnień i jego — Klickiego ze sobą podnosi.

Czuł, że stopy jego jeszcze toną w mazi lepkiej, lecz z czego była ta maź złożona, czy to nie mgła krwista, nie mgła potu, który groza na czole wyciska, ku niemu się snuła? I ci, którzy szli zwolna obok niego, migocąc niepewnymi blaski mundurowych guzików i zbłoconych latarek, wkraczali w krainę widm dławiących — sami zdławieni — widm, nakazujących milczenie, sami milczący — widm, roznoszących atmosferę zgniłą — sami w niej gnijący.

Ludzie to byli — czy synteza tych, którzy nie

wiedzą już, co jest sprawiedliwość, skąd ona się sączy i gdzie zanika? Stanęli przy źródle — pochylili karki — lecz oddech ich był zatruty, bo pragnęli długo. I pić ze źródła nie umieją, a naczynia, z których pić im kazano, zatrute są błotem i nieczyste.

A oni milczą, bo im z tem pragnieniem zróść się przyszło i teraz nawet skarżyć się nie mogą, czy nie chcą.

. . . .

Minęli rynek. Klicki szedł machinalnie, ciągle pogrążony w myślach. Nagle poczuł, że go ktoś w ramię dotyka.

— Izwinitie — dał się słyszeć głos Markowskiego — kudaż nam idti?

Głos był ironiczny, nisko basowy.

Klicki całą siłą woli zebrał swą świadomość.

— Ja sądzę...

Zatrzymał się.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie umiał nazwać strony miasta, skąd jęk słyszał.

Cała gromada zatrzymała się, nieufna, w gruncie wyzywająca — napozór obojętna.

Klicki przypomniał sobie, że mówiono o wale.

— To musiało stać się na wale! — wyrzekł, odzyskując pewność siebie.

— Prekrasno — odparł grzecznie Markowskij — pajdiom na wał.

I znów zaczęło się rozbijanie błota ciężkimi kroki i zbita czarna masa ludzi, poznaczona punktami światełek latarnianych, posuwała się wolno w stronę

uliczki, przez którą niedawno przechodzili Horscy wraz z Klickim i gdzie spotkali złodziei.

Josełe wymachiwał wysoko latarenką pod pozorem oświecenia drogi.

— Trzymaj niżej latarnię — rozkazał mu Klicki — tu niema takiego błota, mogą być ślady krwi. Oni tędy biegli.

Josełe opuścił latarenkę, lecz trójkąt światła tak zaczął tańczyć po bruku, iż nic dostrzedz nie było można.

Klicki zniecierpliwiony wyrwał latarnię z rąk żyda i sam powoli zaczął rozświetlać drogę.

Za nim wolno postępowali policyanci, lecz żaden z nich nie dopomagał mu w poszukiwaniu krwawych śladów.

— Wy co zgubili? — zapytał nagle Markowskij.

— Nic — sucho odparł Klicki — szukam śladów krwi.

— Ach!... pamiłujtie — zawołał znudzonym głosem pomocnik policmajstra — „brostie“...

Jakby na ten sygnał czekał Josełe, pochwycił Klickiego pod ramię i ze zwykłą sobie nerwową siłą nieść go przed sobą zaczął.

— Pan dobrodziej nic nie najdzie... — wyrzekł — jeśli co było, ludzie na butach roznieśli, a to szkoda zdrowia pana Markowskiego i ludzi...

A potem zaraz poufnie w kłębie cuchnącej woni dorzucił:

— Pan Markowskij bardzo porządny człowiek!

U wylotu ulicy ciągnął się ciemny, wyniosły, oddalony pas ziemi.

Za nim szumiało coś, przelewało się, biegło, goniło, szemrało.

— Nu... tam to czarne daleko... to wał.

Klicki zaczynał się oswajać z patrzeniem w ciemnościach. Spostrzegł teraz, że na owym wale wznosiły się jakieś szopy, budynki, lecz nigdzie nie paliła się latarnia. Wszystko to było tak czarne, że niebo, chociaż zupełnie chmurami zaciągnięte, wydawało się o wiele jaśniejsze i uwydatniało sylwetki budynków. Wicher tu był silniejszy.

Dął wprost w twarz i niósł jakby mokre ze sobą pyły — zimne, kłujące, jak lodowe szpilki.

Wał na pozór zdawał się blizki.

Tymczasem skończyła się ulica — po obu stronach rozwinęły się płaszczyzny placów, zwalone parkany, zagadkowe kupy gruzów, czy drzewa — a wał ciągle był jeszcze daleko i Klicki zaczynał tracić cierpliwość.

Bruk się urwał także. To, po czem teraz Josełe ciągnął Klickiego, było raczej jakiemś bagnem, w które nogi po kostki i wyżej zapadały.

Klicki uczuł się wyczerpany, cały potem okryty z trudnością wydzierał nogi z bagna. Kalosze dawno zgubił. Na spodniach poczepiane ciekły strugi błota. Dół palta także ociekł błotem.

Josełe prowadził Klickiego prosto na wał, lecz z tyłu doleciał głos Markowskiego:

— Josełe... kuda ty? idi czerez drewniuju płoszczad'.

Żyd skręcił na lewo i zaczął zataczać krąg. Te-

raz już zapadł kilkakrotnie Klicki po kolana w bajury. Za każdym razem Josełe stękał.

— Aj!... aj!... pan dobrodziej nie umie po naszem błotku chodzić... pan dobrodziej jeszcze się utopi!

Chwilami znów pokrzykiwał:

— Niech się pan dobrodziej nie boi — Josełe pana wyciągnie!...

Klicki miał wrażenie, iż go umyślnie prowadzą bardziej rozmokłą drogą i ta cała męka była mu mniej przykrą, niż ta fatalna myśl, iż oni w tej chwili drwią z niego, widząc go tak słabym i zdanym na ich łaskę i niełaskę.

Czuł tę milczącą hordę za sobą, spojrzenia ich przeszywały go. Za każdem potknięciem potęgowało się jego uczucie moralnej, nieokreślonej przykrości. On miał ich prowadzić, a właściwie gnali go oni przed sobą i topili w błocie, wichrem ciskali w oczy, mrozili oddech, wyciskali pot i wydzierali siły.

I wszystko to czynili w ciemni, w milczeniu, w ciszy.

Tak — to byli oni — cali, zupełnie tacy, jakich on przeczuł w grozie i trwodze, gdy z zaułków, z kałuży, z błota wysuwali się legendą na kształt przyczajonego zwierza. Jakże chętnie byłby się odwrócił — plunął im w milczące twarze, które miały wyraz sfinksów w swej kamiennej martwocie.

Tymczasem iść musiał — i za podporę trzymać się ręki cuchnącego stworzenia, które żywością swych ruchów i gestów — niedościgłe w roztaczanej dokoła siebie przebiegłej podłocie tworzyło niejako jeszcze łącznik pomiędzy nim żywym, a tymi kamiennymi

kolosami, milczącymi tragicznie w poświście wichrowego jesiennego szumu.

Nagle — Markowskij wyjął z kieszeni świstawkę i zbliżywszy ją do ust, zagwizdał przeciągle.

Od strony wału odpowiedział mu natychmiast taki sam gwizd drżący, jękliwy.

— To Barłamow!... — wrzasnął Josełe — to un śwista... Un musi być na Wale... un zawsze w nocy jest na wale... To bardzo porządny człowiek.

I ze zdwojoną energią Josełe pchnął Klickiego ku wałowi.

Ten szedł już zupełnie biernie. Opuściła go energia. Chwilami nie wiedział nawet, po co idzie. Był anemiczny i wycieńczony długą walką o pracę i stanowisko. Przeszedł nawet dość ciężką neurastenię. Wyczerpywał się szybko. To, czego dokonywał tej nocy, było wynikiem nerwów i po nad jego siły.

— Pan dobrodziej niech uważa, bo się wdrapiemy na wał... — strofował go Josełe.

I zaczęli wdrapywać się na wał.

VII.

Na wale. — Wasil Anempodistycz Barłamow.

Wejście na wał nie było zbyt trudne, bo poukładane żerdzie, powbijane w ziemię pale, nie pozwalały ześlizgiwać się i zapadać w błoto.

W kilka chwil znalazła się cała banda na powierzchni wału.

Stanęli bezradnie, opuszczając latarki.

Markowskij znów gwizdnął.

Zdala odpowiedział mu cichy gwizd.

— Un jest koło targowli — objaśnił Josełe.

— Siemipudow — idi — skaži, cztob priszoł — rozkazał Markowskij.

Zwrócił się do Klickiego:

— Nadejdzie zaraz policyant, który ma straż na wale. On nam objaśni, jeśli co było.

Rosły, ogromny policyant odłączył się od gromady i udał się wałem w stronę, gdzie czerniały zabudowania.

Klicki zrezygnowany stał, chłonąc w siebie ogromną czerń, która się roztaczała z drugiej strony wału.

Niewidzialna, potężna, silna, przewalającemi się falami, płynęła pod jego stopami rzeka — obojętna

na wszystko — zbyt wielka i mocna, aby ją obchodziły drobiazgi ludzkiego istnienia. Ta potęga żywiołu imponowała i gnębiła. Niepowstrzymanie waliła się w dal cielskiem swem niespożytem, głusząc szmerem, którym dyszała, oddech słabych piersi człowieka. Po drugiej stronie rzeki, na przeciwległym brzegu migały słabo jakieś światełka. Ktoś czuwał w chałupie u przewozu. Łuczywo gorzało widocznie, bo błysk stawał się to silniejszy, to gasł...

Klicki wobec tej olbrzymiej ciemni zapomniał się zupełnie.

I w serce jego nabierało się, jakby w zdrojowisko, ocembrowane marmurem, to wrażenie wielkie, nieukróconej w swej żywiołowej potędze rzeki. Wyczerpały się ludzkie siły, wygasał zapał, letniała wrząca krew, rosły mogiły — a ona wiecznie miała poddostatkiem fal, które tarły się o brzeg hymnem tryumfalnego wyzwolenia.

. . . .

Tymczasem sylwetka czarna zbliżała się powoli i Klicki utwierdzał się coraz więcej w przekonaniu, że to nikt inny, tylko ten sam policyant, który gonił rzekomo owych dwóch złodziei.

Pewność jego była tak wielka, że doznał uczucia tryumfu i zapragnął tryumf ten objawić jaknajprędzej.

Postąpił więc kilka kroków ku zbliżającemu się policyantowi.

— To ten — wyrzekł mimochodem do Markowskiego — poznaję go doskonale.

I zwrócił się już wprost ku nadchodzącemu:

— To wyście biegli za zbrodniarzami do rynku, prawda?

Nie było odpowiedzi.

Natomiast Markowskij stanął pomiędzy Barłamowem i Klickim.

— Izwinite — wyrzekł sucho do Klickiego — eto majo dieło.

Barłamow wyprostował się po służbowemu. Okrągły jego brzuch, jak u starej baby, wznosił jego szynel, na którym połyskiwały guziki.

Pomiędzy pomocnikiem Tagiejewa, a policyantem rozpoczęła się po rosyjsku następująca rozmowa:

— Wy Barłamow dawno pełnicie tu straż?

— Od zmierzchu, wasze błagorodje.

— Tu nic nie zaszło?

— Nic, wasze błagorodje.

— Nie było napaści, mordu?

— Nie!

— Jesteś tego pewien?

— Najpewniejszy. Mogę przysiądz.

Markowskij zwrócił się ku Klickiemu:

— To bardzo porządny człowiek — on nie pije i dlatego my go tu stawiamy. Czy pan się przekonał?

Lecz Klicki porwał latarnię z ręki Joseła i wprost twarz Barłamowa oświetlił.

Była to twarz, jakby toporem w kamieniu wyciosana. Barłamow miał charakterystyczne proste linie rysów, właściwe rdzennym Moskalom. — Nos, oczy, brwi, usta, wszystko prostemi liniami rysowało się silnie, jakby ktoś starannie pod kreską je ciągnął. Była to twarz, znamionująca tyle silnej woli i pełnej

prostoty podłości, że wbijała się w pamięć, jak raz ujrzany obraz, mocną ręką syntetysty zakreślony.

Klicki, oświetliwszy nagle Barłamowa, od pierwszej chwili zrozumiał, że ma do czynienia ze skałą, o którą rozbijają się wichry, lecz jej nie skruszą. Mimo to drżącym ze zdenerwowania głosem zadał mu pytanie:

— Wy mnie nie poznajecie?

Barłamow patrzył Klickiemu prosto w oczy, nie zmrużając powiek.



Klicki porwał latarnię z ręki Joseła i wprost Barłamowa oświetlił. (Str. 73.)

— Nie!

— Przypomnijcie sobie. Przed godziną biegliście uliczką, prowadzącą na rynek. Przed wami uciekało dwóch, jasno odzianych ludzi. Minęliście mnie. Stałem naprzeciw latarni. Spojrzeliście na mnie... no...

Barłamow ani drgnął. Ani jeden muskuł w jego

twarzy się nie poruszył. Patrzył ciągle w twarz Klickiego.

— Nie — wyrzekł nareszcie po rosyjsku — to niemożebne, ja z wału nie schodził.

Klicki zagryzł wargi aż do krwi.

— Biegliście na rynek... — zaczął znów z uporem — a potem... przypomnijcie sobie, co robiliście potem?

Barłamow powtórzył:

— Ja z wału nie schodził.

Klickiego zaczynała opanowywać jakby halucynacya. Te nieruchome sylwetki, jakby wrosłe w ziemię na tle pustki przestrzennej, te niskie basowe głosy, śpiewające cerkiewnym tonem słowa zaprzeczenia na tle szumu rzeki i gwizdu wichury — to równało się prawie widmowemu światu. Ścisnął znów kastet i ból, którego doznał, pozwolił mu na chwilę wrócić do równowagi.

— To ja wam przypomnę, coście robili tam, gdzie ziemia jest rozkopana i latarnia pali się na żerdzi... Wyście dzielili się pieniędzmi, które złodzieje zrabowali tu na wale jakiemuś chłopu... słyszycie?

Nikt nie drgnął i chwilę panowało zupełne milczenie.

Tylko przewalały się fale rzeki z jakąś zdwojoną mocą.

Wreszcie znów zaśpiewał sennie bas Barłamowa.

— Ja z wału nie schodził.

Klicki aż targnął się cały w bezsilnem, przejmującem go na wskroś oburzeniu.

— To straszne... ja przecież to widziałem... ja na to przysiądz mogę...

A wtedy z ciemni zaśpiewał głos Markowskiego:

— On także przysięgnie.

Klicki odwrócił światło w stronę pomocnika policmajstra.

— To przysięgnie krzywo.

Światło wydobyło na jaw długą sylwetkę Markowskiego i jego twarz zimną, żółtą, znudzoną, opatrzoną parą stalowych, chłodnych źrenic.

— Nasi ludzie nie przysięgają krzywo, ani nie kłamią, proszę pana. Skoro Barłamow mówi, należy wierzyć, bo on jest na to, ażeby prawdy pilnował i prawdą żył.

Ręka Klickiego z latarką opadła. Skorzystał z tego gestu Josełe i wyrwał Klickiemu latarkę.

— Niech Barłamow idzie na swój posterunek! — zakomenderował Markowskij.

— Słucham, wasze błagorodie!

Lecz Klicki jeszcze nie dawał za wygraną.

— Chwilę jeszcze — zawołał — skoro zaprzeczacie udziału Barłamowa w tej sprawie, to gdzież są oni, złoczyńcy? Ja wiem, gdzie są, wiem, gdzie będą nocować. Są u — „mamusi“. — Proszę tam iść ze mną, ja ich wskażę.

Zdawało się Klickiemu, że to słowa „mamusia“ sprawiło pewne leciuchne wrażenie, Barłamow wstrzymał się w pół obrotu — Markowskij podniósł głowę, jakby podwajając czujność.

Lecz szybko wmieszał się w tę sprawę Josełe Pinkas.

— U mamusi... — wrzasnął — jak uni mogą być u mamusi? Una teraz śpi i wszyscy u niej śpią.

A potem... jak pan dobrodziej chce chodzić w takie paskudne miejsce? — Tam porządne obywatele nie chodzą. Tam jest najgorszy sort...

Lecz Klicki uczepił się silnie tej myśli.

— Proszę mnie tam zaprowadzić. Ja wskażę złodziei.

I z goryczą dodał:

— Nie noszą munduru, więc nie żyją taką prawdą, jak t o — o...

Wskazał na ciemną brylantową postać Barłamowa.

Markowskij uczuł się dotknięty.

— Prosiłbym Pana — nie robić aluzyi do munduru! — wyrzekł z godnością — my ulegamy pańskiej fantazyi w tej chwili, proszę nam za to być wdzięcznym.

I zwróciwszy się do stojących, jak mur, policyantów, zawołał:

— P a j d i o m, r e b i a t a!

W jednej chwili posągi ożyły i zaczęto schodzić z wału pośpiesznie, rzucając się z całym stoicyzmem w błoto. Klicki w jednej chwili uczuł się zupełnie opuszczony, bo Josełe ze swą latarką gdzieś znikł. Chciał jednak iść sam i postąpił kilka kroków. Potknął się o belkę, pośliźgnął i przykląkł. Zabolało go silnie kolano i ręce zanurzał w błocie. Powstał i zaczął wołać:

— Josełe!

Z dołu odpowiedział mu głos żyda:

— A gdzie pan dobrodziej? jeszcze na wale? ja idę po pana dobrodzi!

Mignęło światło i Klicki dostrzegł, że Josełe najwyraźniej konferował przed chwilą z Markowskim.

Gdy przy pomocy żyda zesunął się Klicki z wału i uszedł kilka kroków, obejrzał się po za siebie, jakby chciał raz jeszcze spojrzeć na ten wał, na którym spędził pamiętną chwilę życia.

Josełe zrozumiał jego ruch i natychmiast usłużnie podniósł latarnię. Trójkąt świetlany padł z dołu na czarną wyniosłość ziemi, za którą była tragiczna pustka ciemnego, przepaścistego horyzontu.

Tylko na tej linii czarnej — wyciśniętej daleko, jakby wyrosła z niej potwornym, ciemnym kaktusem znaczyła się sylwetka ludzka — nieruchoma i tryumfująca.

Nie była ona na straży tych miejsc bezludnych, groźnych i pustych — lecz sprawiała wrażenie, iż ona jest tą grozą, czyhającą na łupy, ciągnące ku niej razem z szumem fal.

Jękliwie świstał wicher — lecz ani jeden fałd ciężkiej opończy, w którą postać ta była owinięta, nie drgnął. Prosto, silnie — jakby ze śpiżu posąg molocha, tak stał ten człowiek groźny, silny i w swoim zakresie potężny.

A Josełe, zakreślając dokoła niego aureolę zgniłego światła swej cuchnącej latarki, wyszeptał:

— To Barłamow... un nigdy z wału nie schodzi — un jest uczciwy człowiek.



...znaczyła się sylwetka ludzka... nieruchoma i tryumfująca (str. 78.)

VIII.

U „mamusi“.

— K’ Frumele Lajnbram! — zakomenderował Markowskij.

I znów zaczęła się błotna wędrówka, lecz Klicki zobojętniał już teraz na to, co się dokoła niego podczas drogi działo. Tonięcie w błocie — ślizganie się — nie było dla niego nowością. Zaczynał się przyzwyczajać i dziwił się tylko, że mógł się przyzwyczaić tak łatwo. Co więcej, to borykanie się z każdym krokiem zaczynało sprawiać pewną ulgę jego zdenerwowaniu. Pozwalało mu dawać upust zewnętrznym odruchom wyładowywać siłę i nie dławić się tak strasznie, koncentrując ją wewnątrz siebie.

Ta bezczelność groźna Barłamowa przepełniła go bowiem najwyższem oburzeniem, którego nie mógł nawet ściśle określić, tak go bowiem wzruszyło. Nigdy jeszcze w życiu nie spotkał się z kłamstwem podanem w tak prostej formie. Linie tej nieprawdy były tak nadzwyczajnie nieskomplikowanie nakreślone, że przybierały aż pozory dróg, po których zwykła chodzić prawda.

Ta prymitywna forma kłamstwa, którą uprawiał Barłamow — zadziwiła swą siłą Klickiego.

Sylwetka Barłamowa dominowała tą prostotą i potęgowała jeszcze w przesubtelnionej naturze Klickiego dozę oburzenia.

— Co za łotr!... — myślał idąc drogą, którą dla niego Josełe wśród największych bajur wybierał. Teraz te kałuże już były dla niego drobiazgiem. Cóż one znaczyły wobec odmętu moralnego, jaki dokoła niego wirować począł! To pasmo błotne sięgało mu kolan — czepiało się jego odzieży — tamto moralne wnikało wewnątrz jego istoty i przepajało go zgniłymi, a nieznanymi mu miazmami.

— Co za łotry! — myślał, zataczając spojrzeniem krąg szeroki, którym obejmował nietylko cisnące się dokoła niego policyjne sylwetki, lecz i tego niewidzialnego a tak żywotnego Tagiejewa, grającego cygańskie piosenki, w takt których działo się to wszystko — a dalej Barłamowa, kamiennego molocha, na tle czarnego beznadziejnego nieba i tych bosych, pokrwawionych, skaczących z chyżością małp przez jamy i błoto i dalej jeszcze całą masę, całą procesyę nieznanych, a przeczuwanych już istot, które wytwarzały ów wir moralnego kłamstwa, tragicznego oszustwa, co przenikało go na wskróś przeszywającem wrażeniem.

Szept cichy, woń cuchnąca zbudziła go z tych myśli.

— Widzi pan dobrodziej — szeptał Josełe — pan dobrodziej się pomylił... Barłamow nic nie słyszał — nikt nikogo nie mordował. U nas w miasteczku cicho

jak w ogródku, gdzie się owce pasą... A teraz pan Markowskij się gniewa, un bardzo niekontentny...

To szeplenienie wstrętne wzburzyło Klickiego do reszty.

— Cicho! — krzyknął groźnie — ja się was nie pytam, z czego wy kontentne, a z czego niekontentne. Policya jest na to, żeby porządku pilnowała.

— Co się pan ciśnie — wyszeptał Josełe — ja tylko dla pana dobra. Ja mówiłem, niech pan dobrodziej nie idzie do pana policmajstra — ja miałem racyę. Teraz pan dobrodziej musi iść do „mamusi".

— To pójdę...

— Aj, aj... to nieprzyjemnie chodzić po takich miejscach dla porządnego pana. Ale ja jemu znam, temu Markowskiemu. On się zaciął, un już pójdzie bez to, żeby pokazać, że się pan pomylił... choć... ja... wiem... na to sposób...

Zatrzymał się — zachlipnął i dodał mrucząc:

— Pan dobrodziej by chciał lepi wrócić do hotelu. Jaby coś rarytnego przyprowadził. Bardzo uczciwe...

Klicki szarpnął się z rąk żyda.

— Poszedł precz!...

— Pan dobrodziej nie chce? to nie... Ale przecie lepi byłoby iść spać w cieple, niż się tam do takiego paskudnego miejsca wlec.

Głos ściszył — do rękawa Klickiego przypadł.

— Może on by się i uładził, żeby tak spróbować... co nie co... ja nie wiem... ja tak myślę...

Klicki parsknął ironicznym śmiechem.

— Aha!... tędy droga? — No — to ja znów

wam powiem, że z tego nic. Pójdziemy do „mamusi“ — i skoro im owych złodziei pokażę, a zwłaszcza tego z pokrwawioną ręką, zobaczymy, czyja będzie prawda.

Przyśpieszył kroku, znów nerwową fantazyą zdjęty.

Równocześnie dostrzegł, iż jeden z policyantów odłączył się od grupy i na przełaj przez zaułek i rozkopaną jamę gdzieś biedz począł.

— Gdzie on idzie? — zapytał Joseła.

— Nu, gdzie? — on tam za tą jamą całą noc stoi. U nas wielkie porządki. U nas tak zawsze. Gdzie niebezpieczne miejsce, stoi jeden policyant. Na wale Barłamow, a tu Siemipudow.

Markowskij przystawał — oglądał się, opóźniał chód, jakby na coś czekał.

— Czekaj, czekaj — myślał z radością Klicki — nie dostaniesz nic...

Wreszcie pomocnik komisarza, widząc, że jakoś perswazye Joseła nie odnoszą skutku, wpadł w wściekłość i puścił się siłą pary naprzód.

— S k a r i e j e! — zakomenderował.

Zachlupotało — błoto bryznęło na wszystkie strony, ziemia zdawała się jęczeć pod ciężarem kroków. Policyanci otoczyli Klickiego i pędzili go, nadeptując mu na pięty. Lecieli tak, jak pędzi procesya popów, wypadająca z obrazami z wrot monasterów.

Klicki zdał się na los — i gnany tą sforą biedz zaczął, on teraz ciągnąc Joseła, który jakby umyślnie ciężarem swoim uczepił się jego paltota. Lecz Klickiego ogarnęła gorączka. To wszystko, przez co przeszedł, ten chłód, ten ziąb — te wrażenia nerwowe podra-

żniły go do najwyższego stopnia. Biegł teraz bez opamiętania, chichocząc lekko. Coś go niosło i podniecało w nienormalny sposób.

Wydostali się na gościniec po za miasteczko. Na prawo, na lewo — spały ogromne płaty pól — równiny bezkresne i smutne. Czerń cicha nieprzejrzana. Po dwóch stronach drogi latarenki oświecały krzaki ziębnięte i nędzne, wyrosłe nad rowami. Czasem mi-



. . . latarenki oświecały krzaki, ziębnięte i nędzne, wyrosłe nad rowami.

gnęła tragiczna sylwetka dzikiej gruszy, która rwała się rozpacznie rozwichrzeniem gałęzi ku niebu. Tu i ówdzie przypadły do ziemi domki, ciche czarne, w cień spowite. Lecz nie zdawały się być to schronienia dośmiertne ludzi dobrych i pełnych spokoju wewnętrznego. Miały dachy, a przecież zdawały się być otwarte, a z nich zionęło jakieś zło — skłębione i fatalne, jak zaraza lub jakaś straszna klęska. Okiennice były szczelnie zawarte, tak szczelnie, iż nie można było domyśleć się, czy po za niemi śpią, czy jest ja-

kieś serce ofiarne, jakaś myśl zbudzona i w szlachetnym kierunku kiełkująca, która czuwa. Czasem, czasem — mignął jakiś promień, jakby filtrowany przez czerwoną zasłonę. Z jednego domku wysunęły się dwie postacie mężczyzn i widząc nadbiegającą bandę policyantów — skryły się za węgłem. W oddali zdawało się Klickiemu, że słyszy tony harmonii — lecz było to bardzo daleko.

Nagle banda zatrzymała się — potem w rozpędzie przesadziła rów i dopadła do małego domku — równie uśpionego napozór i cichego jak poprzednie.

Markowskij butem zaczął walić we drzwi.

— Frumele!... atkroj dwieri!... — wołał ostrym, silnym głosem.

W domu panowało milczenie.

— Frumele!... abiezjana ty etakaja!... dwieri!...

Josełe podskoczył.

— Uni śpią — ja zaraz pobudzę od tyłu... — szepnął i zniknął za węgłem domu.

Po kilku minutach — dały się słyszeć w sieni kroki — drzwi odryglowane otwarły się.

Na progu sieni stała tłusta żydówka w watowanym kaftanie — żółta na twarzy — bez zębów i ręką chroniła ogarek świecy, który chwiał się na wszystkie strony.

— Pan naczelnik?... — zdziwiła się, widząc Markowskiego... — aj... aj... w takie błoto...

— Nie razgawariwaj — żachnął się Markowskij, — zażgij łampu.

Usunął żydówkę, wszedł pierwszy, pochylając się

gdyż drzwi były niskie, tak jak po chatach chłopskich.

Kopnął nogą drzwi na prawo i wszedł do szynkownej izby.



— Uni śpią — ja zaraz pobudzę od tyłu... — szepnął i znikł... (str. 86.)

Za nim wtoczyła się masa policyantów z Klickim pośrodku.

Żydówka nię pytala o nic więcej. Szybko podreptała za szynkwas i zapaliła niedużą, zakopconą

szkaradnie lampę, którą postawiła na baryłce stojącej na ladzie.

Ohydny, nieokreślony smród zgniłej kapusty, kartofli, łachmanów, błota, ciał ludzkich źle utrzymanych, ryb, cebuli, owiał Klickiego i przez kilka chwil dech mu w piersiach zaparł. Markowskij tymczasem po izbie się rozglądał.

— Czy nikt tu u ciebie nie nocuje? — zapytał żydówki po rosyjsku.

Ta mu odrzekła natychmiast łamanym językiem:

— Da kto ma nocować? da nikowo nima... niech gaspadin naczałnik sam pasmotri...

Markowskij poszedł wprost do drzwi alkierza. Otworzył je — lecz zwrócił się zaraz ku Klickiemu.

— Proszę... niech pan wejdzie i sam zobaczy.

Te słów kilka zwróciły uwagę Frumele na Klickiego. Obrzuciła go bacznem, szybkiem spojrzeniem. Klicki doznał wrażenia, jakby ktoś w nim zatopił dwie szpady. Oczy żydówki były cudownej piękności. Na tej wyszarzanej i zjedzonej twarzy odbijały połyskiem dyamentów i czarnością onyksu. Lecz zarazem w tych oczach był cały dziwny świat, który promieniejąc na zewnątrz, nic nie tracił ze swej siły. Wszystko, co nazywają występkiem, gnieździło się w blasku tych oczów, ale występek ten był tak skoncentrowany, tak obwarowany jakoś na swój użytek, że nie rozpraszał się bezpotrzebnie atmosferą niepokoju. On tylko dawał siłę chwytania z istoty wchodzącej w promień roztoczony tego — co było w niej lepsze i wywłókniania z tej lepszości mniej szlachetnych jej



— Czy nikt tu u ciebie nie nocuje? — zapytał żydówki po rosyjsku... (Str. 88)

części składowych. Frumele z każdego najpiękniejszego czynu potrafiła delikatnie wyciągnąć pobudki lub kierunki rozwoju, graniczące ze złem. Oczy jej przenikały nie ciemności, ale najuczciwsze słońce. Nie olśnione blaskiem, sięgały w głąb i odszukiwały jakby mackami czarne grudy, ukryte starannie i przysłonięte pięknością szlachetnych czynów.

Dla Frumele — nie było wewnętrznego piękna na świecie.

— Proszę... alkierz otwarty!

Tak się rozlega głos Markowskiego.

Lecz Frumele zbliża się do Klickiego:

— Pan dobrodziej kogoś szuka?

Pyta się niby, ale ona już znalazła wpierw odpowiedź, nim pytanie zadała. Ręce założyła na piersiach obwisłych, obciągających kaftan.

I patrzy.

Klicki wytrzymuje jej wzrok. Czuje, że jest wysondowany, wyżyłowany — on, człowiek z kulturą, przez tę prostą żydówkę z małomiasteczkowego przedmieścia.

Spogląda na nią z pogardą i wchodzi do alkierza.

Tam — bety i bety.

Na łóżkach, na ziemi, na porozwieszanych sznurach.

Przepaście betów, góry pierza, poduszek. — Kto może zgadnąć ich tajniki?

Gdzieniegdzie coś majaczy — głowa dziecka, głowa rozczochranej kobiety. Ciemno jest, tylko z izby

szynkownej bije słabe światło i wydobywa na jaw brud pościeli i odrapanych z wapna ścian.

Klicki się cofa. Cóż może znaleźć w tych cuchnących górach pierza? Gdyby nawet kryli się tu zbrodniarze, Klicki ze wstrętem odwróciłby się od tych poszukiwań.

Markowskij jednak wpada w rodzaj zapału. Wchodzi do alkierza i szybko, bez namysłu zdziera z łóżka pierzyny, rzuca je na ziemię. — Pisk dzieci i kobiet wypełnia alkierz. Zbudzone bachory podnoszą lament. Jakaś kobieta, prawie naga, okrywa się pośpiesznie poduszką.

Klicki cofa się do izby szynkownej. Spotyka się z oczami Frumele.

— Pan kogo szuka? Jakiej dziewczyny? U nas są tylko same takie, co po dobrej woli. U nas się nikogo nie więzi. My uczciwi ludzie!

Z alkierza wychodzi Markowskij.

— K u l t i a p k i n — p a s m o t r i p o d k r a w a t' — wydaje rozkaz.

Suchy, mały policyant rzuca się do alkierza. Pisk się potęguje. — Widać, jak policyant na czworakach zagląda pod łóżko — wreszcie ginie i tylko nogi sterczą w obłoconych butach.

Frumele uśmiecha się ironicznie:

— Niech pan Kiultiapkin garnków nie powyrzuca — woła w formie ostrzeżenia.

Wreszcie Kultiapkin wyłazi i zdaje raport:

— N i k a w o n i e t — w a s z e b ł a g o r o d j e!

Frumele ramionami wzrusza:

— Kto mą być! U mnie ludzie śpią na łóżkach. Markowskij zwija sobie koło stołu papierosa.

— Pan mówi — i wskazuje na Klickiego — że u was dziś nocują dwaj złodzieje — jeden ma rękę skaleczoną...

— Złodzieje?



Widać jak policyant na czworakach zagląda pod łóżko... (str. 92.).

Frumele sonduje znów oczami Klickiego:

— Skąd pan dobrodziej takie ma brzydkie na mój handel podejrzenie?

— Słyszałem, że się umawiali, iż idą na noc do „m a m u s i“... Powiedziałem to panu. Przyprowadzili nas tutaj. Wy jesteście „m a m u s i a“.

Żydówka roześmiała się. Bezzębna jama ustna zaczerniła się w obramowaniu żółtych warg.

— Nu... oni mnie tak nazywają w mieście. Ja nikomu nic złego nie robię, a często i poborguję biednemu... To już mnie tak przezwali.

Markowskij otrząsał się z wilgoci, jak zmoczony pudel.

— Pan naczelnik przeziębnął?... — zaczęła z ubolewaniem „m a m u s i a“ — aj, aj! w taki czas po nocy!... I po co?... pan naczelnik wie, że u mnie nikt ze złodziei nie bywa... pan naczelnik mógł temu panu powiedzieć, że mu się przesłyszało, albo, że uni się tak umyślnie chwalili. Przecie pan policmajster mnie zna, jaki tu u mnie porządny lokal...

Markowskij spojrzał na nią bokiem. Zmierzyli się oczami.

Widocznie sondowali się i wybierali ze siebie owe czarne żużle. Policyant i paserka znali się nie od dzisiaj.

Wreszcie Markowskij, liżąc bibułkę papierosa, wymówił przez zęby.

— D a!...

Nikt nie zdoła oddać liczby znaczeń, jakie w rosyjskim języku może przybrać to krótkie jedno słowo. Można przez nie powiedzieć wszystko, czego się powiedzieć nie chce lub nie może.

Frumele rzuciła się do szynkwasu.

— Pan naczelnik pozwoli g r a f i n c z y k rumu? Jest e c h t jamajski... co?...

Markowskij ruszył ramionami.

— Ja po służbie, a wy mnie ugaszczać nie

możecie — wyrzekł, porając się z zapałkami, które ciągle gasły — ale może pan...

Oczami wskazał na Klickiego.

— Dziękuję! nie piję.. — odparł sucho Klicki i odwrócił się do okna.

— A teraz może pan obejrzy strych, piwnicę, może oni tam...

Lecz Klicki uśmiechnął się ironicznie.

— Nie, nie... Już mam dosyć.

— A!... pan ma dosyć? — Nu ładno! Tak może pan pozwoli sobie i nam iść spać!

Klicki ukłonił się grzecznie.

— Owszem... pozwolę!...

Ironia go przepoiła całego. Wiedział, że nic i nikogo nie znajdzie, choć wypełniano jego życzenia i prowadzono wszędzie tam, gdzie żądał. Postanowił więc teraz drwić z tej całej sprawy i czynił to, choć zęby mu szczękały z nadmiaru zdenerwowania.

Wyszli z izby do sieni. Frumele kłaniała się nisko Markowskiemu. Wzięła w rękę lampkę i tak od dołu oświetlona była jeszcze żółtsza, jeszcze więcej sterana pomimo tłuszczu, jakim obrosło jej ciało. I tylko oczy olbrzymie, promienne, aż biły światłością z tej maski starego klowna.

— U mnie wszyscy śpią... dobranoc i panom, dobranoc panie naczelniku. Ja jutro sama będę u pana policmajstra skróś pozwolenia. Kłaniam się pięknie.

Nagle przeciwległe drzwi, które kryły się w cieniu, otwarły się i w nich pojawiły się jakieś dwie postacie. Był to mężczyzna w ubraniu robotnika i uczepiona u jego szyi rozmamana dziewka. Po za

nimi wysączyła się struga światła. Rozczochrane włosy dziewki zaświeciły płomienną aureolą. Zobaczywszy policyę — oboje cofnęli się i zatrzasnęli drzwi. Było to jednak zapóźno.

Klicki już widział i jasno zrozumiał, że dom ten ma więcej ubikacyj i że tam „nie wszyscy śpią“... jak w alkierzu u „mamusi“.

Spojrzał na Markowskiego i uśmiechnął się ironicznie. Ten uśmiech ten podchwycił i chwileczkę się zawahał.

— Tam mąż Frumele ma swój proceder! — wyrzekł niedbale — ale może pan i tam zajrzy, proszę...

Równocześnie przenikliwie spojrzał na „mamusię“.

Stała spokojna, bez ruchu — przeciwnie uśmiech wykrzywił jej usta.

— Niech panowie wejdą, może się panowie zabawią.

Markowskij uspokoił się, widząc że „mamusia“ jest pewną siebie zupełnie, a nawet sama zaprasza.

— A no... to proszę pana...

Zwyczajem swoim pchnął butem drzwi i te otwarły się na oścież.

Buchnęło gorąco i smród jeszcze gorszy niż ten, który panował w sieni.

W półcieniu wionęły przed oczami Klickiego jakieś białe płachty.

Nie czas jednak było się wahać.

IX.

Proceder Mordki Lajnbrama, męża „mamusi“.

Na środku izby, która rozmiarami odpowiadała izbie szynkownej, stał żyd w koszuli z wyszywkami kolorowemi, w kamizelce kraciastej, rozdartej z tyłu, i spodniach, wpuszczonych w buty z cholewami. Był jeszcze młody, jasnowłosy i tak anemiczny, że zdawał się nie mieć w sobie ani jednej kropli krwi. Oczy jego z pod brwi, prawie białych, miały tę samą wybladłą barwę, co i cera twarzy. Ręce miał białe, prześliczne i niezmiernie delikatne. Był w czapce czarnej z daszkiem i w chwili, gdy drzwi, kopnięte przez Markowskiego, otworzyły się niespodzianie, usiłował dostać wiszącą na drucie lampę, na którą dmuchał gwałtownie celem jej zgaszenia. Lampa ta wisząca z daszkiem skąpe rozlewała światło. Głównie występowała na jaw niechlujna podłoga, zapluta i oblana — miejscami powyżerana, jakby ogniem.

Cała izba była poprzecinana sznurkami i gdzie niegdzie zwieszały się z nich płachty rozmaitych barw, które tworzyły jakby namioty. Niektóre z tych płacht były obtargane i wisiały strzępami, ujawniając

pod ścianami tapczany, na których walały się kolorowe poduszki, derki i bety. Pod oknem stał stolik, a na nim flaszki z piwem, wódką, dwie pomarańcze, jakieś bułki.

Dym ostry i gryzący przepełniał izbę — tumany unosiły się dokoła lampy. Na oknie w kąciku więzła sentymentalnie blada primula w wazonku, widocznie pielęgnowana przez którąś z przygodnych tej kloaki mieszkanek. Na ścianach tu i ówdzie przypięte wycięte z dzienników ryciny, kalendarz z bukietem niezapominajek i aniołek tekturowy w różowej sukience, zdjęty widocznie z szopki, trzymający w rękach wstęgę z napisem:

„Z powinszowaniem Nowego Roku!“

Żadna jednak mowa ludzka nie zdoła oddać tej atmosfery, jaka panowała w tej izbie. Połączenie wyziewów i potu, końskiego smrodu, tytoniu, paczuli, wilgoci — kłębiło się w rozparzonem gorącu, buchającem z pieca. Klicki cofnął się, opierając o ścianę, lecz za nim tłoczyli się policyanci, widocznie radzi i chętnie do tej izby wchodzący. Na ich twarzach sfinksowych nie zadrgała jednak żadna żyłka. Byli ciągle kamienni i nieruchomi. Wtłoczywszy się, ustawili się szeregiem pod ścianą, chłonąc w rozwarte nozdrza tę woń, którą znali i która była dla nich wspomnieniem chwil ukochanej rozpusty.

Anemiczny żyd na widok Markowskiego przybrał obojętny, niemal zuchwały wyraz twarzy.

— Co pan naczelnik każe? — zapytał cienkim głosem.



. . . usiłował dostać wiszącą na drucie lampę, na którą dmuchał gwałtownie (Str. 97.)

Lecz Markowskij nie odpowiedzał mu nawet. Od kilku chwil obserwował rudą dziewczynę, która, cofnąwszy się wraz z robotnikiem ode drzwi, teraz usiadła na jednym z tapczanów i zanurzywszy palce niedwuznacznie we włosy, patrzyła wzrokiem znużonego zwierzęcia na nowoprzybyłych.

Robotnik cofnął się do okna i jakby zawstydzony patrzył przez szyby, odwracając się zupełnie i kryjąc twarz.

Markowskij wskazał butem na rudą kobietę.

— Czto eto? — zapytał. — Eto niezdiesznaja?

— Niet... — wyrzekł żyd — ona w odwiedziny do siostry...

Dziewka wydęła usta.

— Łżesz — wyszeptała chrapliwie — ja od tygodnia z Białegostoku przyjechała, boś mnie sprowadził.

I zaprzestawszy operacyi we włosach, obciągnęła dziwaczną turkusową welwetową bluzkę, w którą była odziana, i zaczęła umizgać się, pokazując rząd białych zębów.

— Ty zamużnaja? — indagował ją Markowskij.

— Das — odparła kobieta — dodając umyślnie petersburskie „s“ dla szyku.

— A u ciebie paszport od męża jest? — badał dalej Markowskij.

Kobieta się zmieszała.

— Nie wiem... nie...

Markowskij zwrócił się do żyda:

— Paszport u niej w porządku? Ja jego na policyi nie widział. Czemu nie meldowana, ha?...

Żyd spuścił z tonu na chwilę i zaczął się tłumaczyć.

— Ja miałem iść do pana policmajstra w tej sprawie. Ryfka od męża uciekneła, on jej wyda paszport... Ja chciałem prosić o wydanie srocznego pozwolenia...



— Łżesz — wyszeptała chrapliwie... (Str. 101.)

— Żebyś mi jutro przyszedł z samego rana — krzyczał po rosyjsku Markowskij, bijąc nogą w podłogę — a nie... to ciupasem odstawić ją każę...

— Panie naczelniku, ona mi potrzebna, ona wesoła, ona r a b o t n a... ona...

— Milcz!... jak śmiesz trzymać bezpaszportnych?

Ruda dziewka zaczęła lamentować.

— O ja nieszczęśliwa!... oj!... oj!...

Chwytała się za głowę i udawała, że nią bije o mur. Z po za płacht wysunęły się jeszcze dwie dziewki, równie rozczochrane, tylko gorzej odziane, w pantoflach na bosych nogach. Jedna miała we włosach papierową czerwoną różą — druga była bardzo blada, piegowata i zupełnie otumaniona.

Markowskij ryknął z całej siły olbrzymim basem, tak, jak dzwon cerkiewny w dzień Zmartwychwstania.

— M a ł c z a t' s z y m p a n z c a, a t o p a s z e i!

Zrobił wymowny gest.

Wrzaski ucichły.

Wówczas Markowskij zwrócił się znów do Lajnbrama.

— Tak ty jutro jaw się.

Żyd już odzyskał równowagę.

Widocznie był pewien swego, bo ramionami wzruszył i wargę dolną wydął.

— Ja się zajawlę — odparł, a potem ciężko westchnął.

Widocznie to „jawlenie się“ wzbudzało w nim bolesne wspomnienia.

Robotnik przed oknem kurczył się tak, iż całkiem głowę wsunął w ramiona. Obrywał powoli listki primuli i żuł je bezmyślnie.

— Kto u ciebie dziś nocuje? — zapytał Markowskij.

— Nikt — odparł Lajnbram — byli konduktorzy, zabawili się i poszli. Teraz był ten pan — wskazał na robotnika — i już wychodził...

Markowskij zbliżył się do jednej płachty — podniósł jej koniec. Na tapczanie rozwalona spała jakaś kobieta. Ostatni wyraz zezwierzęcenia opadł na jej twarzyczkę. Była jeszcze młoda i zaledwie rozwinięta. Z pod czerwonej pierzyny sterczały bose, czarne stopy.

Widać w niej było dziewczynę wiejską, zlataną po grudach i wyrosłą wśród zbóż na smutnych mazowieckich równiach. Była tragiczna w swym bezwładzie wyzyskanego do ostatnich granic zwierzęcia. Usta jej były boleśnie skrzywione. Ciekła z nich ślina. Włosy, zaplecione w dwie cienkie kosy, opadały na piersi, okryte haftowaną perkalową koszulą, związaną na ramionach kokieteryjnie szmatami niebieskiej wstążki.

Ręka, która z tapczanu zwieszała się ku ziemi, była do łokcia spalona od słońca, prawie czarna. Dalej ramię miało śnieżną białość jasnych blondynek.

Leżała jak kłoda, a sen jej był tak twardy i twarz tak od pijaństwa i zmęczenia blada, że wydawała się raczej trupem, niż żyjącą istotą.

Klickiemu ścisnęło się serce, nudności go dręczyć zaczęły. Potarł ręką po czole — on, który przecież zwyczajem mężczyzn nie cofał się przed wspólną rozpustą i zwłaszcza w swej młodości tarzał się w publicznych lokalach, gdzie mężowie „mamusi“ upra-

wiali swój proceder. Lecz tu — ta rozpusta, tłocząca się w tej ciasnej przestrzeni, ten tragizm ciał kobiecych, zwłaszcza ta wiejska dziewucha, zmartwiała w swej nędzy z tak boleśnie skurczoną maską twarzy, w chwili, gdy we śnie może uświadamiała sobie piękność łanów i krasę maków, swobodnie wyrosłych, od których dzieliły ją rzeki błota — tu, gdzie żyd anemiczny, jak pająk siatki, tak on rozpiął sznury swych namiotów i tam gnał w sprzedaż trzodę istot bezdomnych, wyjących z uciechy i rozpaczy chórem bezradnych głosów — tu — Klicki uczuł się sam nędznym i wstydem spłonął nad tem, że egoizm mężczyzn wytworzył sobie takie siedlisko, gdzie na moczarach gnijących dusz wzniesiony został gmach świątyń, rozkoszy przeznaczonych.

I nawet nie było tu walki z nędzą przeznaczenia. Tu była straszna, bezgraniczna rezygnacya istot, wydanych na zagładę. Coś jakby ścierwo jagnięce, rzucone w doły zwierząt, które pasły się niem do woli, zanurzając kły i pazury i płacąc potem daninę dostawcy ścierwa, starannie sortowanego.

Widocznie, że nagromadzona w tej dusznej, ciemnej izbie tragiczność faktów była tak wielką, iż przebiła się mimo wszystko i chwyciła Klickiego za gardło. Zapomniał, z czem tu przybył i szybko odwrócił się pobladły i zmieniony.

— Nic tu widzieć nie chcę! — wyrzekł bezdźwięcznym głosem — proszę mnie stąd wypuścić.

Torował sobie drogę do drzwi, lecz Markowskij w lot zrozumiał, iż ten „pan“ brzydzi się przebywać w tem miejscu. Nie wnikał w pobudki, nie sięgał

głębiej, lecz wyraz wstrętu, zmiana głosu i bladość lic Klickiego wystarczała mu w zupełności. Z całą pasyą rzucił się na odsłoniętą w ten sposób moralną część istoty człowieka, któremu zawdzięczał od dwóch godzin spacer nocny po ulicach miasteczka.

— Pardon! — wyrzekł, zastępując Klickiemu drogę — jeżeli pan chce robić poszukiwania, to już proszę w całości... Pan się przekona, że nas nie trzeba uczyć, jak my mamy pilnować w mieście porządku. My już jak co robimy, to dokładnie.

Zbliżył się szybko do śpiącej dziewki — zdarł z niej pierzynę, pochwycił ją za rękę i szarpnął nią z całej siły.

Zamruczała, jęknęła — lecz on rzucił nią o ziemię. Zwaliła się jak kłoda, nie budząc się wcale. Zabielała masą ciała i spała dalej, upadłszy twarzą ku ziemi, z rękami rozkrzyżowanemi, jakby w podłogę się wpiła.

— Może pod tapczanem... — zaczął Markowskij, lecz Klicki pchnął jednego z policyantów i wypadł do sionki.

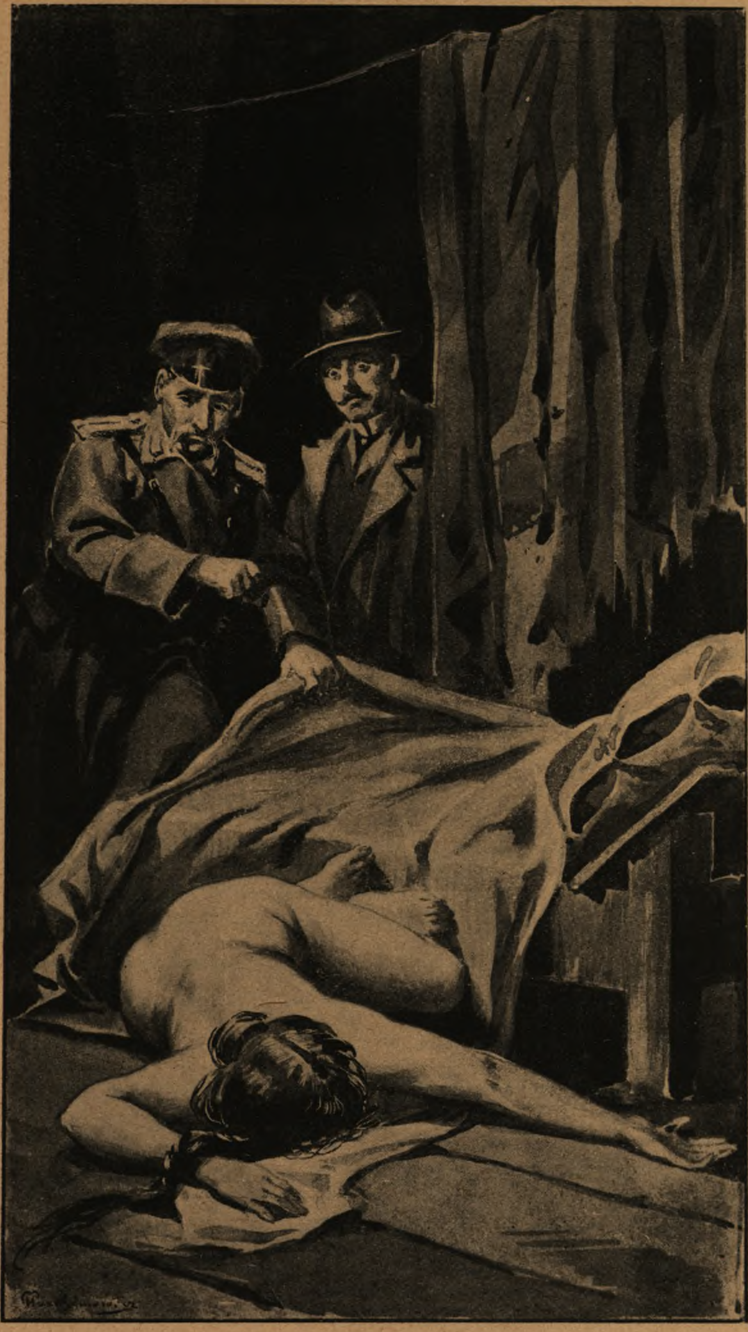
Tam natknął się na Joseła, stojącego pod ścianą z latarką.

— Odprowadź mnie do miasta. Dam ci trzy ruble!... — wyrzekł, łapiąc z trudem powietrze, Klicki.

— Nu... dobrze... czemu nie... — odparł Josełe.

Otworzył drzwi do izby Mordki i, zamieniwszy parę słów cichych z Markowskim, poskoczył ku Klickiemu, który wybiegł już na ulicę.

— Proszę pana dobrodzieja!... — wyrzekł z fan-



Zwaliła się jak kłoda, nie budząc się wcale. (Str. 106)

tazyą — pójdziemy do miasta... niech się pan dobrodziej nic nie boi! Josełe jest z panem!

Poszli gościńcem, a po obu stronach ciągnęły się czarne, bezbrzeżne płaszczyzny pól.

Ciemne cielska domków do ziemi przypadły, a ich okiennice były tak szczelnie zamknięte, że nie wiadomo, co się w nich kryło — martwota snu, czy objawy czuwania.

Lecz Klicki wiedział już, co jest w tych cichych małych domkach, znał ich wnętrze.

Źrenicami zbudzonego sumienia, źrenicami sponiewieranej godności człowieczej, źrenicami matki, rozwianej marą w przestworze, źrenicami kobiety, która pierwsza wtajemniczyła go w dreszcz rozkoszy, źrenicami błękitnemi Jani — jak taflą od łez wilgotną, on przenikał ciemne ściany i widział tragiczne upodlenie godzin tajemniczych o wzniosłych wielkich celach. Rozjęczał się w nim ból, rozszalała dusza za to, że ją zbłocono.

I nie to błoto ciężyło mu, które przywarło skorupą do jego odzieży, rąk, twarzy — lecz to błoto, które nagle zionęło ku niemu z przepaści procederu Mordki Lajnbrama i odnalazłszy w jego czynach te straszne kałuże, teraz gnębiło nietylko tem, co inni czynili, lecz tem, co on sam kiedyś w życiu czynił.

Z pod łokcia wyszeptał mu Josełe, migając trójkątem latarni:

— Nie podobało się panu dobrodziejowi u Mordki? Ja mówiłem, co to całkiem ordynarne zabawe... choć i un i una bardzo uczciwe ludzie.

Klicki szedł dalej, ku miastu.

Nie słyszał Joseła — nie widział czerni domków, pustki płaszczyzny — szedł jak senny, smutny i zupełnie na duchu upadły.

X.

„W załog!...“

Gdy zrzucił wreszcie ze siebie odzież i stanąwszy przy piecu grzać się zaczął, doznał pewnego uczucia ulgi.

Sam nie zdawał sobie sprawy, jak się dostał do tego hotelu, jak wszedł do numeru, zapłacił Joseła i jak zdołał się rozebrać.

Ten mały, pusty, szkaradny numer, który rano budził w nim wstręt, wydał mu się jakimś przytułkiem i chciał go mieć jeszcze mniejszym, aby módz więcej, dokładniej czuć dach nad głową.

Pierwszym jego czynem był krok sentymentalny, ale zarazem ogromnie ludzki.

Oto wyjął z podróżnej walizki fotografię Jani, którą dała mu w Zakopanem, i wpatrzył się całą siłą w miłą twarzyczkę dziewczyny.

— Ty moja! ty śliczna! — myślał i zdało mu się, że spragniony pije z czystego źródła ożywczą, srebrną wodę, lub że zbiera rosę poranną ze świeżo zbudzonych kwiatów.

Bolesna postać śpiącej prostytutki o białem ciele

i spalonych od słońca rękach mignęła mu przed oczami.

— Straszne!... — pomyślał i wpił się spojrzeniem w fotografię z całą siłą i chęcią nabrania jakiejś czystości wrażeń pod wpływem szeroko rozwartych i poznaczonych świetlanymi punktami oczu.



...i wpatrzył się całą siłą w miłą twarzyczkę dziewczyny. (Str. 111.)

Po za tem nie był w stanie myśleć, nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co przeszedł. Wiedział tylko, iż natłoczyła się na niego cała masa niepowszednich zdarzeń i że nigdy nie był tak silnie zgorączkowany wrażeniami życiowemi, jak w tej chwili.

— Wstrętne gniazdo! — pomyślał, podchodząc ku oknu i patrząc w czerń rynku, na którym wszystkie już latarnie pogasły.

A przecież coś mu w duszy jakby ścinało się żalem, jakby ogarnął go smutek, który czasem przeszywa nas na wskróś, gdy stajemy przed trumną, którą niosą dla kogoś nieznanego, a który się nam wydaje bliski...

Od okna podszedł Klicki do swego łóżka i wsunął się wreszcie pod kołdrę.

— Może zasnę — myślał i wtedy dopiero poczuł, jak bardzo był snu spragniony.

Lecz napróżno usiłował zasnąć.

To wszystko, co przeżył w ciągu tych kilku godzin, te nadzwyczajne rzeczy, które działy się tutaj w cieniu tego miasteczka, w taki zwykły na pozór sposób zwaliły się na niego, jakby las, huraganem rozniesiony. Te straszne postacie, wyrosłe z błota, albo migające w żółtem świetle lamp zamtuza i kancelaryi Tagiejewa, wreszcie o n sam, groźny i słodki, pachnący rumem i dziegciem butów — to wszystko w ciemności numeru zaczęło rość olbrzymio i nękać Władysława jeszcze więcej, niż na jawie.

Nagle rozległ się wystrzał.

Najwyraźniej ktoś strzelił na schodach z rewolweru.

Klicki usiadł na łóżku, nie dziwiąc się już niczemu.

Ktoś szedł po schodach, dźwigał się ciężko, rozmawiał głośno — wreszcie wszedł na korytarz.

Chwileczkę zapanowała cisza i nagle rozpoczął się dziwny łoskot. Ktoś obijał się o ściany — walił się plecami o drzwi numerów. Dzwoniły ostrogi i szabla, głos przechodził w jakieś dziwne mruczenie.

I wreszcie wypłynął, jakby wyciem:

— Czeławiek!...

Cisza.

I znów wycie:

— Czeławiek!...

Z drugiego końca kurytarza dają się słyszeć niepewne kroki.

— Gdieże moja komnata? — pyta zapity głos, przerywany czkawką.

— Wielmożny pan oficer stoi przecież przed drzwiami! — odpowiada drugi głos.

Klicki poznaje niski, nieśmiały głos posługacza hotelowego.

— Wriosz! to nie mój numer, ja go nie mogę otworzyć...

Następuje walenie butem z całej siły we drzwi sąsiedniego z Klickim numeru, przy akompaniamencie rozmaitych „macierzyńskich" błogosławieństw. Drzwi nie ustępują. — U Klickiego w numerze wszystko się trzęsie. On sam, zdenerwowany do najwyższego stopnia, wyskakuje z łóżka i biegnie do drzwi.

— Co się tu dzieje? — pyta, otwierając drzwi, prowadzące z numeru na korytarz.

W tej samej chwili rozlega się ryk:

— Haziain! gdie haziain?!

Klicki widzi pode drzwiami sąsiedniego numeru młodego jeszcze oficera, bardzo pięknego blondyna o rozmarzonych szafirowych oczach. Szynel ma narzucony na plecy, w ręku rewolwer. Jest zupełnie pijany, bezprzytomny. Ślina sączy mu się z ust, ocienionych wąsem. — W głębi kurytarza stoi Proszowski w na-

rzuconej na ramiona siermiędze, ze świecą w ręku. Widocznie lęka się zbliżyć do rozjuszonego oficera. Na korytarzu tli się kinkiet. — Z kilku drzwi widać strwożone głowy podróżnych, którzy patrzą przez szpary na to, co się dzieje w kurytarzu. Po drugiej stronie Klickiego z numeru wychyla się w białym kaftaniku i narzuconej na prędce spodnicy, owa bru-



Szynel ma narzucony na plecy, w ręku rewolwer. (str. 114).

netka o bladej, trójkątnej twarzy, którą Klicki widział już, upominającą się o swój paszport w bramie hotelu.

Ogólne wrażenie trwogi przepełnia ciasny korytarz hotelowy.

Klickiego porywa pasya na tego pijanego młokosa, który ośmiela się teroryzować cały dom i budzić wszystkich przejawami swego pijaństwa.

— Proszowski! — woła — co to znaczy? Każcie temu panu być cicho. Hotel, to nie koszary.

I zwracając się prosto do oficera, dodaje:

— Proszę pana być cicho i zachowywać się przyzwoicie.

Oficer zdaje się nie rozumieć nawet, co Klicki do niego mówi.

Pora się ciągle ze spadającym mu z ramion szynelem i woła w dalszym ciągu:

— H a z i a i n!

— Proszowski, każcie mu być cicho! — krzyczy do posługacza Klicki.

Lecz Proszowski zwija się w kłębek i bezradnie rozkłada ręce:

— Co ja poradzę?

Ryk znów wstrząsa korytarzem:

— H a z i a i n!

— On chce gospodarza — objaśnia brunetka, zwracając się ku Klickiemu.

— No... więc czemu gospodarz nie przychodzi?

— On nie przyjdzie.

— Dlaczego?

— On się boi!

— Ładna historya!

Blada kobieta, której nie chcą oddać paszportu, ośmiela się i wysuwa nogę, odzianą w grubą, czerwoną pończochę.

— To tak co noc ten pan oficer dokazuje.

— Czemu go nie wyrzucą?

Brunetka pokręciła rozczochraną głową:

— Oni nie mogą! Jego inni panowie oficerowie już dwa tygodnie, jak zostawili w z a ł o g.

— W z a ł o g?

— Tak, w zastaw. Oni tu całą bandą przyjechali — napili, najedli — potem nie mieli czem zapłacić i jego zostawili w zastaw. On tu będzie siedział i tak wyrabiał, dokąd go nie wykupią.

I z pewną melancholią dodała:

— Ja także tu byłam w z a ł o g u!

Oficer, wsparty o ścianę, zdawał się teraz spać stojąco. Ściskał tylko w ręku rewolwer, kryjąc go w fałdach szynela. Był blady, jak trup — pot mu spływał z czoła.

Klicki spojrzał na niego. Zdawał mu się zupełnie spokojny i wyczerpany.

— Proszę pana! — wybuchł tonem perswazyi — niech pan idzie spać i nam spać pozwoli!...

Brunetka, która prawie zupełnie wyszła na korytarz, cofnęła się pospiesznie do numeru.

— Niech pan do niego nie mówi — rzuciła pośpiesznie — on ma rewolwer.

Oficer otworzył jedno oko i wbił je z dużą siłą w Klickiego.

— Niech pan spać idzie!...

Lecz jeszcze Klicki nie dokończył swego zdania, gdy oficer wyciągnął rękę i strzelił z rewolweru.

— H a z i a i n!...

Klickiego ten wystrzał zamiast przerazić, jeszcze podniecił.

— Tego już nadto! — zawołał.

Wpadł do swego numeru — wdział pośpiesznie spodnie i palto i chciał wylecieć na korytarz, aby rzucić się na oficera i bądź co bądź odebrać mu rewolwer — gdy oficer trafił wreszcie kluczem na zamek, otworzył drzwi i wpadł do swego numeru.

Tam runął odziany na łóżko i tylko po chwili słychać było, jak przeciągle zaczął zawodzić „Łunnyja noczi“ Rubinsteina, do słów Puszkina:

„Noczi bezumnyja“...

Na kurytarzu skradał się teraz cicho Proszowski i drzwi od oficera na korytarz przymykał.

Klicki natknął się na brunetkę, która także wysuwała się na korytarz.

— On pana nie postrzelił? — zapytała.

— Nie. A pani nic się nie stało?

— Ja się schowałam...

Zaczęła głową kręcić:

— No... no... Co się tu nie dzieje. Ja jestem śpiewaczka, koncertówka. Ja ciągle jeżdżę. Ja już dużo widziałam i przeszłam, ale coś podobnego, to bardzo rzadko!

Oparła się o ścianę.

Wydała się Klickiemu bardzo nędzna i bardzo mizerna. Żółta szyja ze sterczącymi obojczykami, wysuwała się z pod rozpiętego kaftanika i chustki, w którą owinięta była.

— Czemuż pani tu siedzi? — zapytał ją machinalnie Klicki.

W oczach kobiety coś zamigotało, jakby łzy.

— Bo muszę. Ja panu już mówiłam, że ja tu

byłam w załogu. Mój impresario, taki żydek, co mnie i jeszcze czworo ludzi z koncertami obwozi — on zbankrutował i nie miał za co ztąd wyjechać. To jemu gospodarz tego hotelu pożyczył na drogę i mnie w zastaw tutaj zostawił. Ale trzy dni temu przysłał pieniądze...

— Czemu więc pani nie jedzie?

Śpiewaczce nos poczerwianiał i zaczęła nim podciągać.

— Jak ja mam wyjechać? Ja bez paszportu nie mogę się ruszyć a on mi paszport zabrał i nie chce oddać.

— Kto — on? gospodarz?

— Ale... on, ten łajdak, żeby on tak ręce i nogi połamał, on, ten czort, ten dyabeł — ten... ten...

Nie wymawiała jednak nazwiska, oglądała się jakby strwożona.

Wreszcie rozbeczała się na dobre.

— On się mnie czepił i nie chce mnie ostawić w spokoju... A ja jego nie chcę. On mi mówi, że jak ja będę dla niego łaskawa, to on mi każe paszport wydać i wtedy ja będę mogła pojechać... No — niech pan sam powie, jaka to świnia!...

Czarnym wełnianym szalem ocierała sobie łzy, płynące po bladej i wymizerowanej twarzy.

Klicki już instynktem zgadywał, że ten o n, to będzie Tagiejew.

— To policmajster? — zapytał.

Kobieta szlochając, skinęła głową.

— Mnie to nigdzie jeszcze nie spotkało, choć ja całą Rosyę zjeździła. Ale tu w Królestwie, to te po-

licmajstry to niech ich!... co oni wyrabiają!... A już kobietom i żydom to najgorzej u nich. No... dojedli mi...

Zimno było na kurytarzu. Klicki spostrzegł, że dzwoniła zębami, drżała cała.

— Niech pani idzie do numeru — ogrzeje się.

Uśmiechnęła się smutnie.

— U mnie w numerze tak zimno, jak na korytarzu — rzekła — mnie nie palą, nie mam za co.

— Dlaczego impresario pani nie przyśle?

— On sam nic nie ma. On przysłał tyle, co na drogę i na dwa dni życia, a oni mnie tu trzymają już piąty dzień. Ja nawet nie wiem, jak ja pojadę. Już i nie jem i śpię w zimnie, żeby tylko tych pieniędzy na drogę nie ruszyć. Ale i tak przyjdzie mi co z rzeczy gospodarzowi dać w zastaw...

Mówiła tak monotonnym głosem lamentującej żydówki.

Klickiemu zrobiło się jej żal, taka była nędzna i sponiewierana. I na nią potwór gniotący położył swą łapę. Co więcej, uwziął się na jedyne dobro, jakie posiadała ta biedna nędzarka, na jej cześć niewieścią i chciał wziąć ją głodem, zimnem i zmusić do poddania się jego woli.

Nagle — z zaułku kurytarza wysunęła się postać wysokiego, smukłego mężczyzny, odzianego w popielate ubranie.

Robił wrażenie, jakby cały był wyrobiony ze stali. Miał włosy blond o szarym odcieniu, takież wąsy, cerę twarzy bezbarwną i dziwnie szare, chłodne, nawskróś przenikające oczy.

— Przepraszam! — wyrzekł czystą polszczyzną — państwo pozwolą!...

Przechodząc mimo Klickiego i żydówki, pochylił lekko głowę i oddalił się korytarzem, otworzył drzwi jednego z numerów i zniknął.

Klicki wzruszył ramionami.

— Ten skąd się wziął?... wyszedł, jak z pod ziemi!

— On pewnie wracał z restauracyi do swego numeru — objaśniła „koncertantka“ — tam w końcu bocznego kurytarza są schody od jadalnej sali. To jest jakiś młody obywatel, on przyjechał z Litwy od kilku dni.

Mowę jej przerwało wycie oficera, oddanego w załog.

Noczi bezumnyja,
Noczi bezswietlnyja
Pomnju ja was...

Przejmujący tenor jakąś straszną, bezbrzeżną tęsknotą obijał się o ściany hotelu.

— On tak będzie całą noc — podjęła znowu żydówka — śpiewa i całą kołdrę ostrogami rozrywa. Gospodarz by mu dopłacił, żeby już sobie pojechał. Ale on mówi, że honor pułku mu nie pozwala.

Podciągnęła nosem, odgarnęła włosy z czoła i dodała:

— Trzeba iść spać... Dobranoc panu!

I w formie prezentacyi dodała:

— Ja się nazywam Rosa Montag, koncertantka. Ja się uczyłam w konserwatoryum w Wilnie... Dobranoc panu!

Z westchnieniem weszła do swego więzienia i drzwi za sobą przymknęła.

Klicki powrócił także do swego numeru i próbował zasnąć. Wobec zachowania się obojga sąsiadów, było to jednak niepodobieństwem. Oficer klął, śpiewał, pluł, a Rosa Montag szlochała, wycierała hałaśliwie nos i wzdychała.

Klicki z upragnieniem wyglądał dnia i przewracał się na łóżku w pościeli o problematycznej czystości.

Cuchnące powietrze, które wydobywało się z umywalni, z nocnej szafki, z podłogi — przepełniało numer i dławiło go literalnie.

— Ślicznie wykonywane przepisy policyjne! — roześmiał się ironicznie, paląc papierosa za papierosem. — To nie hotel, to kloaka!

Przed jego oczyma przesuwała się w myśli postać owego nieznajomego blondyna, ubranego szaro, z dziwnemi, niepokojącemi oczami.

Ona powiedziała, że to wiejski obywatel, a on wygląda na eks - wojskowego. Taki ma chód miarowy... A te oczy...

Ciągle je miał przed sobą...

Rozwidniało się powoli.

Szary, brzydki dzień wkradał się nieśmiało.

Oficer uspokoił się, Rosa Montag przestała żalić się i szlochać.

Klickiemu mimowoli oczy do snu się kleiły.

— Dziwne oczy — wyszeptał, już na wpół usypiając.

XI.

Przebudzenie się lwa... Biedny Gnat. — Historya z flagami. — Pan policmajster robi interesa.

Nie jak podwładny do zwierzchnika, ale jak niezadowolony z czegoś wspólnik, wtargnął Markowskij do sypialni Tagiejewa.

Choć już rozwidniło się zupełnie, w sypialni było ciemno i tylko mała lampka przed ikoną świeciła leciuchno, jak gwiazdka, zawieszona w przestrzeni.

Tagiejew spał, sapiąc ciężko. Tył, nabierał coraz więcej ciała i dusił się tym tłuszczem. Ręce obrosłe włosami położył na piersiach, z których zsuwała się haftowana w kogutki koszula. Silna woń tytoniu przepełniała sypialnię.

Markowskij do okna podszedł i szybko szafirową storę podniósł. Niemiły, nagły blask przebudził Tagiejewa.

Chrapnął, sapnął — machnął ręką i wybełkotał coś niezrozumiale.

Markowskij spojrzał na Tagiejewa z nieukrywaną wzgardą — podszedł do drugiego okna i tak samo

nagle storą szarpnął. Wtedy już Tagiejew nie mógł wytrzymać tego nawału światła i oczy wybałuszył.

— Kto z d i e ś?

— E t o ja!... Przyszedłem z dokładem.

Tagiejew wzdychając, usiadł na łóżku.

— E... Boże mój! Daliby wy mnie trochę pospać!...

— Jakże pospać? — odburknął się Markowskij — kancelarya pełna ludzi.

— No... no...

W jadalni służąca Katiusza, przywieziona z Rosyi, stawiała na stole samowar.

— Idźcie gołąbku do jadalni, napijcie się czaju, a ja w mig będę przy was! — zapraszał Tagiejew, gramoląc się z pościeli.

— Tylko się nie spoźniajcie — upominał Markowskij — a to przepaść dziś d i e ł — niewiadomo, za co chwycić!

Tagiejew wzruszył ramionami.

— Poradzi się — mruknął, wdziewając skarpetki.

Za kilka chwil nie umyty, lecz odziany w spodnie, pantofle i szarą kurtkę, siedział przy samowarze naprzeciw bladego i niewyspanego Markowskiego.

— Cóż, wczoraj wy z tym jakimś durakiem z Krakowa uporali się?

— A!... uporali się! — odmruknął pomocnik — ale z jakie trzy godziny nawłóczyli my się i na wał i do Frumele i czort wie gdzie. Ale go tak Josełe w błocie unurzał, że mu się odechce na drugi raz rozumu uczyć.

Tagiejew z radości aż ręce rozłożył.

— W błocie wy go umaczali, gołąbku... to ślicznie.

— Jak świnię... Kazałem go wieść środkiem ulicy i samymi zaułkami. — Cały był oblepiony błotem.

— Cóż wy u Frumele robili?

— Posłyszał, jak Haskiel i Kozik umawiali się, że tam idą — no więc musiałem go i tam zawieść!

— Ale oni tam nie byli?

Markowskij prosto w oczy Tagiejewowi spojrzał.

— Oni tam byli, ale ja naprzód Siemipudowa posłał i oni w czas umknęli.

— No... tak... ślicznie!

Markowskij brwi zmarszczył.

— Nie tak ślicznie, jak wy myślicie — bo ten chłop, co go obdzierali, dziś się do kancelaryi przywlókł i siedzi. Całą noc przeleżał za deskami na wale i rano się zwlókł i przyszedł.

Tagiejew porwał się od stołu wściekły:

— Czemu go Barłamow puścił? Powinien go był nastraszyć, żeby policyi nie niepokoił i do domu go namówić — tak, jak zawsze robi.

Markowskij ręce rozłożył.

— Nie wiem... Może Barłamow się zdrzemnął.

Tagiejew cały siny zaczął latać po pokoju:

— Ja Barłamowa za tę wczorajszą noc to by chętnie po karku! A to drań, edakij... dzieli się pieniędzmi na ulicy, przez co tego duraka na nas ściąga. A teraz, zamiast tak zrobić, jak zawsze, on tego chłopa jeszcze nam pakuje!

Otworzył drzwi do przedpokoju i wrzasnął:
— Siemipudow!
W tej chwili z ziemi wyrosła sylwetka ogromnego policyanta.
— Zawołaj tu tego chłopa!
Markowskij powstał:
— A... jeszcze jest prośba tej Rosy Montag o paszport...
— Nie wydawać!... ja o tem z wami później...
— Potem... ja znalazł wczoraj u Lajnbrama bezpaszportową z Białegostoku.
— Niech Lajnbram tu przyjdzie!
— On tu jest.
— Ja się z nim zobaczę...
— Potem...
Lecz Siemipudow do przedpokoju wtaczał obłoconego i skrwawioncgo chłopa.
— Pan policmajster chce z wami mówić!...
Natychmiast chłop w płacz uderzył.
— A... świetny nacelniku!... — zaczął.
Siemipudow usunął się szybko do sieni. Markowskij wyszedł do kancelaryi. Tagiejew i chłop pozostali sami.
W przedpokoju było ciemno, tylko z otwartych drzwi jadalni biło prosto szare światło na twarz chłopa, wydobywając jego tragiczną sylwetkę z cienia. Był to typ podmiejskiego chłopa z Królestwa, smutnego i zgnębionego warunkami, w których rozwijać mu się przychodzi.
Krwawa, nie zaschnięta jeszcze rana przecinała mu czoło, skorupa krwi osiadła na policzku i prawej

stronie głowy, klejąc włosy czarną, zgęstniałą posoką.

Tagiejew nogi rozstawił, wypiął piersi i oczami na niego błysnął.

— Wy czego?

— Mnie, świetny nacelniku, zbóje na wale obrabowali... — zaczął chłop z lamentem.

Lecz Tagiejew przerwał mu ostro:

— Kak wasza familja?

Chłop, już przyuczony do tego pytania, z którem od dziecka spotyka się w Królestwie, odparł:

— Gnat, Bartłomiej Gnat.

— A po ojcu?

Chłop zafrasował się.

— Ojca to ja nie znał...

Tagiejew przybrał srogą minę.

— Jak? co? — wrzasnął.

— A no... proszę nacelnika, ja niby nieślubny syn, to...

Tagiejew skrzywił się i ze wzgardą na chłopa popatrzył.

— Ślicznie! — wyrzekł.

Chłop w głowę się skrobał.

— Świetny nacelniku... — zaczął znowu — ja tu ze skargą, mnie na wale jakieś zbóje obdarli...

— Kiedy?

— Dziś w nocy.

— Co ty robił w nocy na wale?

— Ja... był w mieście i zabawił się trochę...

— Ty się bawił? Tak ty był pjan?

— No... może i trochę, jaśnie nacelniku, ale nie

bardzo. Do mnie się czepił taki tutejszy jeden i prowadził do szynku, a potem wywiódł na wał i tam był zaraz drugi i zbili mnie... i pieniądze zabrali...

Lecz Tagiejew mu nie dał więcej mówić.

— Co ty śmiesz do władzy przychodzić i czas zabierać? Ty był p j a n, ty sam gdzie sobie łeb rozwalił, sam pieniądze zgubił... ty ścierwo...

— Świetny naczelniku! Przysięgnę, było ich dwóch...

— M a ł c z i! był ty jeden — moi ludzie ciebie widzieli, jak wlazłeś na wał, jak na deski upadłeś... jak sobie pysk zakrwawiłeś... Oni się na ciebie zdaleka patrzyli...

Chłop zamilkł i oczy wytrzeszczył.

— A ty Bogu dziękuj, że oni ciebie nie zabrali i do mnie nie przywiedli. A to za p j a n s t w o i za nieporządki na drodze cesarskiej byłbyś karany siedmiorakim aresztem i do gubernii odesłany. Słyszysz, ty wściekła p j a n i c o...

— Jaśnie nacelniku...

Aż w kabłąk zgiął się Gnat pod tym krzykiem, pod tą groźbą siedmiorakiego aresztu i odesłania do gubernii.

— No co? co?.. — krzyknął znów Tagiejew — co?.. czego jeszcze chcesz?

Chłop już nic nie chciał tylko wydostać się czemprędzej na wolność.

Lecz Tagiejew jeszcze nutę forsował.

— A ty za fałszywy donos, za, to że władzę niepokoisz, powinieneś siedzieć parę dni... słyszysz?...

Chłop od razu na kolana upadł. Słyszał on, choć



. . .Jaśnie nacelniku... — zaczął płaczliwym głosem — a zmiłuj się! nie zamykaj!... (str. 131.)

był z dalszej wsi, że tu już nie jeden chłop przesiedział parę dni w areszcie.

— Jaśnie nacelniku... — zaczął płaczliwym głosem — a zmiłuj się! nie zamykaj! tam gospodarstwo... i żona słabuje...



Całą noc przeleżał za deskami na wale. (str. 125.)

— Wy złodzieje sami! — wrzeszczał Tagiejew — a drugich złodziejami robicie. A skąd ty miał pieniądze, skąd?

— Ja krowę sprzedał.

— Ty?... skąd ty na krowę miał, kiedy ty nie gospodarski syn?

— Żonine rodzice dali...

— Ja z ciebie s p r a w k i ściągnę, ja się dowim, skąd ty pieniądze masz...

— Jaśnie nacelniku... Panem Jezusem się świadczę...

Pokora chłopa podniecała coraz silniej histeryczną naturę Tagiejewa.

— M a ł c z i! — krzyknął — i na chybił trafił kopnął nogą w stronę chłopa.

Lecz Gnat usunął się w porę, a tylko porwał się z klęczek i ku drzwiom się cofnął.

— Precz! — krzyknął Tagiejew — wynoś się z miasta. A jak się odważysz rozpowiadać, że cię tu na wale obdarli, to będziesz siedział w siedmiorakim areszcie...

— Nie będę... nie będę... jaśnie nacelniku — wyjąkał, drżąc cały, chłop i klamki szukał. Otworzył wreszcie drzwi do sieni.

— Won z nim! — krzyknął Tagiejew.

Lecz nim Siemipudow się ruszył, już chłop po schodach ciężkimi butami na dół się walił.

Cała sień pełna była interesantów. Stali zbłoceni, pomieszani z policyantami. Byli to żydzi, żydówki, chłopi, kupcy. Dwóch inteligentnych i porządnie odzianych panów czekało z rezygnacyą pod ścianą. Najbliżej siebie dostrzegł Mordkę Łajnbrama, który cichy, blady, apatyczny stał skrzywiony i niechętny. Obok niego Josełe Pinkas ze skrzypcami pod pachą szeptał coś z jakimś kupcem, który zafrasowany słuchał, brodę w ręku ukrywszy.

— Mordka Lejnbram!

Spokojnie, bez żadnego śladu wzruszenia, anemiczny mąż Frumele wszedł do przedpokoju.

Rękę tylko zanurzył w kieszeń paltota, który włożył na ten sam kostyum, w jakim przedstawił się Klickiemu we wnętrzu swej nory.

Tagiejew ruch ten dostrzegł.

— Ty... masz b e z p a s p o r t n ą? — zaczął.

Lecz Lajnbram rękę ku niemu wyciągnął.

— Ta... jest, proszę pana nacelnika...

W ręku podawał Tagiejewowi dziesięciorublowy papierek.

Lecz ten rzucił się, jakby go osa ugryzła.

— Co ty? — wrzasnął — co ty? — dziesięć rubli mi suniesz? Ty się wściekł!

— Ja muszę jeszcze panu Markowskiemu pięć... — odparł żyd z flegmą.

— To mnie nie obchodzi — ja mam więcej kosztów, jak b e z p a s p o r t n y c h trzymam w mieście... Ja dwadzieścia pięć... inaczej nie mogę. A to w o n dziewkę nazad w dwadzieścia cztery godzin... słyszysz?

Żyd ani drgnął.

Zdawał się coś obliczać, nad czemś myśleć, zastanawiać się.

— Ja dodam jeszcze trzy ruble... więcej ani kopiejki — wyrzekł wreszcie powoli i stanowczo.

Tagiejew uczuł, iż Lajnbram rzeczywiście więcej łapówki nie da.

— No... dla ciebie, szelmo jeden, to zrobię. Ale ostatni raz. — Jeszcze jedno, tak dwadzieścia pięć.

A teraz co do Frumele, każ jej tu przyjść. Rumu niech przyniesie, bo mi wyszedł.

Żyd podał policmajstrowi pieniądze.

— Ona miała dziś tu być — wyrzekł — ona chce mieć pozwolenie, aby mogła trzymać otwarte do drugiej...

Tagiejew wargi wydął.

— Ach wy skatiny! — odparł — wy trzymacie otwarte nie do drugiej, ale do rana. Tylko wy pamiętajcie, że ja tam kiedy przyjdę... i zrobię porządek...

Lajnbram rybie swe spokojne oczy utkwił w źrenicach Tagiejewa.

Tyle u nich było pewności siebie, tyle przeszycia na wylot duszy policmajstra, że Tagiejew się zmieszał.

— Lepiej przecie... — wybąknął — jeżeli mieć będziecie rzeczywiście pozwolenie odemnie i nie będziecie się potrzebowali kryć tak, jak dotąd.

— My się nie kryjemy! — flegmatycznie odparł żyd.

— No... zawsze...

— Josełe nam mówił już o tem... Ale... on duży pieniądz podał... Pan policmajster podobno chce aż sto rubli.

Mówił otwarcie — nie owijając nic w bawełnę, cyniczny i szczery.

Tagiejew ręce rozłożył.

— To i tak tanio... — odburknął — koszta mam, koszta...

Widoczne było, że jeszcze chce coś osłonić, lecz Lajnbram ramionami ruszył.

— My sto rubli nie mamy.

Tagiejew cicho śmiać się zaczął.

— Sto rubli nie mają! Ot s k a t i n y! Na pieniądzach leżą...

I nagle pięścią pod nos Lajnbrama zajechał.

— Nu... to kiedy nie macie pieniędzy, to już się przypilnuje, żeby wy w oznaczony czas zamykali.

Lajnbram nawet się do ściany nie usunął.

— My sto rubli nie mamy...

— To w o n!... A niech tu Frumele przyjdzie, bo ty wypluta bestjo nic nie wiesz i to j e j proceder.

Żyd jak dwa noże, tak wbił swe anemiczne oczy w Tagiejewa.

— My sto rubli nie mamy!

Drzwi otworzył i wyszedł.

Pod progiem czyhał już na jego wyjście Josełe.

— Ja dwa słowa do pana policmajstrze. Czy mogę?

Tagiejew go wpuścił.

— Czego chcesz?

Josełe jeszcze brudniejszy, jeszcze bardziej cuchnący w dzień niż w nocy, wypełnił ciasną przestrzeń przedpokoju zgniłem, ale ropnem powietrzem.

— Ja panu policmajstrze co powiem... — wyrzekł od progu — jest dobry interes, jest kilka dobrych interesów...

— Gadaj smrodzie!...

— Aj! aj! co za brzydkie słowo. A Josełe się tylko dla pana policmajstrze stara. Ja sobie pomyślał,

że można kazać kupić nowe flagi wszystkim kupcom i obywatelom...

— Kupili dwa lata temu...

— Nu... to się już zniszczyły, a na galówkę to brzydko dla miasta, jak zniszczone flagi wiszą... Niech oni wszyscy nowe kupią.

Tagiejew uważnie słuchać zaczął.

— Ja już obgadał z Izaakiem Feinbube tę sprawę. On flagi sam robić każe, a pan policmajster przykaże, coby tylko od Feinbuba flagi kupowali. Inne będą policyanty zdzierali.

Tagiejew milczał. Ten interes przedstawił się seryo i mógł przynieść paręset rubli łapówki.

— Ile daje od flagi? — zapytał przyciszonym i jakby pełnym uszanowania głosem.

— On daje rubla... — rzucił Josełe i zmrużywszy figlarnie kaprawe oko, mrugać niem począł.

Tagiejew aż się zapienił. Żyły mu nabiegły fioletową posoką.

— A stierwa, swołocze... prachwosty... rubla, a w zęby butem chcesz?...

Groźny ku Josełowi się zbliżał — ten za wieszadła poskoczył.

— Nu... co się ciskać? On może jeszcze podejdzie i na półtora rubla. To jeszcze do zrobienia. On porządny człowiek, on rozumie swój interes.

Tagiejew cofnął się i sapać zaczął.

— Nie on mnie, a ja jego w garści trzymam! — zaśmiał się z pogardą — ja mogę kazać flagi nowe kupować, albo pozwolić stare wymieniać, to moja wola.

— To się wie...

— I taniej nie zrobię, jak dwa ruble od flagi.

— Nu... ja jemu powim... to się zrobi!

Widocznem jednak było, że miał jeszcze inne ważniejsze sprawy do załatwienia. Oglądał się na drzwi, do jadalni prowadzące.



...ten za wieszadła podskoczył... (str. 136.)

— Ja mam jeszcze co powiedzieć...

Tagiejew zrozumiał.

Wszedł do jadalni, za nim posunął Josełe w obłoku swej kloacznej woni.

Wyszedłszy, drzwi zamknął i tajemniczo wyrzekł

— Oni się buntują...

Tagiejew szybko się ku niemu odwrócił.

— Czego chcą?...

— Im ciągle o ten bazar idzie...

Tagiejew pięścią w stół walnął tak, że zastawa do herbaty zadźwięczała gwałtownie.

— Nie pozwolę i nie pozwolę...

— Oni znów chcą wnieść podanie do rządu gubernialnego.

— To im nic nie pomoże.

— Ja im także tak mówię.

Tagiejew wzburzony zaczął latać po jadalni.

— Ot ryła pohane!... Targować to chcą dziennie setki, a ciężko im złożyć się aby... ot co... ot co...

Josełe znów oczkiem mrugnął.

— Ja im mówił. Niech się panowie kupcy złożą choć trzysta rubli, a ja, Josełe, w tem, że pan policmajster pozwoli na to, żeby targi po staremu zostały na wale, a nie z musu w „Nowym Bazarze". Ja im tłumaczył sto razy nie raz, że oni sami więcej dziennie tracą przez to, że im nie wolno targować na wale...

— No i co?...

— Oni mówią, że trzysta rubli, to duży pieniądz.

Tagiejew zatrzymał się chwileczkę. Wreszcie nabrał powietrza — i wyzionął całą seryę przekleństw, w których „macierzyństwo" było srodze obrażone.

— To niech dalej targują w bazarze, mordy jedne.... — zakończył wreszcie, osuwając się na krzesło.

Josełe głową ze współczuciem udanem kiwał.

— Aj! aj! biedny pan naczelnik — tak się mar-

twi, tak się gniewa!... Niech pan naczelnik mnie to zostawi, ja już z nimi pogadam. Może oni rozum nabiorą...

Układną minę przybierał.

— Pan policmajster może i o biednym Josełe nie zapomni.

Lecz Tagiejew przypomniał sobie widocznie o Klickim i gniew w nim zawrzał ku temu intruzowi, który nagle najniepotrzebniej w jego sprawy się wmieszał.

— A..., ten durak z Krakowa? — zapytał, zbliżając się do stołu i sięgając po szklankę, aby sobie nalać herbaty. — Czy ten s k a t i n a jeszcze tu długo będzie siedział?

Josełe skrzywił się z pogardą.

— Ten... pan... co my go wczoraj po błocie wodzili?

— No... on!

— E... on pojedzie. Ale on coś zdaje się do doczki Horskiego zajeżdża. Chce się na niej żenić.

— C z t o?

Tagiejew specyalnie nienawidził Horskiego. — Ten spokojny, zamożny kupiec imponował mu. Tagiejew czuł w nim pewną siłę, steroryzowaną na razie, ale wiedział, iż ta siła mogła w danej chwili wybuchnąć i przeciw niemu pociągnąć może całe miasto.

— Ten Klicki musi stąd iść w o n!...

Josełe poskrobał się w głowę.

— Nu... może on ma paszport nie w porządku... — rzucił, jakby mimochodem.

Tagiejew się zamyślił.

— U w i d i m! — odparł.

Przeraziła go myśl, iż Klicki wie za dużo, wie o dzisiejszej nocnej kradzieży, o Barłamowie — może rozpowiedzieć to Horskiemu, w danej chwili mogą przeciw niemu mieć jakieś konkretne dowody.

Do tej chwili szło wszystko gładko. Nikt się nie buntował, nikt na gorącym uczynku nie złowił ani jego, ani jego wspólników.

Josełowi widocznie nie na rękę było zasumowanie się Tagiejewa.

— Pan naczelnik smutny? — zaczął układnie — a ja chciałem co dobrego powiedzieć... Ta panna Rosa Montag, ona już jest bardzo zmartwiona...

Tagiejew zaczął uszami strzydz.

— Ja dziś u niej był z samego rana. Ona płacze i mówi, że i głodna i zimno. Ona niedługo się zgodzi przyjąć pana naczelnika... żebym tak zdrów był.

Oblicze Tagiejewa rozjaśniło się radośnie.

— Ty jej powiedz, że ja ze sobą paszport przyniosę i że zaraz na drugi dzień będzie mogła jechać.

— Nu... ja jej to mówił.

— A ona?

— Jeszcze płacze, ale ona się zgodzi... Ona będzie jeszcze bardzo kontentna... Ona się cieszyć będzie, że ją taki honor spotkał i że taki śliczny mężczyzna, jak pan policmajster, dla niej łaskawy.

Tagiejew mimowoli w lustro okiem łypnął.

Ów „śliczny mężczyzna“ przedstawił się jako gruby, pniakowaty, ze szczeciną na głowie, czerwony

i nieumyty czterdziestolatek — ale Tagiejew musiał sam sobą być zachwycony, bo uśmiechał się łaskawie do odbitego w lustrzc konterfektu.

Uśmiech ten pochwycił w lot Josełe i obleśnie zbliżył się do Tagiejewa.



...Tagiejew mimowoli w lustro okiem łypnął... (str. 140.)

— Już ja tak ustroję — szepnął, a wyraz niehamowanej zmysłowości ubarwił mu wstrętną twarz — że i panna Montag będzie dla pana naczelnika łaskawa i kupcy postąpią za te targi na wale, tylko pan naczelnik i dla mnie coś zrobi. Tu przyjdzie

Szlojme Rosenduft, ten bogaty Szlojme, prosić pana policmajstra o pozwolenie grania na weselu córki. Niech pan policmajster jemu takie pozwolenie wyda, ale niech on mnie weźmie za muzykanta. On chce sprowadzić muzykanta z innego miasta, bo on mówi, że ja za drogi... Ale jak pan naczelnik mu tylko pod tym warunkiem pozwolenie wyda, że on mnie weźmie, to ja ładnie zarobię i...

— Nu, dobrze!... — przerwał mu Tagiejew — ale on mnie musi za pozwolenie wino przysłać.

— On przyśle!

— Dziesięć flaszek.

— On przyśle...

— No... a...

Josełe w mig zrozumiał.

— A ja panu naczelnikowi trzecią część z tego, co zarobię, święcie przyniosę... Josełe nie oszuka... On jest uczciwy człowiek. Szlojme zapłaci, bo on by nie chciał mieć wstyd, żeby u niego było wesele bez muzyki... Ny... ist git!...

Podskoczył i w lansadach ku przedpokojowi posunął.

Tagiejew go skinieniem ręki zatrzymał.

— A ty idź do tego... z Krakowa, tego... Klickiego i poradź mu, żeby jechał i żeby język za zębami trzymał.

Josełe ręką machnął.

— Już wim!... — wrzasnął — on tu zimować nie będzie!...

Wypadł do przedpokoju, a stamtąd do sieni. Tagiejew herbatę nalaną powoli pił, nie spiesząc się

wcale. Dzień przedstawiał się nieźle. Zyski były już w powietrzu. Łapówki leciały, jak ptaki w samotrzask.

Tymczasem w sieni tłok stawał się coraz większy. Już schody były zapchane. Wszyscy mieli miny przygnębione i smutne. Na każdym z tych ludzi znać było straszną dłoń żelazną, gniotącą go w najdrobniejszych jego odruchach życiowych. Szli z rezygnacyą przeważnie nieść swą daninę temu smokowi, który, wyciągając rękę po krwawo często zapracowany zarobek, drugą rękę zaciskał w kułak i pod oczy sunął. Niektórzy buntowali się jeszcze, próbowali „stawać okoniem“, lecz wprędce, zgnębieni drobiazgową podłotą i gnębieniem na każdym kroku, tracili wolę i energię.

Coraz silniej, coraz ciaśniej zasuwała się dokoła całego miasta żelazna obroża wyzysku. Hydra jakaś w ramiona swoje zagarniała tę garstkę domów, cisnących się na ubogiej przestrzeni, cuchnącej i źle utrzymanej. Hydra ta straszna ssała wszystko, co wyssać było można, nie gardząc niczem, najdrobniejszą daniną, którą jej przemoc ku sobie ściągnąć była w stanie.

Tłum ludzi milczących, z datkami, przeważnie już przygotowanymi, tłoczył się w czarnej i pleśnią okrytej klatce schodowej. Pomiędzy nim przeciskał się i uwijał, jak rudy robak, Josełe, szepcząc ciągle tajemniczo z każdym, porozumiewając się swoją łamaną polszczyzną, to znów szwargocąc żargonem, „urabiając“ już interesa, czy to dla Tagiejewa, czy dla Markowskiego.

Bo nie dość było wejść do owego przedpokoju, który stanowił widocznie rodzaj poufnej kancelaryi policmajstra. Grube drzwi i portyera z sołdackiego sukna, specyalnie na ten cel zawieszona, tłumiła doskonale wszystkie głosy, które by mogły przedostać się z przedpokoju do sieni. Lecz jeszcze należało wejść potem na prawo, do kancelaryi, w której we dnie, w smrodzie i ohydnem gorącu, bijącem z rozpalonego pieca, rezydował Markowskij.

Jakkolwiek on trudnił się przeważnie pobieraniem łapówek za paszporty, to przecież i za inne sprawy należało się zawsze opłacić „pomocnikowi". W miarę daniny złożonej Tagiejowi i ta skromna sumka ginęła w ręku wysokiego, ponurego i wiecznie niezadowolonego pomocnika. Tylko — przynajmniej Markowskij nie obchodził się gburowato i nie podjeżdżał kułakiem pod oczy. Czasem obraził „macierzyństwo", ale i to pod nosem. Być może, iż obecność pisarzy kancelaryjnych nie dozwalała mu na tagiejewskie wybryki, być może, iż natura jego nie potrzebowała podobnych ujść, a nawet doznawałaby pewnej przykrości. Dość, że w kancelaryi sprawy załatwiały się szybko, cicho — bez wrzasku. Ogromna szafa ustawiona w poprzek odcinała część izby i tworzyła ciemny zakamarek, w który usuwał się z interesantami Markowskij. Kilka słów zamienionych szeptem, czasem tylko kilka gestów i sprawa była załatwiona.

Niemniej jednak, choć w innej poprowadzony formie i ten wyzysk ciężył strasznie na mieszkańcach miasteczka. Gdy który z nich po załatwieniu „sprawy"

wychodził wreszcie na ulicę, miał minę człowieka złupionego ze skóry w zaułku ciemnego lasu.

I co najgorsze, wiedział, że się to powtórzy — że będzie musiał znów powrócić na te straszne schody, do tego przedpokoju za portyerę z sołdackiego sukna — że będzie musiał patrzeć na zapienioną twarz Tagiejewa, słuchać jego wrzasku, a potem w smrodzie i gorącu w kącie za szafą spotkać wyciągniętą rękę Markowskiego... Wszystko to się powtórzy.

I może niedługo.

Bo hydra nigdy nasycić się nie może.

I nie śpi...

. . . .

Całym korowodem smutnym wchodzili teraz „interesowani“ — do przedpokoju Tagiejewa.

On — w miarę ich przybywania stawał się coraz sroższy i bardziej nienasycony. Były chwile, w których się zdawało, że chciałby ich wszystkich razem zebrać, otoczyć postronkiem i targać nimi, wołając: „dawajcie wszystko, co macie przy sobie!“ — Jakiś szał go porywał — szał praktyk tego rodzaju odbywanych już lata całe, które z początku nieśmiało uprawiane, coraz więcej nabierały mocy i czelności, wypychając obsłonki, po za któremi się kryły.

W tłuszcz, w pieniądze, w zadowolnienie zmysłowe wzrastając Tagiejew — opierał się teraz na silnej podstawie, jaką daje zwykle przyjęte i akceptowane milczącą ugodą prawo zwyczaju. Silne prawo, nienaruszone — w krew wrosłe...

Ten szary, smutny poranek, który ołowianą ko-

pułą zaciążył nad miasteczkiem, był jednym z szeregu takich samych ranków, które bez zmiany płynęły dla niego pieniędzmi, wydzieranemi od tego tłumu, który zrezygnowany tłoczył się pod drzwi jego.

I Tagiejew bez troski był prawie, bo wiedział, że mu ten ranek przywiedzie cały szereg innych ranków, i cały korowód takich zrezygnowanych ludzi, mających już przygotowane dla niego pieniądze w drżących rękach.

I dlatego Tagiejew obrastał w tłuszcz i w pieniądze...



XII.

Józia od Matołkowskiej. — Unita. — Młodzi i starzy. — Projekt protestu się wyłania.

Od policmajstra, „dieła“ załatwiwszy, Josełe Pinkas jak na skrzydłach frunął do hotelu.

Sam gospodarz już wstał dawno i teraz po dziedzińcu chodził, ujadając się z furmanami, którzy u niego tej nocy w stajniach nocowali. Czynił to jednak z pewną godnością, przystosowaną do jego dość przyzwoitej powierzchowności. Widać było, że ten człowiek dużymi krokami idzie do majątku, że gardzi drobiazgami, a chwyta się już troszkę większych przedsiębiorstw, które mogłyby mu dać cokolwiek większy zarobek.

Josełe Pinkas przed bramą natknął się na Barłamowa.

Policyant był zły, niewyspany i dźwigał z trudnością swój brzuch rozdęty i nieforemny.

Josełe ku niemu podskoczył.

— Zdrastwujtie, Barłamow! — skrzeknął — wy lepiej nie jawcie się dziś u policmajstra. Mnie Markowskij mówił, że on na was gniewny. Wy sami

mogli wpaść w brzydki interes i pana policmajstra pociągnąć. Ale on człowiek uczciwy, on was wyratował. My dopomogli!...

Barłamow obojętnie tej przemowy wysłuchał.

— N a p l e w a t'! — wyrzekł, charakterystycznym ruchem machając ręką.

— Ny... — ciągnął Josełe — a co wy mnie dacie, Barłamow, za to, że ja was z tej historyi wyskrobał.

— Ty?



— Ny — ja. — Przecie ja dał znać panu policmajstrowi i panu Markowskiemu. Ja tego pana z Krakowa tak długo po błocie wodził, aż tamci dwaj od „mamusi" uciekli. Ja to wszystko ustroił...

Barłamow westchnął — do kieszeni sięgnął i trochę drobnej monety Pinkasowi w łapę wysypał.

Pinkas skrzywił się niezadowolony.

— Ej!... wy Barłamow strasznie się skąpi zrobili... ej to źle...

Lecz już mówić dalej nie mógł, bo od strony wału krzyk się podniósł i aż na Rynek wichrem gnany przypadł.

— To dziś n a s i operują? — zapytał cicho Pinkas Barłamowa.

Policyant głową kiwnął.

— Nie będą dużo robić. Tylko nową sztuczkę. Będą zasłaniać oczy chłopom i pytać „kto ja?“ — a drugi mu pomaca kieszenie.

Pinkas aż cuchnącą gębę rozdziawił z podziwu.

— Ny... ny... — cmoknął. — Kto to w y d u m a ł?

— ***!

— To chwat! to brylant!... ten wszystko wymyśli.

Krzyk znów się ponowił. Przechodzący przez Rynek nawet nie zwrócili głowy w tę stronę, skąd się krzyk wydobywał.

Barłamow się dźwignął.

— Idę! p r a s z c z a j j e w r e j — wyrzekł w formie pożegnania do muzykanta.

Lecz on już go nie słuchał, bo cały był wpatrzony w zbliżającą się do hotelu postać kobiecą. Była to dziewczyna młoda, dość ładna, ale z twarzą jakby uwędzoną i przywiędłą. Ubrana była jak przeciętna pokojówka, ale jakiś fontaż różowy, zawiązany wyzywająco, strojnie uczesana głowa czyniły ją podobną raczej do typu dziewczyny, usługującej w restauracyach lub kawiarniach nocnych.

Szła ostrożnie przez błoto, wybierając suchsze

miejsca i stawiając pretensyonalnie nogi duże i gminne, odziane w wysokie, zapinane na guziki buciki.

W ręku trzymała list i zmierzała widocznie prosto do hotelu.

Josełe, zobaczywszy nadchodzącą, puścił Barłamowa, który w stronę wału zawrócił, i do dziewczyny przypadł.

— Panna Józia gdzie? — zapytał ciekawie.

Nazwana panną Józią — cielęce, błękitne oczy zmrużyła i z dużą nonszalancyą odparła:

— A tobie parchu co do tego?

Josełe ciągle miał układną minę.

— Mnie, nic. Tylko... Markowskij kazał pannie Józi powiedzieć, że bardzo się gniewa, że panna u niego dwa dni nie była.

Panna Józia wpadła w wściekłość.

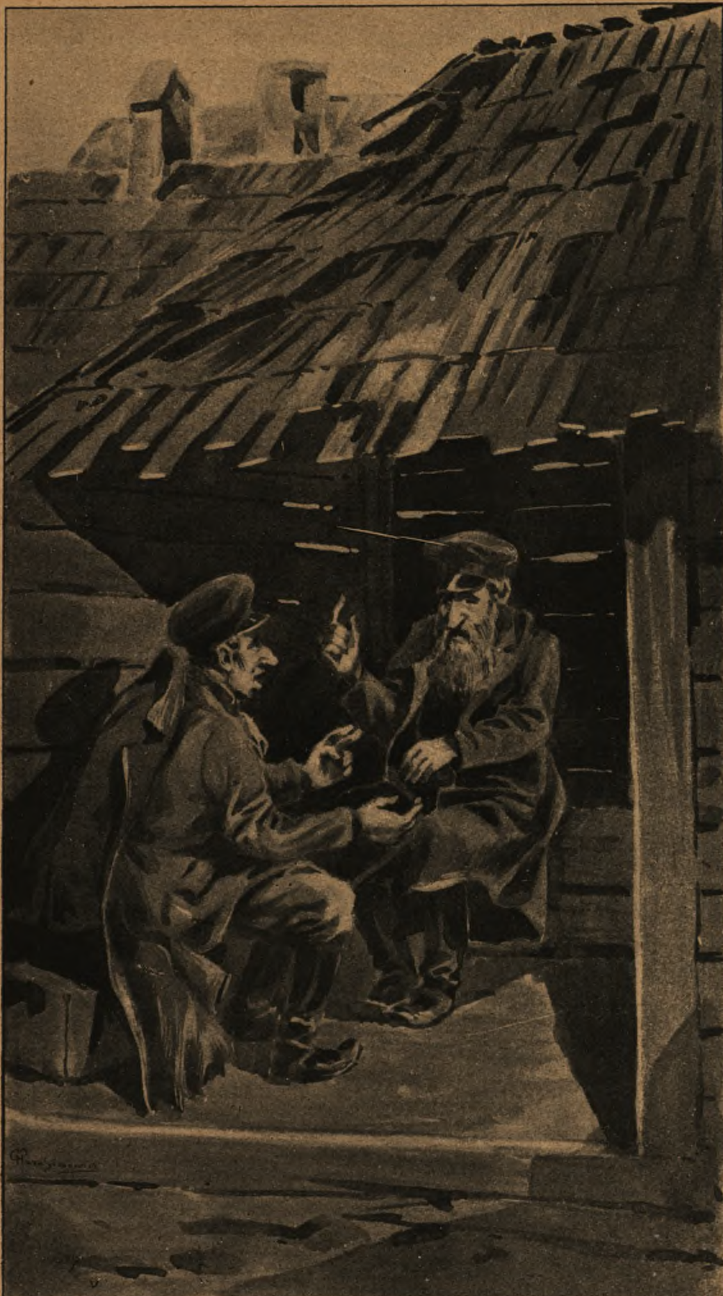
— Szlag by go trafił, twego Markowskiego! — wyrzekła grubym głosem. — Jeżeli nie byłam, to dlatego, że mi się nie podobało...

— Ny... może... — odparł Josełe — ale panna nie powinna tak robić. On pannę od restauracyi pani Matołkowskiej wziął, wykupił, dług zapłacił, sukien naprawiał i tu przywiózł.

— Ojej! — cisnęła się Józia — wielkie mi szczęście... Tam za mną studenty i oficerowie w łby sobie strzelali, a taki tam pomocnik policmajstra to dla mnie żadna figura. I teraz kazał mi iść w służbę.

Josełe obejrzał się na wszystkie strony.

— Panna Józia wie, że to tymczasem, tylko na jakiś czas... — szepnął — Markowskij nikomu nie mógł tak zawierzyć... On pannie Józi wynagrodzi.



...i obliczali, po ile będzie można nowe flagi sprzedawać. (Str. 153.)

— Ij!... gruszki na wierzbie.

— Ny... już ja ręczę. On porządny człowiek. Niech panna Józia do niego idzie dziś jeszcze.

— Właśnie, że nie mogę, bo będą goście. Ten pan z Krakowa będzie na obiedzie. Do niego idę z listem...

— Ny... ny... to już dobrze... to niech panna Józia dobrze uszami strzyże i słucha. A co tylko na pana Tagiejewa, albo na pana Markowskiego posłyszy, proszę dobrze zapamiętać i powtórzyć.

— Ja do tej pory nic nie słyszałam. Oni się strzegą...

— No... no... Dobrze tylko pilnować, a nie ustrzegą się. Do widzenia pannie!

Podreptał w stronę Izaaka Feinbube i za chwilę obaj, zapchani pod szopę, naradzali się i obliczali, po ile będzie można nowe flagi sprzedawać i ile z tego można Tagiejewowi w formie łapówki odstąpić.

Tymczasem panna Józia weszła po schodach na kurytarz i skierowała się do numeru Klickiego.

W chwili, gdy pukała do drzwi, rozległ się w numerze sąsiednim wystrzał rewolwerowy. To oficer, zostawiony w „załog", dawał w ten sposób znać numerowemu, że się obudził i pragnie napić się czaju.

Klicki, zbudzony wystrzałem, pukaniem i piskiem Józi, wyskoczył z łóżka, i uchyliwszy drzwi, list odebrał.

Było to parę słów od Jani, która ponawiała zaproszenie na obiad i zapytywała, czy nic mu się złego w ciągu nocy nie przytrafiło.

„Żyjemy tu jak na wulkanie, w ciągłej niepe-

wności. Pan nie tutejszy, tem bardziej mógł popaść w jakie niebezpieczeństwo. Tacio nie mógł sobie darować, żeśmy pana tak samego puścili. Ja byłam niespokojna całą noc".

Klicki list do ust przycisnął.

Odpisał kilka słów, zapewnił, że się stawi i przezedrzwi Józi wraz z trochą drobnej monety podał. Dziewczyna schowała list i pieniądze i schodzić zaczęła. Widocznie była dobrze obznajomiona z rozkładem hotelu. Idąc, przeglądała się w krzywych i upstrzonych przez muchy lustrach. Przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu przyjechała jako „sadierżanka" pana Markowskiego z Warszawy i w tajemnicy spędziła w tym hotelu długi czas w bezczynności i lenistwie. Potem — Markowskij, poznawszy jej spryt, zaczął ją używać do rozmaitych posług policyjnych, i z niektórych Józia wywiązywała się zadowalniająco.

Większą misyą, powierzoną jej, było osadzenie w roli pokojówki u Horskich, aby zbadała teren i usposobienie kupiectwa dla Tagiejewa. Od pewnego czasu bowiem węch Markowskiego wyczuwał jakieś głuche wrzenie. Tagiejew, mniej subtelny, tego nie dostrzegał, Markowskij jak pies węszył i czuwał.

Józia z westchnieniem przeszła koło dawniej zajmowanego przez siebie numeru. Chętnie byłaby wróciła do dawnego bezczynnego życia, ale była to istota o dziwnie małej inicyatywie i robiąca zawsze to, co jej ktoś kazał. Dawniej kręciła nią Matołkowska, właścicielka nocnej knajpy na Marszałkowskiej ulicy, obecnie wziął ją w posiadanie Markowskij i z jego szponów nie umiała się wywikłać odpowiednio.

Klicki ubrał się powoli i gdy Proszowski przyniósł mu z trudem oczyszczone buty i ubranie, odłożył je, gdyż jeszcze były wilgotne i niemożliwe do użycia.

Klicki dostrzegł, iż numerowy czegoś chce, lecz widocznie nie śmie powiedzieć.

Jego poczciwa, spokojna twarz z obwisłymi wąsami — uparta i znamionująca dużą siłę duchową — ciągnęła wzrok ku sobie.

— Czy chcecie czego odemnie? — zapytał Klicki.

Proszowski uśmiechnął się nieśmiało.

— A to...

Ręką na samowar stojący na stole wskazał.

— Chciałbym wziąć z tego szklankę herbaty.

— Ależ weźcie, dwie, trzy...

— Dziękuję wielmożnemu panu. To nie dla mnie, ale to dla tej... co tam w numerze zębami dzwoni.

— A!... dla Rozy Montag.

— A no... a no... Kupić nie ma za co, wyjechać nie może, a mizerne to i blade, więc chcę jej zanieść.

— Ależ dobrze. Zanieście i bułki, i kupcie sera, masła — co chcecie. Oto rubel...

Podawał Proszowskiemu pieniądze. Numerowy wziął i pokręcił głową.

— Wielmożny pan dobry, zacny... Ja kupię jej trochę jeść i w piecu jej zapalę. Ale... — zatrzymał się zafrasowany.

— No... niech Proszowski mówi.

— Ale... ja błagam łaski pana, niech nikt o tem nie wie. Oni by mnie wygnali za to, że ja naprzeciw policmajstra idę. I gospodarz i my mamy przykazane nic jej nie dać, póki ona... nie zgodzi się przyjąć policmajstra.

— Ja wiem, ona mi to mówiła.

— Ale przecie to nie po Bożemu, to straszny gwałt tak głodem kobietę do łajdactwa zmuszać. Ja już jej dwa razy co przyniósł, ale ja biedny, nie mam nic. A potem — ja muszę ich słuchać, a oni mnie za to w spokoju zostawiają...

— Cóż wyście znów zrobili takiego, że się ich boicie?...

Twarz Proszowskiego powlokła się ciężką zadumą. Rysy wyszlachetniały — zrobił się dziwnie piękny w tej melancholii, jaką twarz jego opływała.

— Ja nie zrobił nic... — wyrzekł powoli — ale ja jestem...

Słowo mu uwięzło w gardle.

Widać było, iż mimo wszystko powiedzieć nie chce i nie powie.

Klicki nie nalegał.

Jakieś wielkie tragiczne tchnienie wypełniło cały pokój.

Powiało grozą, męczeństwem, prześladowaniem ogromnem, które graniczyło z bohaterstwem i w mroki dziejów strugą krwawą spływało.

Klicki czuł, że ten chłop pochylony dźwiga na sobie piętno martyrologii niezwykłej, że dokoła niego snuje się tajemnica nie zbrodni, lecz jakiejś mistycznej siły.

Z ramion zdawały mu się tryskać skrzydła, a z oczu płynąć jasne strumienie zbożnych myśli.

Miał w sobie prostotę gołębia i nieugiętości dębu, który w burzy, gromami brzemiennej, stoi niewzruszony, a jeno gałęziami szumi, jakby łkał nad dolą swoją.

Klicki milcząc patrzył, jak ten chłop powoli z pokoju wychodził i zdjął go jakiś wielki szacunek, jakieś uczucie nieznane mu poprzednio tak, jakby stanął nagle przed wspaniałym, opuszczonym kościołem, który najezdzca w dzikim szale znieważył, z ornamentów odarł i wrota zawarł.

Lecz kościół mimo to dźwigał swe mury w nocną pomrokę — wspaniały i dawnem złoceniem błyskający.

— Hospody pomyłuj!... — jęczało od wnętrza — Hospody!...

Lampa zgaszona nie tliła się już, ani dym kadzielnic nie bił pod kopułę mgłą wstęg opalowych.

Lecz lampa ta, gasnąc, zdawała się płomień swój dzielić na tysiące płomyków i miast w kryształowe ściany w serca ludzkie je ukrywać.

A przeto gdy szedł potem taki człowiek po świecie, co miał w piersi swej cząstkę płomienia lampy cerkiewnej — od niego biła łuna światła ciepłego i jakieś krwawe zostawiała blaski.

Długo jeszcze Klicki patrzył we drzwi, przez które znikł — unita.

. . . .

W różowej bluzce, cała różowa — z aureolą

złotych włosów Jania powitała Klickiego na progu saloniku.

— Niech pan wejdzie, tacio zaraz przyjdzie.

Wydała mu się jeszcze piękniejszą dnia tego i choć światło było szare i bezsłoneczne, to przecież, gdy ją taką różową i złotą ujrzał, rozsłoneczniło mu się w duszy.

Zapomniał o dzisiejszej nocy, o tej włóczędze strasznej po błocie w otoczeniu sfinksów w mundurach policyjnych, o bytności swej u Mordki Lajnbrama i ohydzie, jaka się przed jego oczyma wśród szmat i kłębów dymu roztoczyła.

Do ręki Jani przypadł — całował jej dłoń ciepłą i młodością pachnącą — jakby pił wodę świeżą ze źródła, które przed nim nagle wytrysło.

Ona troszkę się wzbraniała.

— Proszę... proszę pana... Tacio zaraz nadejdzie...

Wreszcie uspokoił się. Usiedli przy okrągłym stole, okrytym pluszową serwetą, na którym wznosiła się wspaniała lampa. Wogóle biło tu dość zamożnością solidną. Meble były stare, ale mahoniowe. Kilka pięknych antyków, jakiś sepecik, gdańskie biurko, stało po kątach. Nie brakowało naturalnie i rzeczy brzydkich, jakichś stoliczków przystrojonych szyszkami, półek ubranych muszlami, które w innem usposobieniu byłyby nadzwyczaj niemile dotknęły Klickiego, lecz tu, wobec złotych włosów i dziecięcych ślicznych uśmiechów siedzącej naprzeciw niego dziewczynki, pobłażliwie przez niego przyjęte zostały.

— Więc... naprawdę, nic się panu złego nie stało? — pytała Jania, składając ręce.

— Przecież mnie pani widzi. Jestem zdrów i cały.

— Dzięki Bogu!

— Czegoż się pani bała.?

— Żeby pan...

Przyciszyła głos i wreszcie dodała:

— Z n i m i nie zadarł.

Klicki już wiedział, co znaczy owe „oni“.

— Z policyą?...

— Tak.

— E! nie tacy oni straszni. Spędziłem właśnie z nimi prawie całą noc.

W tej chwili wszedł Horski do domu.

— Całą noc? gdzie? — zapytał, ściskając rękę Klickiego.

— Z policyą!

Horski rękami plasnął.

— Jezus Marya!... i pan żyje?

— Jak pan widzi.

— Jak się pan nie bał iść im w szpony!

— Oto — nie bałem się.

— Jeszcze pan nie tutejszy.

— Właśnie może dlatego.

Ojciec z córką patrzyli na siebie z wyrazem przestrachu.

— Co pan chciał od nich?

— Drobnostkę. Chciałem, żeby złapali wczorajszych zbrodniarzy.

Horski ramionami wzruszył. Jania roześmiała się cicho.

— Także pan zachciałeś!... — wyrzekł Horski — trzeba było lepiej zażądać, żeby sprowadzili słońce na ziemię.

Przekonałem się o tem.

Horski zafrasowany zaczął chodzić po pokoju.

— Dziękuj pan Bogu, że pana Tagiejew nie widział.

— Właśnie że mnie widział.

— Gdzie?!

— U siebie.

— Był pan u niego?

— Tak... w nocy. Grał na skrzypcach. Chciał mnie częstować herbatą. Potem dał mi policyę i poszliśmy na wał.

Horski ze zdumieniem na Klickiego patrzał.

— To pan odważny.

I dodał seryo głosem zmienionym:

— Ja za nic... słyszy pan, za nic nie poszedłbym tak w nocy z nimi na wał, ani nie udałbym się do Tagiejewa.

Do salonu wsunęła się cicho Józia.

— Czy podawać obiad?

Klickiemu się zdawało, że widział od chwili wejścia do saloniku rąbek sukni dziewczyny, wysuwającej się z po za portyery.

Horski spojrzał na zegarek.

— Podawaj! — wyrzekł — panicz nadjedzie za kwadrans, ale mnie się piekielnie jeść chce.

Jania wstała i skierowała się ku jadalni.



— Proszę... proszę pana... Tacio zaraz nadejdzie... (Str. 158.)

— No... pani gospodyni! — zaśmiał się Horski — pokaż, co umiesz!

Jania spiekła raka i wybiegła z salonu.

Horski patrzał za nią z pewnem rozrzewnieniem.



Klicki patrzył, jak ten chłop powoli z pokoju wychodził. (str. 157.)

— Gospodyni! — wyrzekł ze smutkiem — już tak od śmierci matki przyucza się do gospodarstwa. Ale strasznie to jeszcze młode i roztrzepane. Umyślnie przecież nie wpływam, aby spoważniała, umyślnie.

— To wielki wdzięk w pannie Jani ta jej wesołość — podparł gorąco Klicki.

Lecz Horski głową pokręcił.

— Tu nie chodzi o wdzięk, panie łaskawy, ale o jej własne dobro. Brat jej zaraz przyjedzie. Zobaczy go pan... Jest to młody starzec. Ma lat ośmnaście, a nie roześmieje się nigdy. Poważny, smutny, zdaje się dźwigać na ramionach jakieś straszne ciężary. Nie uwierzy pan, jak mnie to boli, gdy na niego patrzę. Wychowywał się po za domem. Ja byłem zajęty handlem. Matka rozwijała w nim bardzo serce... ot teraz chłopak zgnębiony, zamyślony, jakiś skryty.

— Może zmęczony nauką?

— Może i to, panie... Musi kuć wszystko po rosyjsku, to podwójna praca... I ostro ich strasznie trzymają... Szykany im robią. Jego podobno specyalnie nie lubią, ale on im się nie daje i nic mu nie mają do zarzucenia.

— Dlaczego go pan nie wyśle zagranicę, naprzykład do nas, do Galicyi?

Horski ze ździwieniem na Klickiego spojrzał.

— Jakiż byłby w tem sens? — zapytał. — Przecie chłopak tu będzie żył, to musi kształcić się w miejscowych warunkach.

— Prawda!

W obramowaniu portyer ukazała się Jania.

— Proszę panów do stołu!

Była rumiana, widocznie od ognia kuchennego. Uśmiechnęła się milutko.

Gdy Klicki z Horskim weszli do jadalni — ślicznie nakryty stół, ubrany kwiatami, ładna zastawa,

srebro błyszczące na śnieżnem tle obrazów, biel firanek, nakrywających okna — wszystko to sprawiało nadzwyczaj miłe wrażenie.

Klicki pomyślał wtedy, iż można się nawet pogodzić ze szczegółami domowej atmosfery i znaleźć w nich pewien wdzięk i piękno.



...że widział od chwili wejścia do saloniku rąbek sukni dziewczyny (Str. 160.)

Zasiedli do stołu.

Usługiwała Józia. Chodziła dość zręcznie z talerzami, ale chwilami miała jakiś ruch, przypominający Klickiemu podrzędne restauracye. Wychodząc, nie za-

mykała drzwi, otwierała je znów czasem pchnięciem nogi. Podając mu półmisek, uśmiechała się szablonowo. Horscy jednak zdawali się nie dostrzegać dwuznacznych manier swej pokojówki. Przeciwnie, Jania zdawała się traktować ją nawet z pewnem wyróżnieniem.

W połowie obiadu zajechała dorożka.

Jania porwała się do okna.

— Kazio!

Jak strzała wybiegła do przedpokoju.

— Chłopiec przyjeżdża na rosyjskie święta... Staram się go ściągać do domu, aby nie stracił spójni ze swem rodzinnem miastem, w którem mu żyć przyjdzie... — objaśniał Horski.

— Czy ma objąć po panu handel?

— Niech Bóg broni!... W takich warunkach, w jakich my jesteśmy obecnie, to niepodobieństwo. A toż policya z nas krew wypija, panie kochany.

— Czemu się nie bronicie?

Horski chciał odpowiedzieć, lecz drzwi się otwarły i Jania wprowadziła z tryumfem prześlicznego, młodego chłopca w mundurze gimnazyalnym, który do ojca podszedł i z nadzwyczajną powagą w rękę go pocałował.

— Pociąg się spóźnił? — zapytał go Horski.

— Tak, ojcze!

— Głodny jesteś?

— Nie, ojcze!

— Nic nie szkodzi... Siadaj i jedz... Po podróży apetyt przyjść musi.

Wziął syna pod ramię i przedstawił Klickiemu.

— Mój syn... — pan Klicki z Krakowa...

Coś błysło w szafirowych ogromnych źrenicach chłopca. Spojrzał prosto w oczy Klickiego. Ciepłe tchnienie sympatyi powiało wspólnie z tych dwóch par źrenic. Klickiego uderzyła nietylko dziwna piękność bladej, regularnej twarzy chłopca, lecz jej wyraz zarazem rozumny, ale i przepojony jakąś mistyczną potęgą.

Horski z widoczną miłością patrzył także na syna, lecz Kazimierz nie zwrócił się ani razu ciepłem spojrzeniem ku ojcu. Klicki od razu wyczuł tu rozdźwięk m ł o d y c h i s t a r y c h, pomimo, że ze strony starego płynęła wielka a dobrotliwa chęć serdecznego porozumienia i wzajemnego odczucia wspólności myśli.

Jania spoważniała także i, usiadłszy obok brata, starała się zastosować do ogólnego nastroju, jaki się wytworzył z chwilą wejścia chłopca pod dach rodzinny.

Horski z początku rozjaśniony przybyciem syna, podtrzymywał rozmowę, zwracając się co chwila do Kazia. Lecz trudno było wciągnąć chłopca w rozmowę. Odpowiadał krótko, jadł mało, widoczne było, iż duchem unosił się gdzieindziej. Wszedłszy, nie ogarnął miłosnem wejrzeniem ścian rodzinnego domu, tylko zachował się tak, jakby wszedł do mieszkania obcego, które widzi po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu. Tak samo widocznie zachowywał się względem siostry i ojca. Byli to jego wypadkowi znajomi, nic więcej.

Klicki doznał ździwienia.

Wszakże Horski mówił mu niedawno, że w Kaziu matka rozwijała głównie stronę sercową. W jakimże kierunku poszła ta jego uczciwość, jeśli rodzina nie otrzymała jej ani cząstki?

Powtórne jednak spojrżenie, jakie zamienił z Kaziem, i ten ciepły prąd bijący z oczu chłopca, gdy patrzył na Klickiego, kazały mu przypuszczać, że ta serdeczna strona istnieje rzeczywiście w istocie Kazia. Jakie są jednak jej przejawy — jaką obrała sobie ścieżkę i ujście, tego zbadać na razie nie był w stanie.

Atmosfera mimo to panująca obecnie w jadalni, mimo wysiłków Horskiego i dobrej woli Klickiego — stawała się coraz przykrzejszą i bardziej surową. Horskiemu bruzda przecięła czoło. Jania jakby strwożona krzątała się koło brata — Klicki sam czuł się nie swój i jakby skrępowany. Ten milczący chłopak zdawał się zbierać to, co mówili dokoła niego, analizować — sądzić — ważyć.

Słowa marły na ustach.

Wiatr zerwał się — przykry, zimny wicher wczesnej wiosny, która na mazowieckich równiach szarem, lodowem widmem się skrada i rozwiewa swe mroźne skrzydła nad smutne, zmrożone w bruzdach resztki stopionych śniegów.

Wicher ten szyldem starym o ścianę domu walił.

Kazio od talerza głowę podniósł.

— Nienaprawiony? — zapytał.

— Nie — odparł Horski.

Kazio ramionami ruszył.

— Ja ojca nie pojmuję... — wyrzekł niskim, już ustawionym głosem.

Horski szczęśliwy, że coś wreszcie zdołało zainteresować syna, ręce bezradnie rozłożył.

— Co chcesz... jestem bezsilny.

Kazio brwi zmarszczył.

— Bezsilny? — powtórzył — nie, ale ojciec jest bez woli.

— Muszę!

— O! mnie by nikt tego nie zakazał! — Tu nie chodzi o głupią deskę, tu chodzi o zasadę. Szyld bym obstalował w Warszawie i w nocy zmienił.

Zwrócił się do Klickiego.

— Pan wie, co się tu dzieje? — zapytał.

— Dorozumiewam się. Policmajster nie pozwala szyldu zmienić...

— Żąda od tacia sto rubli — wtrąciła Jania.

Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli na dziewczynkę.

— Skąd ty wiesz? — zapytał Horski — mnie jeszcze Josełe samemu nic nie mówił.

Jania zarumieniła się gwałtownie.

— Mnie to mówiono...

— Ale kto?

— Ja nie mogę powiedzieć... dałam słowo, że nie zdradzę. Ktoś mi z życzliwości powiedział.

Kazio spojrzał na nią z rodzajem litości.

— Ładna życzliwość!... Kiedy ty potrafisz odróżnić padalca od człowieka?

Jania otworzyła szeroko błękitne ślepki.

— Och Kaziu! Ta osoba to nie padalec, to bardzo nam przychylna...

Klicki dostrzegł, iż w tej chwili, stawiając na stole cukier miałki do legominy, Józia miała dwuznaczny uśmieszek na ustach.

Horski przeciął dyskusyę brata i siostry.

— No — mniejsza z tem, choć smutno jest, że te gady już zapuszczają swoje macki aż do prywatnych stosunków i jak w tym wypadku, nawet mi dziecka nie oszczędzą. Cóż?... będę musiał dać te sto rubli, aby szyld zmienić, bo ten lada chwila zabije jakiego klijenta.

— Jabym szyld zmienił, a stu rubli bym nie dał — wyrzekł Klicki.

Spojrzał na Kazia, który się trochę ożywił.

— Cieszę się, że jest nas dwóch — wyrzekł — może pan jako obcy wpłynie prędzej na ojca i zdoła w nim choć trochę siły obudzić. Ja nie mogę!

Horski szybko podchwycił.

— Dlaczego pan Klicki?

— Dlatego, że ja ile razy tu przyjadę, tyle razy widzę was coraz więcej uległych i zrezygnowanych. Wobec takiego braku woli, mój zasób siły nie wystarczy.

— Chciałbym cię widzieć na naszem miejscu — odparł Horski — i w naszych warunkach. Ledwo żyjemy. Coraz straszniejszy wyzysk i ucisk. Niedługo do domów wpadać będą bandy, aby nas mordować. I to wszystko nietylko tolerowane przez n i c h, ale podtrzymywane. Taka walka to zje wolę najsilniejszego człowieka.

Kazio uśmiechnął się gorżko.

— E!... — wyrzekł — co tam taka walka wobec tej, którą ja tam przechodzę? która mnie powinna zeżreć i nic nie pozostawić? A przecież...

Nastało milczenie.

Kazio odsunął się od stołu i posępnie patrzył przed siebie, jakby wywoływał wszystkie widma szkolnej tyranii, którą od dziecka przeżył. Twarz jego postarzała, usta śmiały się w bolesnem skupieniu. Jeżeli kiedykolwiek, to w obecnej chwili ten młody chłopiec zasługiwał na miano „młodego starca“ — które mu niedawno ojciec nadał.

Horski patrzył na syna, poczem wzrok przeniósł na Klickiego. Zrozumieli się obaj.

Smutek ogarnął ich wielki.

— Wstańmy! — wyrzekł Horski, podnosząc się z krzesła.

Jania natychmiast zajęła się podaniem kawy do salonu. Kazio ukłonił się i znikł we drzwiach, prowadzących w głąb mieszkania.

Gdy znaleźli się w salonie, Horski pokiwał smutnie głową.

— I co pan na to? — zapytał Klickiego.

Klicki nie umiał na razie znaleźć odpowiedzi.

— Syn pana jest rzeczywiście bardzo poważny — wyrzekł po chwili.

— Nie panie, on nie jest tylko poważny, on jest strasznie smutny. Oto — jakich nam oni synów oddają!... Z rozbitą duszą!

Ostatnie słowa wymówił z tak ogromnym żalem, że nawet określić go było niemożebnem.

— Z rozbitą duszą!

Lecz Klickiemu określenie to wydało się nieodpowiedniem.

— Syn pana nie ma rozbitej duszy! — wyrzekł powoli, ważąc każde słowo — ja sądzę przeciwnie. Dusza jego wydaje mi się bardzo silną i zahartowaną.



— I co pan na to? — zapytał Klickiego. (str. 171).

Lecz Horski upierał się przy swojem.

— To, panie łaskawy, jest słomiany ogień.

— Czyż go pan kiedy widział d z i a ł a j ą c e g o?

Horski na razie nie umiał znaleźć odpowiedzi.

— Nie wiem, jak pan to myślisz! — wyrzekł.

— A ja panu to zaraz określę. Czy pan widzia-

łeś syna, opierającego się wpływowi wrogiego żywiołu rosyjskiego, chcącego go o ile możności już od dziecka zrusyfikować? Panu się zdaje, że nie. A przecież wszystko, co syn pana do tej chwili uczynił, to właśnie jest takiem dziełem. Pomyśl pan! Dziecko walczy z całą hordą, z całym systemem, z ogromną mocą, płynącą z góry i wskazującą mu iść po nakreślonej przez nich linii. I dziecko się opiera skutecznie. Ileż ono musi mieć siły, wytrwałości, i czy to, co całe lata trwa nieprzerwanie, taka walka dziecka z systemem wychowawczym rosyjskim, jest... ogniem słomianym?

Klicki uniósł się, mówiąc te słowa.

Nie poznawał siebie.

On — zawsze w Krakowie traktujący życie z punktu artystyczno-utylitarnego z pewnym odcieniem humanizmu — tutaj zaczynał do przejawów życia przykładać miarę inną, która gwałtownie narzucała się, wydobywając się z jakichś jakby zamkniętych komórek jego duszy, tu — gwałtem wypływała kwestya narodowościowa i ta zajmowała główny punkt widzenia, z którego sądziło się zamiary i czyny. Klicki nie doświadczał w Galicyi tej potrzeby. Lecz tu przyszło to na niego jak mus, jak rzecz konieczna.

Horski słuchał jego słów z przejęciem.

— Tak — ma pan racyę. Nie zastanowiłem się nad tem nigdy. Dotknął mnie jednem. Czy nie uważał pan, z jakiem lekceważeniem odezwał się o tem, co my tu przenosimy, wywyższając swoje zasługi?

— To jest cechą młodzieży! — odparł Klicki — musi się pan z tem pogodzić.

— Dlaczego... przecież i ja byłem młody, a ja takim nie byłem.

Klicki się uśmiechnął.

— Może pan nie pamięta.

— Pamiętam dobrze, pamiętam... Tylko widzi pan, oni ci młodzi to są „górni i chmurni“ i widzą tylko silne uderzenia młota, a drobnych codziennych ukłuć nie liczą. A takie ukłucia to mogą człowieka zabić. Wszak nasze miasteczko — to jedna zbójecka nora, to eldorado dla opryszków i złodziei. Pan ich jeszcze nie widział przy robocie w całej pełni, ułatwianej przez policyę. Tagiejew ich wspiera, dopomaga, bo są dla niego źródłem dochodu. Miasto nasze steroryzowane, zdemoralizowane. Każdy na swoją rękę rozbija, ufny, że mu się nic nie stanie...

Klicki ramionami wzruszył.

— Ależ panie... to wasza wina — podjął gorąco — możecie zrobić podanie do rządu gubernialnego i Tagiejewa wygnać z miejsca.

Horski uśmiechnął się cierpko.

— Kruk krukowi oka nie wykole. Pójdzie Tagiejew, przyślą nam podobną wybrakowaną z głębi Rosyi kanalię...

— A ja nie wierzę — przerwał Klicki, — aby nie można było zebrać kilkudziesięciu obywateli, którzyby wreszcie zdobyli się na podobny protest. Niech pan spróbuje...

W tej chwili w jadalni zaszeleściła suknia.

Horski powstał zaniepokojony.

— Zobacz Janiu... tam ktoś jest w jadalni.

Jania uniosła portyerę.

— To Józia sprząta ze stołu.

Lecz już rozmowa na ten temat nie kleiła się. — Jania usiadła przy fortepianie i zaczęła grać cichutko jakiegoś mazurka Szopena. Grała nieuczenie, ale jakoś serdecznie i miło.

Klicki zbliżył się do fortepianu.

— Znudziła panią nasza poważna z tatkiem rozmowa.

— Nie — odparła dziewczynka — ja tu nic innego nie słyszę, tylko ciągłe biadania nad tem, co się w miasteczku dzieje. — To rzeczywiście straszne. Tu odetchnąć nie można swobodnie...

I z całą szczerością młodej duszy dodała:

— Mnie to jednak nie odbiera ani fantazyi, ani dobrego humoru. Tylko...

— Tylko co?

— Tylko nie wiem, czy to tak długo będzie.

Klicki obejrzał się i dostrzegł, że Horski wyszedł z pokoju. Prawdopodobnie udał się do sklepu.

— To powinno być całe życie! — wyrzekł, siadając obok dziewczyny — przedewszystkiem choćby dlatego, aby tym, którzy są obok pani, ta twoja słoneczność dodała sił do życia.

Jania przestała grać i położyła rączki na kolanach.

— Kiedy ja nie na wiele się przydać mogę, proszę pana. Czasem zdołam tatkę rozchmurzyć.

— To też o to czasem chodzi.

— Ale Kazia to już nigdy. I wie pan, mnie się zdaje, że on mnie bardzo lekceważy.

— To się pani zdaje. Ale Kazio ma zbyt wiele do zwalczenia, aby mógł znaleść czas i ochotę na zajmowanie się panią.

— Ja wiem... wiem...

Oczka jej zaczły mgłą. Była śliczna z tą zmartwioną minką.

— Znajdzie się ktoś — ciągnął dalej Klicki — kto poświęci pani cały swój czas i wszystko, czem jest i być może... Wtedy pani nie będzie tak przykro i słoneczność pani będzie nietylko oceniona, ale i ubóstwiona...

Powoli śliczny rumieniec wypłynął z pod różowej bluzki na szyjkę, uszka, bródkę i całą twarzyczkę Jani. Nie mówiła nic — spuściła ręce i została tak, jakby w oczekiwaniu czegoś nadzwyczaj miłego i sercu drogiego.

— Czy pani kiedy o tem myślała? — szeptał jej do ucha Klicki.

— Nie...

— Jest pani nieszczerą. Nie myślała pani o tem nigdy? nigdy?

Milczenie.

— Nawet w Zakopanem?

Padło wreszcie to słowo, a z niem wspomnienie woni smereków, widm gór — nocy srebrnych księżycowych i powstającego jak kwiat o różannym poranku — uczucia.

— Ach!!.. w Zakopanem...

— Więc?



[...woni smereków, widm gór, nocy srebrnych księżycowych... (str. 176)

— Może!...

— Panno Janiu, moja Janiu...

Z po za koronkowych firanek padł snop promieni słonecznych i ozłocił cały karczek panienki, wypływający z różowego jedwabiu.

Klicki oczyma w ten jasny płatek ciała, ozłocony jedwabistym puchem, oczy łakomie wbił, lękając się, czy zdoła przezwyciężyć w sobie chęć złożenia na tych złotościach gorącego pocałunku.

Na szczęście dały się słyszeć kroki. Wolno wszedł do pokoju Kazio. — Spojrzał na siostrę, na Klickiego, potem znów na siostrę, lecz wyrazu twarzy nie zmienił.

— Ojca niema? — zapytał.

— Nie — pośpieszyła z odpowiedzią Jania — tacio poszedł do sklepu. Ja zaraz każę podać herbatę.

Wybiegła szybko, bez szelestu kroków i sukienek.

Kazio do Horskiego podszedł.

— Pan prosto z Krakowa? z samego Krakowa? Pan tam stale mieszka? Prawda?

— Tak.

Kazio stał teraz naprzeciw niego i patrzył mu prosto w oczy.

— Pan szczęśliwy! — wyrzekł nareszcie.

— Tak pan sądzi?

— Panu łatwiej się wykształcić, niż mnie, rozwinąć, wyrobić sobie swój sąd, swój ideał na podstawie tego, co inni za pewnik przyjęli. Tutaj strasznie ciężko. Ojciec boi się wystąpić do walki z ta-

kim marnym Tagiejewem, a ja muszę walczyć z takiemi potęgami i iść po omacku! I to najstraszniejsze.

— To samo właśnie mówiłem przed chwilą ojcu pana.

Kazio machnął ręką.

— To szkoda słów, panie! — wyrzekł — ojciec mnie nigdy nie zrozumie.

— Przeciwnie. Ojciec chce właśnie wejść z panem w porozumienie. Jego to boli, że pan się do niego nieufnie odnosi.



Kazio ramionami wzruszył.

— W jakież my możemy wejść porozumienie? — wyrzekł. — Ojcu się zapewne zdaje, że ja mam już urobiony program i swoje przekonania polityczne. Tymczasem ja jeszcze się błąkam, poprostu nie wiem sam... Chciałbym wszystko zrozumieć, zanim sam z tego coś zdołam wybrać...

— Po co wybierać? — rzekł Klicki — najlepiej pozwolić, aby ideał ukształtował się sam z tego, co jest dla nas najlepsze.

Marzące, prześliczne oczy Kazia stały się tak dziwne, jakby sobą ogarniały całe horyzonty.

— Taki ideał — wyrzekł — ja mam już dawno urobiony, tylko teraz chodzi o to, którą on pójdzie ścieżką. Chodzi mi o to, czy... mam być człowiekiem w wszechludzkiem pojęciu rzeczy, czy mam się ograniczyć w żałobnych liniach naszego kraju. Pan mnie rozumie?...

Klicki zrozumiał doskonale, że chłopiec ten stał jeszcze na partyjnem rozdrożu, ale że miał ogromną dozę samoanalizy, więc nie chciał iść za pierwszym lepszym prowodyrem, który mógł mu w danej chwili zagrać na strunie uczuciowej i porwać go w wir nie przekonań, lecz wzruszeń.

— Rozumiem pana — odparł rad niewymownie, że ten skupiony i zamknięty w sobie chłopiec tak szczerze się ku niemu zwraca — i mogę panu powiedzieć to jedno: wybieraj rozumem i sercem, a staraj się nie zezwalać, aby jedno miało przewagę nad drugiem.

Kazio westchnął i ręką po czole przesunął.

— To jest właśnie tragedya mojego życia — zaczął powoli — to, że u mnie przeważało zawsze serce. Gdy doszedłem do uświadomienia, zrozumiałem, że muszę powściągnąć jego porywy, bo inaczej w naszych warunkach nie będę nigdy człowiekiem zrównoważonym. I zacząłem walkę z własnem ser-

cem. Wziąłem je na uzdę i zdołałem uchodzić na tyle, że jest mi posłuszne...

Mówił te słowa z pewną melancholią i Klickiemu rzeczywiście wydał się tragicznym los tego dziecka, które musi katować i zmuszać do milczenia własne serce, lękając się, aby nie odebrało mu sił do walki z gniotącą go wrogą przemocą.

— My — podjął znów Kazio — powinniśmy się rodzić bez serc. W piersiach powinniśmy tylko mieć słowo: obowiązek i z tem iść w życie. Tak u nas być powinno...

Zamyślił się.

Widocznem było, że ten chłopak już wchłonął wiele i przetrawił w sobie, lecz nie był jeszcze na tyle dojrzałym, aby sam swoją ścieżkę wybrać był w stanie.

— Muszę poznać wszystko, cokolwiek dla kraju zrobić chciano — wyrzekł wreszcie z pewnym uporem człowieka, chcącego zliczyć gwiazdy, migocące w noc lipcową na firmamencie z ciemnego szafiru.

— To niepodobna — zaprotestował Klicki — strawisz pan siły, wpadniesz w chaos, nie zdołasz nic sobie przyswoić...

— Ja nie chcę nic przyswajać, ale ja nie mogę błądzić, ja poznać muszę.

— Jak?

Po ustach Kazia przewinął się nieokreślony uśmiech.

— Ja już dużo poznałem...

— A...

Kazio teraz uparcie wlepił oczy w Klickiego.

Zdawało się, że go bada, sonduje aż do najtajniejszego zakątka duszy.

— Może ja będę miał potem prośbę do pana — wyrzekł powoli.

— Ależ proszę, rozporządzaj pan mną...

— To — potem!...

— Dlaczego nie zaraz? Czy mi pan nie ufa?

— Ja panu ufam. Ja znam pana.

— Mnie? Czy... panna Janina?...

Kazio pogardliwie się uśmiechnął.

— Zdanie Janki nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia. Ale ojciec pisał mi, że pan ma być tutaj w tym czasie, w którym ja przybędę — i —

— Starałeś się pan zasięgnąć o mnie wiadomości?

Kazio otwarcie w oczy Klickiego patrzył.

— Tak! — wyrzekł z prostotą.

Klicki nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy gniewać z tego troskliwego badania jego osoby. Wolał wybrać to pierwsze.

— Cieszy mnie, że informacye, które panu udzielono, wypadły na moją korzyść.

— Zawdzięcza pan to sobie. Tylko, porozumiejmy się. Ja dowiadywałem się jedynie o moralne strony pana istoty. Reszta mnie nic nie obchodzi. Chciałem wiedzieć, czy mogę z panem mówić szerzej i czy w danym razie będę mógł prosić pana o oddawanie mi pewnych przysług...

— Jeszcze raz powtarzam panu, proszę mną rozporządzać.

— Dziękuję. Na teraz pańska chęć mi wystarczy. Kiedy pan wyjeżdża?

Klicki się zawahał.

— Nie wiem... może jutro...

— A... przyjedzie pan znowu?

Wahanie Klickiego się wzmogło.

— Także nie wiem. To będzie zależeć...

— Rozumiem. Ja jednak się do pana zgłoszę. Nie listownie, lecz... przez moich... przyjaciół.

Podał rękę Klickiemu i wyszedł z pokoju powoli, trzymając ręce w kieszeniach, z głową opuszczoną, jakby jakimś ciężarem stłoczoną.

W tej chwili z jadalni wybiegła Jania.

— Ależ z pana prawdziwy czarodziej, rozmawiał pan tak długo z Kaziem...

Klicki się uśmiechnął.

— Rozmawiałem i to jak jeszcze. Serdecznie, szczerze.

— O! o! — zdziwiła się Jania.

— Ależ tak, proszę mi wierzyć. Zdumiony byłem zaufaniem brata pani. Jesteśmy ze sobą na bardzo dobrej stopie.

— To mnie cieszy! to mnie bardzo cieszy!

Śmiała się rozpromieniona i nagle dodała:

— Wszyscy tu pana lubią. Tacio, Kazio...

— A — pani?...

— Ja?...

— No tak, pani?

— Ja? bardzo...

— Bardzo, bardzo?

— Tak — bardzo, bardzo, bardzo!

— A będzie mnie pani długo tak bardzo lubiła?

— Zawsze!

— Całe życie?

Jania spoważniała nagle, zmieniła się trochę na twarzy i powtórzyła jakimś innym, dziwnym głosem:

— Całe życie!

Znów oczy przysłoniła rzęsami i stała tak podobna trawce, która o zachodzie słońca, w jego promieniach nagle unieruchomiona, zdaje się modlić jakąś ciszą wewnętrzną.

XIII.

Na Tagiejewa nalatują strachy. — Spisek przeciw Klickiemu. — Tagiejew idzie na rendez-vous.

Panna Józia, korzystając z tego, że Markowskij odwrócił się do biurka, porwała flaszkę z rumem i pociągnęła spory haust. Wypluła jednak rum natychmiast.

— Świństwo! — wyrzekła oburzona — dlaczego ty pozwalasz, żeby ci takie obrzydliwe fałszowane wódki zamiast rumu przysyłali? — Otarła ręką usta.

Markowskij trochę mniej chmurny roześmiał się blado.

— Co chcesz, gołąbko — wyrzekł uprzejmie — darowanemu koniowi nie patrzą w zęby.

— Ale patrzą na etykietę — odcięła się dziewka — a kiedy masz przyjmować damę, to postarałbyś się choć o dobry napitek.

Grymasiła, widząc, że jeszcze miała pewien wpływ na tego chudego, na pozór wystygłego człowieka, który potrzebował jej cynizmu i umiejętnej miłosnej szkoły, aby popaść w stan, graniczący z zadowoleniem zmysłowem.

Odziana już jak do wyjścia w żakiecie, zajęła

się z ogromną pilnością zbieraniem na paznokieć stearyny z topiącej się w lichtarzu świecy. Pomieszkanie Markowskiego, źle opatrzone na zimę, pełne było przeciągu i wichru. Kulawe meble, rozkopane łóżko, oberwana nad oknem firanka tworzyły wstrętną całość, źle prezentującą się w rozwianym płomieniu świecy.

Markowskij narzucił na plecy szynel i wziął czapkę.

— Idziesz? — zapytata machinalnie Józia.

— D a... na dół do starego.

— Powiesz mu?

— Powiem. Muszę.

Józia zaprzestała manipulować koło świecy i szukała pod sofą, z której wystawały kłaki i sprężyny, swoich wełnianych rękawiczek.

— Mógłbyś też... powiedzieć mu... że to ja ci te wiadomości od Horskich przyniosłam. Możeby stary co zapłacił — wyrzekła, siląc się na uprzejmość.

Markowskij ramionami wzruszył.

— Ty dostaniesz za wszystko razem — odparł twardo — dostaniesz, jak będziesz wyjeżdżała!

Józi aż oczy się zaświeciły.

— Ach Boże!... kiedy? kiedy?...

— No — może niedługo. Kto wie, jak będzie. Ja się może będę starał, aby mnie przenieśli.

Radość, błyszcząca w oczach Józi, zniknęła.

— To znaczy, że jechałabym z tobą.

— D a... p a j e d i o m w m i e s t i e.

Czapkę wdział na głowę.

— A teraz chodźmy.

Wyszedł pierwszy. Józia szła za nim jak cień. Na schodach pożegnali się już obojętnie. Ona wracała do służby zła i zdenerwowana, on pod wpływem świeższego powietrza i cały przepojony myślą spraw dość ważnych, stygł w swem zmysłowem podnieceniu.

Z pomieszkania Tagiejewa dobywały się znów tony skrzypiec. Tagiejew usiłował grać jakąś cygańską piosenkę, ale mu nie szło. Markowskij z wściekłością szarpnął za dzwonek.

Ta mania muzyczna doprowadzała go do szału i potęgowała jeszcze nienawiść, jaką żywił dla Tagiejewa. Związany z nim postronkiem brudnych sprawek, mścił się za tę przymusową wspólność, jaka ich łączyła. W tej nienawiści było coś z furyi, jaką czują do siebie zrośnięte bliźnięta, które muszą żyć ze sobą, spojone siłą przeznaczenia.

Tagiejew otworzył Markowskiemu drzwi, trzymając pod pachą skrzypce. Salon był jak zawsze rzęsiście oświetlony. Kupcy składali się na tę codzienną iluminacyę, w której Tagiejew pławił swoją wstrętną figurę.

— A... to wy... Siergiej Iwanowicz — wyrzekł niezadowolniony — wy pa dziełu?

— Das... — odparł Markowskij, zrzucając szynel — i pa ważnomu dziełu!

Tagiejew brwi zmarszczył. Miał bowiem dziś o północy udać się do hotelu, do Rozy Montag, która według zapewnień Joseła jest już zupełnie „uchodzona“ i czeka na pana policmajstra.

— Wejdźcie do salonu! — wyrzekł, otwierając drzwi i mówcie prędko. Czasu nie mam.

Markowskij wszedł i zaraz do spraw przystąpił.

— Pierwsze dieło — zaczął monotonnym i jakby obojętnym głosem — to, że w mieście już się coś knuje przeciw wam.

— Pustiaki! — roześmiał się Tagiejew z pewną siebie miną.

— Nie — powtórzył twardo Markowskij — to nie żarty, to prawda. Dlatego do tej chwili siedzą cicho, że nikt ich nie podżegał...

— Nu — a teraz?

— Teraz może się i znaleźli tacy, którzy rzucą jedno i drugie słowo...

Tagiejew nogi rozkraczył i przed Markowskim stanął.

— Nu — tak co oni mogą zrobić?

— Mogą się razem zebrać, naradzić i podpisać prożbę do gubernii, aby wdrożyła śledztwo...

Tagiejew przez chwilę się zmieszał, lecz zaraz się opamiętał.

— I... na to trzeba, żeby się wszyscy na jedno zgodzili... a Polacy wiadomo nigdy się na jedno nie zgodzą...

— No... oni się mogą zgodzić, jak ich kto mądrze poprowadzi.

— Nikt się nie ośmieli.

— Tutejszy tak. Ale — taki z zagranicy czego się może bać?... no — czego?...

— A gdzież taki prowodyr z zagranicy się znajdzie?

Markowskij efekt swój ważył — poczekał chwilę, wreszcie wyrzekł:

— Nu... a ten Klickij?

Tagiejewowi mina zrzedła. — Pomyślał chwilę, wreszcie do Markowskiego się przysiadł.

— Wy co wiecie?

— Tak... — odparł Markowskij. — Wiem, dziś u Horskiego ten Klicki do buntu podżegał — radził zwołać obywateli, zrobić podanie i dopóty kołatać, aż się władze do nas nie wmieszają.

— A mierzawiec!

Tagiejew porwał się i swoim zwyczajem zaczął po pokoju latać. — Spodnie bez szelek z brzucha mu się osuwały. Pot mu wystąpił na czoło.

— Da — wyrzekł wreszcie — on niebezpieczny — on widział Barłamowa, jak się pieniędzmi dzielił... da...

Przechodząc, skrzypce leżące na taburecie nogą kopnął. Był to objaw już najgorszego usposobienia, jeżeli nie szanował „instrumentu“...

Nagle zatrzymał się i krzyknął:

— Gnać go stąd!...

Markowskij głową pokręcił.

— Paszport ma...

— Nu tak co? Odwieść go do granicy. Powiewiedzieć mu, że tak być musi.

— A jak na ręce konsula zaprotestuje?

— Tak my raport zrobimy, że on patryotyczną propagandą się zajmował.

— Tak my powinni byli zaraz dokład do gubernii zrobić, a to ich dieło...

Tagiejew za głowę się chwycił.

— Aj Boże mój! Wy Sergiuszu Iwanowiczu nie utrudniajcie położenia, a dopomagajcie, bo tu i o waszą skórę chodzi.

Markowskij przybrał spokojną, obojętną minę.

— O moją? — zapytał — a cóż ja?... Ja tylko wypełniam wasze rozkazy... nic więcej.

Tagiejew zatrzymał się tuż przed nim i wbił swe oczy w jego twarz bladą i na pozór bez żadnego wyrazu.

— Ej — ej!... Siergiej Iwanowicz — nie bądźcie ze mną chytrzy... Tagiejew nie głuchy, nie ślepy. Tagiejew słyszy, jak trawa rośnie. — Mało wy się z paszportów nabierzecie dochodów...

— Ja?...

— Nu — wy!

Patrzyli teraz przez chwilę sobie w oczy i nic nie zdoła opisać dzikiego wyrazu, w jaki się ich rysy przyoblekły. — Zdawało się, że jeszcze chwila, a obaj skoczą sobie do gardła i zatopią w sobie kły, aby zmusić się do wzajemnego milczenia. — Robili wrażenie dwojga dzikich zwierząt, wpędzonych do zbyt ciasnej klatki i żrących się o trochę nędznych ochłapów.

Powoli jednak rozsądek brał górę, nerwowe naprężenie ustępowało — zwłaszcza Tagiejew z dużą siłą zapanował nad sobą.

— I cóż będzie? — zapytał.

— Wy mówicie: odstawić go do granicy?

— Da — na moją odpowiedzialność. Pozwijcie go jutro do kancelaryi — rozmówcie się z nim ostro

i zaraz razem z nim do hotelu i na kolej. Umiarkujcie tak czas wezwania, aby nie mógł iść żegnać się i naradzać.

A jak będzie już za granicą, to d o k ł a d o nim zrobić taki, że gdyby chciał przyjechać znowu, to go z granicy zawrócą. Ja sam z d o k ł a d e m gdzie należy pojadę. — Jemu mówcie mało, ale srogo. Lepiej niech mnie nie widzi, tylko was w kancelaryi. To będzie więcej po formie.

Markowskij głowę schylił.

— Skoro wy bierzecie na siebie odpowiedzialność...

— Biorę!

Mówił to z uporem, a działał jak człowiek, kryjący głowę przed niebezpieczeństwem i sądzący, że jest już w ten sposób zabezpieczony. Nie czuł, że to odstawienie Klickiego za granicę Rosyi, to właśnie takie schowanie głowy na jakąś krótką chwilę. W zacietrzewieniu swojem nie rozumiał nawet, że w ten sposób może tylko sprawę właściwie pogorszyć.

— Z Horskim to ja już jako poradzę! — wyrzekł spokojniejszym głosem — zrobi mu się jedną, drugą szykanę, a potem sfolguje. Najlepiej niech mu kto z naszych piwnicę rozbije i okradnie. Będzie miał tyle do czynienia u siebie, że odechce mu się mną zajmować i narady zwoływać. Towar niech do Frumele zaniesie, a potem się mu częściowo zwróci. Będzie miał zatkany pysk.

Na zegar spojrzał.

Była już jedenasta. Chciał się ogolić, upiększyć, a Markowskij siedział jak przykuty.

— Wy jeszcze macie co do zajawlenia? — zapytał zniecierpliwiony.

— Da... mnie doszły słuchy z gubernii, że oni sami na was oko zwrócili. Ta żandarmska władza coś koło miasta myszkuje... To ważne... Trzeba może przykazać, żeby trochę ścichli.

Lecz Tagiejew nadspodziewanie nie wpadł w swą zwyczajną wściekłość.

— Mnie też o tem słuchy doszły, Siergieju Iwanowiczu. Ale ja mam na nich sposób... Oni będą tańcowali, a nie my!

— Jak?

— Ja wiem, że oni już od roku by chcieli jaką propagandę polityczną złowić, a nie mogą. Nic im się nie udaje. Węch mierzawce stracili. Tak ja ich podejdę. Złowię co z propagandy i sieju minotuczku do Petersburga dokład gotowy, że w gubernii dzieją się agitacye patryotyczne, a oni jak bałwany nic nie widzą. Dokładu nie poślę, tylko im o tem zajawię i będę ich na pasku wodził. Ja będę miał fakt, a oni nic na mnie. Tylko Klickiemu trza skręcić kark... Ot!...

Rozjaśnił się, rad ze swej dyplomacyi, aż mu ślepki się rozświeciły i wąsy sterczały do góry.

— No... i co wy na to?

Markowskij podniósł się z krzesła.

— No... to trzeba propagandę złowić.

— Aj Boże mój!... śledzić będę... Mnie już się coś troszkę zdaje... A potem święci dopomogą.

Zwrócił się w stronę, gdzie przed ikoną świeciła się mała lampeczka.

— Tak, zawsze lepiej się mieć na baczności — powtórzył Markowskij.

— Ej!... odważny człowiek zawsze ma szczęście za sobą. A to wy, Siergieju Iwanowiczu strasznie jakoś się zrobili płochliwy. No... idźcie z Bogiem!... A ja idę dziś na rendez-vous... Jej Bogu!

Zaczął śmiać się dobrodusznie. Kły mu było widać.

Markowskij uznał za stosowne śmiać się także.

— Winszuję! winszuję!... — mówił, do przedpokoju się kierując.

— Nu... d a... cóż robić?... Dama prosi, odmówić nie mogę.

Markowskij, który już był w głębi przedpokoju, wykrzywił się fatalnie. Wiedział on dobrze, jaka to była dama i jakie to było jej „proszenie“.

— Tylko się nie spóźnijcie! — wymówił obleśnym głosem.

— Pośpieszę się... a potem niech czeka. Kobieta tem łaskawsza, im więcej cierpi.

Śmiali się głośno, radzi i weseli na pozór, choć każdego z nich żarł niepokój i niepewność jutra.

— No... do s w i d a n j a!

— Do s w i d a n j a!

— Dobrej zabawy!

— A jutro Klicki... nie zapomnijcie!... W kancelaryi i na kolej!

— D a, d a!...

Markowskij wyszedł, a za drzwiami splunął.

— S z y m p a n s c a! — mruknął.

Gdy drzwi się zanim zamknęły, Tagiejew splunął także i z pogardą rzucił:

— Sybirskaja swołocz! — czyniąc aluzyę do pochodzenia sybirskiego swego pomocnika.

Wróciwszy do salonu, zawezwał Katiuszy, kazał podać sobie brzytwę, ciepłą wodę i puder — wodę kolońską i wykrzywiając się przed lustrem, nie jak jeden, ale jak całe stado „szympansów“, zaczął się upiększać na owe rendez-vous z nieszczęsną śpiewaczką koncertową.

XIV.

Co młodzież ma w głębi duszy. — Kazio i Klicki. — Wizya Klickiego. — Duch całego kraju. — Człowiek zwierzę. — Roza Montag. — Skandal w hotelu.

— Więc naprawdę — nie ma pan o mnie wyobrażenia, iż jestem rozegzaltowany dzieciak, pędzący na oślep i nadziany, frazesami, pozbieranymi z rozmaitych, nieprzetrawionych cudzych myśli.

— Zapewniam pana, że nie. Przyznaję się, że tak sobie was tu w Królestwie przedstawiałem, ale poznawszy pana, zaczynam zmieniać zdanie.

Kazio smutnie głową pokiwał.

— To też to właśnie, że nas błędnie przedstawiają, wliczając nas do poprzedniej warstwy, która dużo krzyczała, mało działała. My — skupiamy się, rozważamy, strzeżemy się przedewszystkiem szowinizmu, bo to zaślepia i siły odbiera.

Klicki z całą sympatyą na młodego chłopca spojrzał.

— Postępujecie doskonale. Przejdziecie ze szkół do uniwersytetu znakomicie przygotowani i uzbrojeni do dobrej walki.

— Tak... o to nam przedewszystkiem chodzi.

Siedzieli w numerze Klickiego, pijąc herbatę. Kazio odprowadził artystę do hotelu i przez cały czas rozmawiał z nim z całą serdecznością. Dziwny bowiem ten objaw, znamienny u całej młodzieży, kazał mu się zwracać raczej ku obcym, niż ku blizkim w chęci nieposkromionej wymiany zdań i myśli. Bo choć Kazio należał już rzeczywiście do tej już kategoryi najmłodszych, którzy dużo rozważali, to przecież nie mogli się pozbyć tak w krwi naszej głęboko tkwiącej cechy myślenia głośno, choćby tylko potrącając powierzchownie o to, co było treścią ich życia. Ta kwestya narodowościowa, która była niejako szkieletem ich duszy — kazała im pozostawiać za sobą inne części składowe urządzeń życiowych. Była ona osią, około której kręciło się dla nich wszystko. Nie było to „rozpolitykowanie“ — ta nazwa była śmieszna i dziwnie mała i żadna w określeniu stanu ich duszy. Nie było to życie w krainie ułudy i fantazyi, lecz jakiś spokój pełen goryczy, równowaga prawie tragiczna u tak młodych i ledwo na progu życia stojących istot.

Mówili — „my chcemy poznać... my sami musimy ocenić“ — i zatrzymywali się nie dla braku ufności u swych poprzedników, lecz w zaufaniu, że gdy zechcą, im samym starczy siły, aby wiedzieli którędy iść mają, aby nietylko pożytek, lecz szkody krajowi nie przynieść.

Napozór szli osobno, chroniąc swą indywidualność, a przecież, gdy tylko znaleźli się razem, gdy tylko spotkali się na ścieżce życiowej — zbadawszy

grunt, wymieniali myśli, starali się upewnić, czy dobrze czynią nie rzucając się na oślep, lecz starając się przedewszystkiem zdobyć moralne, silne podstawy, zanim działać rozpoczną.

Zarzut lekkomyślności Królewiaków, uczyniony niejednokrotnie ich poprzednikom, podziałał na dorastających w trzeźwiący sposób. Postanowili wyzbyć się tych cech właśnie, które gubiły niejedno doskonale wypoczęte dzieło. Również zapragnęli wyrwać ze siebie sekciarstwo i ciasnotę w stosunku do wolności cudzych przekonań. Ażeby w tym kierunku w dyskusyach sił nie targać, postanowili unikać rozmów z osobami żywiącymi inne, niż oni przekonania. I dlatego to Kazio tak starannie unikał bliższej dyskusyi z ojcem. Zdawało mu się, iż ojciec ugiął dobrowolnie kark i nie jest już w stanie niczem zbudzić w sobie trochę siły, choćby dla stanięcia przeciw takiemu Tagiejewowi. Usuwał się wciąż od słów i ku Klickiemu teraz dążył. Naturalnie to, co dawał Klickiemu, to była zaledwie wierzchnia warstwa jego duszy, jej cień, nic więcej.

Ale zawsze — było to więcej, niż dawał ojciec, dla którego miał tylko zaciśnięte usta, albo za słabość jego — krótkie słowa nagany.

Słabo płonąca w lichtarzu świeca, oświetlała niepewnym blaskiem twarze tych dwóch młodych ludzi, zbliżonych ku sobie, pochylonych i szepczących swe myśli. Obaj byli bardzo piękni, choć każdy w odmiennym rodzaju. Blada twarz Kazia, jego szlachetny profil, wielkie, głęboko osadzone oczy w półcieniu robiły wrażenie jakiejś zjawy nie z tego świata.

Była w niej przecież duchowa siła, duchowa moc — było w niej takie światło wewnętrzne, co jak o kryształowe ściany lampy skrzydłami bije i blaski rozszerza.

Klicki przedstawiał znów imponujący dorobek siły materyalnej i wielkiej dobroci, właściwej duszom, które w mistyczne regiony nie sięgając, chcą jakoby tą dobrocią przebłagać społeczeństwo, iż tak wytrwale trzymają się ziemi.

Lecz — w tej chwili w Klickim zaczynał się rodzić pewien obrachunek sumienia.

Przeszedł przez swą młodość, nie mając pojęcia o tych walkach, jakie szarpały życiem Kazia. Ze szkół wpadł w studya malarskie i strona utylitarna podbarwiona artyzmem zajęła go bez podziału. Mniej więcej ta warstwa, z której wyszedł, trzymała się tych samych zasad i od wrzenia przeciw krajowym władzom uchylała się, zapatrzona w ideał artystyczny, z którego miały wyrosnąć podwaliny jej bytu. A tu o miedzę, o granicę, żyły tysiące takich tragedyj z początku dziecinnych a potem młodzieńczych, które w szarości dnia powszedniego wydobywały wspaniałe bryły, sadzone rubinami o przeczystych, ofiarnych blaskach.

Klickiemu wydały się teraz śmieszne i nędzne jego przelezienia bezbarwne przez szkoły, jego monachijskie dnie głodu i upędzania się za zdobyciem techniki i malarskiej wiedzy. Patrzył na Kazia z coraz większą poważną myślą, widząc w nim zupełnie inny typ młodzieży, jak ten, który on sobie wytworzył. Widział w nim nie upiorną marę Kordyanów,

padających przed czynem w omdleniu, spowodowanem bezmiarem uczuciowości, lecz rzeczywisty świt promieni niezgaszonych pełen.

— Nie miałem nigdy takich chwil, przez jakie ten chłopiec przechodzi! — pomyślał po wyjściu Kazia, gdy sam pozostał w numerze.

Powstał i podszedł do okna.

Ciemno było tak jak i wczoraj, a przecież Klickiemu zdawało się, że ta ziemia promieniuje i rozszerza jakiś blask, którego wczoroj nie dostrzegł.

Wczoraj to miasteczko wydało mu się tylko jamą, eldoradem złodziei i opryszków.

Dziś — była to jakaś ofiara przykuta do gruntu — bezbronna i wydana na pastwę ryjących ją dzikich trzód. Systemy szkolne, systemy policyjne, systemy ogólne trzymały się jak ogniwa łańcuszka. Wszędzie starano się brać wszystko, a nie dawać w zamian tego, co się należeć winno. I ta straszna, ta gniotąca wszystko opresya — ten lęk przed „wydaniem się“ — ta trwoga przed... myślą swobodną!

I to, co ogarnia Klickiego, zaczyna graniczyć z rozrzewnieniem.

Coś w nim drży, coś jakby się budziło w cieniu.

Oprócz Jani powstaje w nim jakieś ogromne przywiązanie ku czemuś bardzo biednemu i znędzniałemu.

W oddali migoce latarenka, przegląda się w kałuży błota. Klicki przypomina sobie wczorajszą swoją po błocie wycieczkę.

— Wszystko błotem pokryte... — myśli i widzi dokładnie ową kancelaryę smrodliwą, ów urząd Tagiejewa...

— Błoto i błoto!

— A pod niem?

I coś z ciemności cicho, lekko ku niemu powiało. Dusza t w o j e g o kraju!...

. . . .

Klicki znieruchomiał przez chwilę.

— Tak — pomyślał wreszcie — dusza mojego kraju.

Bo cóż stąd, że rozciągnięto granice, to przecież mój kraj to miasteczko, na którem rozciągnął się taki Tagiejew, te wszystkie miasta i sioła, na których rozciągnięte drzemią Tagiejewy.

W Krakowie — przywykł myśleć szablonowo — my, tu... w Galicyi, oni, tam... w Królestwie, a potem, ci tam... w Poznańskiem.

I tutaj dopiero, w tę noc błotną i smutną, po raz pierwszy poczuł, że myślał źle, fałszywie, że niema „nas tu, ich tam“ lecz jesteśmy tylko m y — nic więcej, tylko m y.

I ogarnęła go chęć zsolidaryzowania się z tymi, którzy cierpieli tutaj, cierpieli ciągle w przygnębieniu i walce bezustannej. Przycisnął czoło do szyby i wpatrywał się ciągle w tę czerń błotną, jakby czekał, że z pod niej wypłynie ku niemu jak mgła lekka i przesmutna wizya d u s z y c a ł e g o k r a j u, — którą Kazio i jemu podobni tak często widywać musieli.

— Oni ją ciągle w piersiach swych noszą!... — pomyślał smutku pełen.

Nagle na kurytarzu dały się słyszeć szybkie kroki.

Ktoś szedł po dywaniku i zbliżył się do drzwi Rosy Montag.

Śpiewaczka widocznie spała, bo zupełna cisza zapanowała w jej numerze.

Tagiejew — gdyż to on był — wyświeżony,



z paszportem w kieszeni, zapukał lekko do drzwi. — Ponieważ nie odpowiadano mu, sądził, iż drzwi są otwarte, pocisnął za klamkę.

Zadziwił się.

Drzwi były zamknięte.

Na kurytarzu tliła się słabo nieduża lampeczka. W oddali widać było stół, na którym stały buty

i samowary. Na środku kurytarza zegar w szafce wskazywał wpół do pierwszej.

Tagiejew ponowił pukanie.

Klicki usłyszał, iż Roza się obudziła. Zaspana zapytała: — „kto tam?“

Zapanowało milczenie i nagle dała się słyszeć podstępna odpowiedź:

— T i e ł e g r a m a!

Roza wyskoczyła z łóżka. Słychać było trzask zapałek, wreszcie tupot bosych nóg. Szczękając zębami z zimna, drzwi otworzyła.

— Podajcie telegram! — wyrzekła, wysuwając obnażone ramię.

Lecz Tagiejew już do pokoju się walił.

— Z d r a s t w u j t i e, Roza...

Śpiewaczka lekko krzyknęła.

— To wy?

Słychać było, jak biegła do łóżka, jak kryła się w pościel.

— Ja!... a cóż? Wy mnie przecie oczekiwali.

— Ja? Pan kłamie.

— To wy kłamiecie teraz. Ej!... ej!... po co takie kaprysy? To nieładnie. Ja przyniósł paszport.

Roza ręce złożyła.

— Mój złoty, dobry, brylantowy królu, daj mi paszport i wypuść mnie z duszą.

Tagiejew w lansadach do łóżka się zbliżał.

— Dam — ale pierwej proszę pocałować!

Straszny był teraz, gdy się wdzięczył, stokroć straszniejszy niż wtedy, gdy wrzał gniewem.

Roza instynktownie wcisnęła się w głąb ściany, gromadząc dokoła siebie brudną, dawno niezmienianą pościel i zaciskając cuchnącą watowaną karmazynową kołdrę dokoła swego chudego ciała.

— Puśćcie mnie z duszą! — powtórzyła.

Nic nie zdoła oddać tej bolesnej prośby, jaka w jej głosie zabrzmiała.

Klickiemu zrobiło się jej żal strasznie. Przeczuwał brutalność ze strony Tagiejewa i ogarnął go straszny niesmak i wstyd na myśl tego, co się dziać będzie.

— No... tak dosyć już tych kaprysów — zawarczał Tagiejew, a głos mu drżał lekko. Widocznie opór działał podniecająco na jego zmysły.

— Proszę być dla mnie łaskawą... ja tu darmo nie przyszedł....

Pochylił się i rękami Rozę objął. Ta wyprężyła się całem ciałem, chciała krzyknąć, ale już wargi Tagiejewa usta jej gniotły.

Wyciągnęła rękę, natrafiła sznur od dzwonka zawieszony nad łóżkiem, uczepiła się go i zaczęła przeraźliwie dzwonić.

Hałas roztłuczonego dzwonu rozległ się po kurytarzu z przerażającą siłą. Tagiejew puścił Rozę i odskoczył.

— Ty się z b i e s i ł a? — wrzasnął.

Lecz Rozę porwał spazmatyczny płacz. Tyle dni głodu, zimna, wyczekiwania — wszystko to złożyło się na ten krzyk, który wydarł się z jej piersi. Ciągle uczepiona u dzwonka targała nim z całej siły, a ten

dźwięk dzwonu i jej straszny krzyk, wypełnił hotel grozą przejmującą wrzawą.

Hałas ten zbudził w Tagiejewie zwierzę. Cała dzikość jego charakteru rozpętała się w krzyku szalejącej żydówki. Podniecony od rana i oczekujący na zadowolnienie wrzenia wyposzczonych swych zmysłów — zawiedziony w nadziejach — wpadł w gniew graniczący z obłędem. Wrzaskiem swym Roza podcinała ten gniew jak uderzeniem szpicruty.

Rzucił się ku niej, porwał ją za rękę i wydarł jej sznur od dzwonka.

— Małczi skatina! — zawył bezprzytomny prawie.

Za włosy ją pochwycił i targnął. Ona odpowiedziała mu jeszcze straszniejszym wrzaskiem. Wówczas Tagiejew zaczął zdzierać z niej pościel i rwać ją w strzępy. W jednej chwili masa łachmanów napełniła ledwo oświetloną izbę. Na łóżku rozkrzyżowana u ściany, ze szczęką wysuniętą naprzód, z masą włosów rozwianych dokoła, — pół naga, w podartej koszuli, wyła trupio blada Roza.

— Małczi skatina...

Teraz w strzępy zaczęły lecić ubogie sukienki Rozy, jej pończochy i buciki. Czego rękami nie mógł rozerwać — rozdzierał zębami. Piana mu leciała z ust. Nie krzyczał, lecz ryczał cicho i ciężko...

Klicki ku drzwiom podskoczył, na kurytarz wypadł. Hotel był pusty. Oprócz niego, Rozy, oficera w „załogu“ i obywatela z Litwy, nie było nikogo. Oficer jeszcze nie ustał, a „obywatel z Litwy“, uchy-

liwszy drzwi, słuchał całego zajścia z nadzwyczajną obojętnością.

W ciemni kurytarza Klicki dostrzegł strwożoną sylwetkę Proszowskiego.

Klicki do „obywatela z Litwy“ podszedł.

— Przepraszam — wyrzekł zdenerwowanym głosem — pan słyszy, co się dzieje? Może poszlibyśmy interweniować?

Lecz człowiek o dziwnych oczach, bardzo grzecznym gestem uchylił się od owej interwencyi.

— Jabym panu nie radził! — wyrzekł uprzejmym głosem.

— Ależ tam kobietę brutalizują.

„Obywatel“ z Litwy uczynił jakiś gest niewyraźny.

Klicki odwrócił się od niego. To tchórzostwo wydało mu się nie na miejscu. Dojrzał posługacza.

— Proszowski! zbudźcie gospodarza!...

Lecz Proszowski znikł w cieniu, jakby zaczarowany.

Tymczasem Tagiejew, zniszczywszy wszystko w numerze, wypadł w szale na kurytarz. Obejrzał się dokoła, zakręcił i rozpoczął robić rzecz nadzwyczajną „niebywałą“. Oto — zaczął drzwi od numeru Rozy Montag z zawias zdejmować i na kurytarz wystawiać.

Klicki ku niemu się zbliżył.

— Pan oszalał, panie policmajstrze! — wyrzekł, drząc cały, tak go ta scena zdenerwowała.

Z pokoju Rozy Montag dolatywał teraz już tylko cichy płacz. Żydówka wyczerpana padła na materace i tylko głową biła o nie, zawodząc cicho.



— Małczi skatina! (Str. 205.)

— Co ja teraz zrobię.... co ja zrobię!...

Jak byk, którego drażnią umyślnie w arenie czerwonemi płachtami, aby jego uwagę od terroadora odwrócić, tak rzucił się Tagiejew ku Klickiemu.



...zaczął drzwi z zawias zdejmować i na kurytarz wystawiać. (str. 206.)

— Wy czego się tu suniecie? — zapytał po rosyjsku, pakując ręce w kieszenie palta i następując na Klickiego.

— Bo muszę — pan kobietę maltretuje. To ohy-

dne... to potworne... pan jest od tego, żeby porządku pilnował, a nie sam po nocy skandale wyprawiał.

Klicki mówił głosem podniesionym i ani kroku Tagiejewowi nie ustępował, patrząc mu silnie w oczy. Poskramiał go w ten sposób i na wodzy trzymał, jak dzikie zwierzę. Lecz to było niepotrzebne. Klicki nie znał takiej natury, jaką był Tagiejew. Ten człowiek w potrzebnej chwili umiał nagle oprzytomnieć i wybrać w postępowaniu swojem to, co było dla niego najwłaściwsze.

Tak samo stało się i teraz. Tagiejew przez chwilę zdawało się, iż skoczy do gardła Klickiemu — powoli przecież jakby się powściągnął. Przymrużył oko, ściągnął twarz w straszny grymas.

— Pan się tu strasznie rozgospodarował — wyrzekł z nieokreśloną ironią — pan się ciągle do wszyskiego miesza. Pan bardzo podatny sam na policmajstra. Szkoda, że pana tam w Krakowie na g a r a d a w o w o nie wezmą!

I czapkę na głowie poprawiwszy, dodał:

— Dobranoc panu!

Przeszedł mimo Klickiego, pewny siebie, stukając nogami jak kopytami po kurytarzu.

Klicki, ochłonąwszy, zabrał się do śmiesznej pracy wstawiania drzwi do numeru śpiewaczki. Straszne zimno pędziło do niej z kurytarza.

— Daję słowo — myślał — wychodzę tu na Don Kiszota!

Spojrzał do wnętrza izby.

Roza leżała, ciągle płacząc, na łóżku. Strzępy jej odzieży walały się po podłodze. Klickiemu zrobiło się

żal tej bezbronnej kobiety, odartej nawet z ostatniego odzienia.

— Niech pani nie płacze — wyrzekł ze współczuciem — ja na to zaradzę, ubranie się znajdzie.

Postanowił znów użyć pomocy Proszowskiego i odziać jako tako śpiewaczkę.

Ale ona nie odpowiadała nic, tylko leżała ciągle wstrząsana cichem łkaniem.

Wówczas Klicki wyszedł i do swego numeru powrócił.

— Co za piekło!... — pomyślał, patrząc ze smutkiem przed siebie.

XV.

Siemipudow w zalotach. — Tagiejew się wścieka. — Dwóch u dzieła. — Józia w szponach Tagiejewa.

Wczesnym rankiem musiała Katiusza nastawiać samowar.

— Czort z nim! — mruczała zirytowana wrzaskami „czaju!“ — rozlegającymi się z sypialni Tagiejewa. Na ławie w kuchni, przesiąkłej wonią kapusty, gdyż „l e n i w y j e s z c z y“ codziennie musiały perfumować stół Tagiejewa — siedział olbrzymi Siemipudow i z lubością patrzył na korpulentną kucharkę.

Była to jego „ziemlaczka“ z jednej gubernii i stanowiła osłodę w jego wygnaniu do p r y w i ś l a ń s k i e g o kraju.

Siemipudow był z gruntu niezłym człowiekiem. Ot — chłop, rdzenny Moskal, z duszą, pełną sentymentalnej tęsknicy, wył wieczorami pieśni, akompaniując sobie na harmonii. Lecz ta gorączkowa żądza wyzysku i złodziejska atmosfera, w której przebywał, oddziałała już fatalnie i na jego uśpioną duszę. I on zaczynał swoje rabunkowe „d i e ł a“ na własną rękę,

a ciesząc się faworami Tagiejewa, ośmielał się coraz bardziej.

Katiusza dopomagała jeszcze w dziele korupcyi. Wdzięki jej rosłe i obfite podniecały ogromnie Siemipudowa. Katiusza jednak nie chciała zostać żoną ubogiego stójkowego. Siemipudow poprzysiągł więc zebrać jaki taki majątek. Okazyi było dość — należało tylko korzystać. Siemipudow jednak był trochę leniwy i niejedną dobrą chwilę przepuścił. Sprawniejsi koledzy korzystali i Katiusza dowiedziawszy się o tem, była zła i srogie Siemipudowowi czyniła wymówki.

Właśnie taki rozdźwięk panował obecnie pomiędzy „z i e m l a k a m i“. Katiusza nasunęła na sam nos swoją pomarańczową chustkę, obyczajem chłopek rosyjskich związaną pod brodą. Odwróciła się tyłem do policyanta i pochyliwszy się, dmuchała w samowar. Widok tak nachylonej Katiuszy przedstawiał się obszernie i ponętnie i bynajmniej nie obrażał Siemipudowa, którego twarz rozjaśniona była błogim wyrazem zachwytu.

— Ej Katiuszenka! — wymówił wreszcie, darmo czekając na łaskawsze słówko z pod pomarańczowej chustki — ej Katiuszeńka, ty nie słusznie na mnie gniewna. Pomyśl tylko, gwiazdeczko moja... ja że inaczej nie mógł zrobić i musiał spisać z tego protokół.

— Na czorta tobie był protokół? — żachnęła się Katiusza — tobie trza było żyda, co te pieniądze skradł, zaraz gonić i na gorąco od niego połowę wydrzeć. Po co ty okradzionego ze sobą taskał i ten protokół pisał?... Barłamow by tak nie zrobił.

Siemipudow się wykrzywił. Pomiędzy nim i Barłamowem była ciągła rywalizacya co do sprawności, z jaką obłupiali interesantów i złodziei.

— Czort mi nadał, Katiusza, świadka. Jak ten Jarszewski upadł, trącony przez Chaskla, to jakiś przeklęty mieszczanin nietutejszy stał obok i zaraz zaczął krzyczeć, że widział, jak Chaskiel Jarszewskiemu pieniądze z kieszeni wyjmował. Musiałem spisać protokół.

Westchnął ciężko, lecz zaraz dodał:

— Ty się nie bój, gołąbku — przecie wiesz... u nas protokół nie ma znaczenia. My nim buty wycieramy. Spisało się i... amen — przepadło. A ja taki Chaskla w kącie dopadnę i zmuszę go, że się pieniądzmi podzieli.

— Dużo ich było?

— Ten Jarszewski gada, że ośmdziesiąt cztery ruble i coś kopiejkami.

— Żądaj trzydzieści.

— Chaskiel tyle nie da. On twardy, on zawsze strażnikom daje ćwiartkę z tego, co ukradnie.

— K a t i u s z a! — rozległ się ryk z sypialni Tagiejewa — p o d a w a j c z a j!...

— S i j u m i n u t o c z k u — zapiszczała Katiusza.

Siemipudow, który na ryk policmajstra porwał się z ławki — zmrużył oko figlarnie i zapytał szeptem:

— Z nim co dziś? —

— Ot zbiesił się — odparła Katiusza — cho-

dził dziś w nocy na swidanje z jakąś piewicą i coś mu tam nie po woli, bo wścieka się i ciska...

— Daj mu czaju — niech zaleje mordę kipiątkiem, nie będzie wrzeszczał.



— Nie chce się zagotować.

— Pozwól!

Siemipudow szybko z nogi but z cholewą ściągnął i tym zaimprowizowanym miechem dąć w samowar zaczął.

Katiusza odstąpiła od niego — wzięła się pod boki i ciężko sapała.

— A to Barłamow — zaczęła znowu — podobno 50 rubli dostał od piekarza z Glinianej za to, że mu pozwolił przestawić piec piekarski. Ot rozumny człowiek! Choć piekarz miał dawno pozwole-

nie z magistratu, a on się uparł i mówi — nie i nie... Taki musieli mu pieniądze dać.

Siemipudow nie odpowiedział nic, tylko w dalszym ciągu się nad samowarem znęcał.

Nagle — kopnięciem nogi Tagiejew drzwi od kuchni otworzył i groźny i srogi — odziany w kurtkę i kalesony ukazał się.

— Ty świńskie ryło — zaczął, lecz zobaczywszy Siemipudowa, zmienił tok myśli.

— Siemipudow, pozwij do mnie Markowskiego.

— S ł u s z a j u ś wasze wysokobłagorodje! — odparł Siemipudow, wyciągnięty po wojskowemu z jedną nogą owiniętą onuczkami i z butem ukrytym poza plecami.

Za chwilę zjawił się Markowskij.

Szedł pełen złośliwości, gdyż mu już zaraportowano o nocnym skandalu w hotelu Izaaka. Cieszył się zawsze, ile razy zwierzchnik jego doznał niepowodzenia na jakiemkolwiek polu.

Ułożywszy usta w uśmiech obleśny, wszedł do jadalni, gdzie już kipiał na stole samowar, wniesiony przez chmurną Katiuszę.

— Cóż?... tak rano wy już na nogach? — pozdrowił Markowskij Tagiejewa. — Ot co jest młody i pełen życia Rosyanin. Nic go nie zmoże, ani miłość, ani noc bozsenna.

Tagiejew się nadął.

— To są p u s t i a k i, miłosne d i e ł a! — zawołał — tu chodzi o rzeczy większej wagi... Posłać trza zaraz po tego z Krakowa, zagrozić mu w kan-



...kopnięciem nogi Tagiejew drzwi od kuchni otworzył... (Str. 216.)

celaryi i w o n go tak, jak było wczoraj umówione... Wy to słyszycie?...

— Słyszę... ale pozwólcie. Cóż on nowego zrobił?...

Aż drgały wąsy Markowskiemu od ukrytego uśmiechu. Doskonale wiedział, jaką rolę w aferze z Rozą Montag odegrał Klicki.

Tagiejew na chwilę się zmieszał.

— Co zrobił, to mniejsza! — odparł wreszcie — dość, że ja go nie chcę ścierpieć tu ani minuty w mieście. Niech Siemipudow idzie po niego i natychmiast go tu przyprowadzi.

— A kto go ma odwieźć do granicy?

— Wy.

— Ja?

— No — tak.

Markowskiemu było to nie na rękę. Czuł, że popełniają rzecz nieprawidłową. Nie chciał się w to mieszać.

— Pozwólcie... — wyrzekł — a jeśli on da słowo, że odjedzie?

— To... można pojechać za nim, ale tak, żeby on nie widział. Gdyby z granicy chciał się wrócić, tak wtedy się zjawić i odwieść aż do Krakowa.

— No... a jeśli się zwróci do żadarmeryi?

— Ach Boże mój! Wasza w tem głowa. Zagadać, przerazić — udać, że dla jego dobra, że się właśnie chce go ocalić od zetknięcia z żandarmeryą i będzie dla niego niebezpieczne. Czyż uczyć was trzeba?... Czyż wy nie wiecie, jak się to robi i jak się nam wymigać od żandarmeryi przychodzi?

W kilka minut później Sicmipudow w obu butach — po formie, szedł obarczony misyą przywiedzenia do kancelaryi Klickiego — pod grozą w razie oporu użycia nawet siły.

— A teraz jeszcze jedno! — podjął znów Tagiejew — my wczoraj mówili, że u Horskiego powstaje myśl, aby się zeszli obywatele miasteczka i wnieśli podanie na mnie do rady gubernialnej — co?

— Tak.

— Zkąd wy o tem wiecie?

Markowskij się zawahał. Nie wiedział, co uczynić. Bał się odkryć Tagiejewowi swój stosunek z Józią. Lękał się, że dziewczyna będzie wolała policmajstra, jak jego pomocnika. Znając naturę Tagiejewa, nie wątpił, że ten natychmiast obdarzy Józię swoją miłością, co zaś do Józi nie miał żadnych złudzeń w tym kierunku.

Tagiejew zmrużył oczy i przez stół patrzył ironicznie na Markowskiego.

— Wy milczycie? — wyrzekł wreszcie — no to ja wam powiem. U was jest kochanka — s ł u ż a n k a u Horskich! Ha?...

Markowskij wściekły zaczął się śmiać, udając dobroduszność.

— A... jaki wy wszystkowidzący, Iwanie Iwanowiczu!

— Nu — ja już taki

Śmieli się, pokazując kły. Pomiędzy nimi buchał samowar, zasłaniając czasem wzajemnie im przeszywające się na wskróś oczy.

— Skoro wy wiecie — podjął wreszcie Markowskij — to ja już wam nic więcej mówić nie będę.

— Nu ja się was o pozwolenie nie pytam, ja dziś jeszcze tę Józię zobaczę i z nią się rozmówię. Ona zda się chytreńka i sprawna dziewczyna.

Markowskij się skrzywił.

— Ona ma niebawem wracać do Warszawy.

Tagiejew pięścią w stół uderzył.

— Ona wróci, kiedy j a zechcę. Ja mam na nią sposób. Ona mi już służyć będzie, i mnie wprost raport, co się dzieje u Horskich, przynosić. Przez posły — wilk nie syty. Dobra przypowiastka, a wy chcieli być dla mnie takim posłem. I ot... nie udało się... Ja was podszedł i wyłapał, kogo wy u Horskich osadzili.

Markowskij aż paznogcie w dłonie wpijał, taka go wściekłość porwała. — Czuł jednak, że nic nie poradzi. — Z całym wysiłkiem woli zapanował nad sobą — wstał i skłoniwszy się, zapytał:

— To wszystko, co wy mieli mi powiedzieć, Iwanie Iwanowiczu?

— Wszystko! — A tego Klickiego — won z miasta i z imperyi.

— Dobrze!

Wychodząc, Markowskij aż się cofnął. W przedpokoju stała Józia, z koszyczkiem w ręku, z gołą głową, osłoniętą chustką.

— Ty czego tu? — syknął na nią przez zęby Markowskij.

— Policmajster kazał!... — odparła równie szeptem dziewczyna.

Widocznie była rada, że może za pośrednictwem Tagiejewa zdoła się uwolnić ze szponów Markowskiego.

— Idź do domu!

Zuchwale oczami błysnęła.

— Pójdę, kiedy mi się będzie podobało... Panu nic do tego.



Pochwycił ją za rękę. Wywinęła mu się zręcznie, pozostawiając mu w ręku swoją bawełnianą rękawiczkę. To ją rozbawiło do reszty. Zaczęła chichotać, jak tam za stołem u Matołkowskiej.

— Hi! hi!... jaka z pana cholera!...

W tej chwili otworzyły się drzwi od salonu i pojawił się w nich Tagiejew.

— A... to panna Józia!... proszę, proszę do salonu!...

Zwrócił się ku Markowskiemu z wyniosłym gestem:

— A wy, Siergieju Iwanowiczu, bądźcie zdrowi!

Józia odwróciła się i, korzystając z ciemności przedpokoju, pokazała język w stronę Markowskiego.

— Chodźmy gołąbko! — przymilał się Tagiejew.

I znikli oboje za portyerą.

Markowskij postał chwilę, wreszcie otworzył drzwi do sieni i jak furya wpadł na oczekujących już w sieni interesantów.

— Czego? czego?! — krzyczał wbrew swemu zwyczajowi, unosząc się wściekłością — czego leziecie, jak stado świń?!... Kultiapkin! Jakimow! Strojka!.. gnać ich won!...

Jak stado strwożonych wróbli rozpierzchli się nagle interesanci.

Jedni uciekali na piętro, drudzy wpadli do kancelaryi, inni walili się na łeb na szyję ze schodów.

Tylko Josełe Pinkas pozostał niewzruszony. Przylepiony do ściany, zielony, owinięty szalikiem, patrzył figlarnie na Markowskiego i wreszcie wyrzekł:

— Niech się wielmożny pan sekretarz nie ciśnie... Ta panienka... una potrafi kochać i pana sekretarza i pana policmajstra... Żebym tak zdrów był.

Lecz Markowskij nie był snać w tych sprawach

czystym „filozofem“, bo rzucił się, jakby ukropem oblany.

— Ty jewrejskaja swołocz... ty pohanoje ryło... to ty ją nastręczył, ty mnie szpiegował... Ja cię tak pod żebro, że cię rodzona matka nie pozna.

Lecz Josełe nie ruszył się z miejsca, tylko skurczył się troszkę i wciąż okiem kaprawem mrugał.

— Kiedy i dla pana sekretarza jej serca starczy... — powtarzał, wyrzucając ze siebie kłęby smrodliwego powietrza.

XVI.

Czarna książka. — W szpicle!

Tymczasem Tagiejew Józię do salonu wprowadził.

— Usiądźże gołąbko... — wyrzekł dobrodusznym tonem.

Józia uznała za stosowne się ceremoniować.

— Ja postoję, proszę łaski pana naczelnika.

Lecz Tagiejew w grzeczności zaczął się przesadzać.

— Ja proszę usiąść!... Taka śliczna panna nie może stać przy drzwiach... Wy możecie, duszko, z waszą k r a s o t ą zająć miejsce choćby na salonach generalskich.

Mówiąc to, szybkiem okiem taksował dziewczynę. Nie pociągnęła go. Wydała mu się zwiędła, jakby uwędzona w kawiarnianym dymie. Przytem Tagiejew miał szczególniejszy pociąg do „artystek“.

— Taka już moja natura artystyczna! — mawiał, zapalczywie uganiając za wszystkiem, co miało ze sceną coś wspólnego.

Widział więc w Józi tylko podatny materyał na

szpiega, i jako taką pragnął dziewczynę czemprędzej do służby swej nagiąć.

Rozpuściwszy swe duchowne macki, uczuł od razu, że dziewczyna jest próżna i że na tej próżności łatwo grać można. Postanowił więc traktować ją jak „damę“ i starać się przedewszystkiem za pomocą dobroci jak najwięcej z niej wydostać.

— Może czajku?... — zapytał, jadalnię wskazując.

— Dziękuję... — mizdrzyła się Józia — u nas wcześnie śniadanie... Wybiegłam na chwilę, niby za sprawunkami... Josełe mi mówił, że pan naczelnik kazał.

— Ja prosił... ja mogę tylko prosić, żeby mi panna Józia tę cześć zrobiła i do mnie w gości przyszła.

Posadził dziewczynę na fotelu i sam zajął miejsce naprzeciw niej na taburecie.

Mimo wszystko miał wielką ochotę bodaj ją uszczypać, ale wstrzymywał się, przypominając sobie, że inny ważniejszy cel musi mieć na uwadze.

Ona ze swej strony przypatrywała mu się wprawnem okiem szczwanej restauracyjnej dziewki i pod uśmieszkiem kryła uczucia wstrętu, jaki budził w niej ten nieumyty, opasły już mężczyzna w rozpiętej na piersiach koszuli brudnej i potarganej.

— Panna Józia służy u Horskich? — zapytał Tagiejew.

Józia skrzywiła się jakby do płaczu.

— Och panie naczelniku!... — zawołała — służę! Ale niech pan naczelnik powie, czy to ja powin-

nam wycierać cudze kąty i „bele“ komu usługiwać? Toć ja w najpierwszej restauracyi miejsce znajdę, bo za mną goście „ciągnom“, jak te słonki. Jak Boga ukrzyżowanego kocham! A to bez tego pana Markowskiego popadłam w takie „draństwo“, że „tera ani tędy ani siędy“.

— Jakże to?



...i sam zajął miejsce naprzeciw niej na taburecie. (str. 226.)

— A no... my się tam poznali u Matołkowskiej w restauracyi w Warszawie. Tak on do mnie — a rzuć, a jedź ze mną, a będziesz pani całą „giembą“, a ja się może i ożenię, a drugie, a trzecie... Takie tam „zawracander“. Ja durne bydlę wierzyłam. A że się pożarłam z Wierciołkiem i Matołkowska jemu dała „recht“ a nie mnie — więc jednego wieczoru

powiadam — „dobra“ — i siadam z nim na kolej. A on...

— No... no...

— On — z początku tam się ściągał i numer mi zapłacił i drugie i trzecie. Ale potem coraz gorzej. Tak ja do niego — ile że mi było mordownie nudno bez knajpy — ja chcę jechać! — a on w śmiech. Nie przeczę, mówi. Ja mu po ludzku: — Oddaj złodzieju paszport... a on z grubsza. Ty taka, ty owaka, paszport u mnie. Pojedziesz jak ja zechcę... I trzyma mnie w tym hotelu. Cały dzień siedzę — beczę... nos mi spuchł jak trąba... cóż? pchły chyba zapuścić i uczyć tańcować? — Aż on do mnie. — Chcesz wyjść do ludzi? — Chcę! — To cię dam na służbę — do dobrego domu. Roboty mało — a będziesz miała tylko tyle, że czasem mi tam powiesz, czy co na mnie, albo wogóle na policyę złego co nie mówią. Ja panie naczelniku, żeby się wyrwać z tego więzienia, to byłabym rodzoną matkę sprzedała — i zgodziłam się. Ale teraz, to już mam dosyć. Ja chcę wracać do Warszawy!... Panie naczelniku złoty! jedyny! święty!... niech pan naczelnik tak zrobi, żebym ja mogła wrócić!...

Wytrzeszczyła oczy, wyszczerzyła zęby w jakimś bolesnym uśmiechu, starając się skokietować Tagiejewa. Aż jęczała w niej dusza za knajpowem życiem. Tagiejew uśmiechał się i chwilę na nią patrzał.

— Tak bardzo chce się pannie Józi wrócić do Warszawy?

— O jej!... strasznie.

— No, to panna Józia wróci.

Aż porwała się z krzesła w nadmiarze radości.

— Panie naczelniku śliczny! brylantowy!...

Lecz on ręką skinął.

— Ale... warunek.

Westchnęła.

Wiedziała, że będzie „warunek“, że się bez niego nie obejdzie, ale z góry już na wszystko przystawała.

— Dobrze!... dobrze... bierz djabli cielę, kiedy poszła krowa — roześmiała się.

Twardo spojrzał na nią Tagiejew.

— Niech panna Józia siada, bo my będziemy ze sobą mówić o d i e ł a c h.

Jakby kto konewkę zimnej wody wylał na głowę Józi. Bała się niezmiernie owych d i e ł, wplątana już raz w pamiętną jej sprawę, zakończoną samobójstwem porucznika artyleryi, Striełkowa. Pobladła nawet trochę i obałwanionym wzrokiem wodziła po olejodrukach i kryształowych wisiorkach kandelabrów, w których nieśmiało wschodzące słońce grało barwami tęczy. Tagiejew przestrach jej dostrzegł.

— Niech się panna Józia nie boi... — wyrzekł ojcowskim tonem — to są d i e ł a z korzyścią dla panny i one podniosą znaczenie panny w świecie.

Odchrząknął i po chwili dalej ciągnął:

— Ot ja sam widzę, że panna Józia na służankę nie stworzona, ani na dziewczynę z restauracyi... U panny jest delikatność i spryt... Trzeba z nich zyski ciągnąć. A panna Józia co?... Marnuje dary Boże... W restauracyi gdzieś na Marszałkowskiej z p r a c h w o s t a m i koniaki spija, zdrowie traci, a ta jakaś Matołkowska przez pannę majątek robi.

— Oj! to to!... — westchnęła spokojnie po części Józia — staram się dla tej wiedźmy, jakby to dla mnie było.

— Właśnie... a to sensu niema. Trzeba pomyśleć coś o sobie. Złożyć jakiś mająteczek, żeby coś założyć na własną rękę. Ha!

Józi aż się oczy zaświeciły.

— Bo to... — podjął znów Tagiejew — i uważanie inne w świecie, skoro się ma coś odłożone. A tak? fiu, fiu... i bywaj zdrowa łaciata sroko. Młodość poszła i amen... Ja pannie Józi dam sposób zarobienia pieniędzy.

— ?!...

— Panna Józia pozostanie nadal u Horskich!

Józia spadła z wysokości. Sądziła, że Bóg wie, co jej za świetności Tagiejew przedstawi, tymczasem każe jej pozostać znów w służbie, w tem znienawidzonem miasteczku.

— Ale proszę pana naczelnika... — wybełkotała strapiona.

— Zaraz... pomaleńku... Panna Józia zostanie u Horskich, ale zamiast opowiadać, co się u nich dzieje Markowskiemu, panna prosto mnie przyjdzie i powie.

Józia milczała. Coś w niej jakby budzić się zaczęło, lękać i drżeć.

— Markowskij co pannie Józi za takie opowiania płacił?

— Niech Bóg broni... Ja mu tylko tak po znajomości... On prosił...

— No, a ja będę pannie Józi zawsze płacił... Tylko trzeba już dobrze patrzeć i słuchać, a prawdę

szczerą mówić, bo to za pieniądze. Ja będę pannie tygodniowo płacił stosownie do tego, co ważnego mi powie... Co?... ha?...

Józia spuściła głowę. Zrobiło się jej głupio na duszy. Miała na tyle inteligencyi, iż od razu zrozumiała, iż Tagiejew ofiarowuje jej miejsce płatnego szpiega. To ją wzburzyło całą i dokonało w niej przewrotu. Ogarnął ją lęk i zgroza. Zdawało się jej, że tonie w jakiejś kałuży i że gwałtem ją tam spychają, a ona napróżno ręce po ratunek wyciąga.

Tagiejew milczenie jej jednak sobie inaczej tłumaczył. Widocznie powziął o niej gorsze wyobrażenie, niż było w istocie.

— A tutaj chodzi — dodał poufnie — nietylko o to, co mówią o nas, to jest o mnie i wogóle o policyi i o to, co na nas knują i zmawiają — ale i o co innego.

Zaczerpnął powietrza, przysunął swoje krzesło i zaczął prawie szeptem.

— Tam przyjechał panicz ze szkół? co?...

— Tak... wczoraj.

— Otóż to... Trzeba, żeby panna Józia bacznie śledziła, z kim ten młody panicz się w miasteczku znosi, co czyta, czy co pisze... Panna Józia rozumie. Tak delikatnie list jaki wziąć, albo książkę i tu do mnie na momencik przynieść... ja zaraz oddam, tylko popatrzę i panna Józia na miejsce odniesie. Nikt nie pozna... A ja za to zapłacę, i nietylko ja, ale potem, jak nam panna Józia odda jakie mądre usługi, to do Warszawy pojedzie; ja pannę Józię wyżej polecę i

ot... karyera gotowa. Pieniądze będą leciały jak ptaki... Jej Bohu!...

Józia ciągle siedziała z głową spuszczoną na piersi. Ponuro patrzyła w ziemię. Wreszcie podniosła głowę i, zbierając się na odwagę, wykształciła:

— To niby pan naczelnik chce, żebym ja w szpiclé poszła?

Tagiejew się żachnął.

— Ot... marne słowo... Być przychylną dla prawowiernego rządu, to nie szpiclostwo... Skąd takie słowa u panny Józi?

Oczy przymrużył, na dziewczynę niespokojnie patrzył. Ona miała czerwone wypieki na twarzy i nerwowo łamała sobie palce.

— Żeby mnie cholera na miejscu zatłukła!... — zawołała nagle — ja nie mogę!

Porwali się oboje z miejsca.

— Dlaczego? dlaczego?... — zapytał Tagiejew, a twarz mu ze złości pociemniała.

Józia uderzyła w płacz.

— Nie mogę!... nie mogę!... — wołała.

— Małczi!... — wrzasnął Tagiejew — ot skatina, wojet kak sobaka!...

Pod groźbą tego słowa Józia umilkła, ale płakała wciąż cicho, zakrywszy twarz chustką, którą ściągnęła z głowy.

— Ty nie umiesz być posłuszną władzy? — wysyczał Tagiejew, następując na nią — ty się buntujesz?

— Panie naczelniku!...

— A ty mierzawka, ty etakaja!... to ja

do ciebie, jak do człowieka, a ty swołocz nie chcesz?!...

— Ja nie chcę być szpiclem!

— No tak... ja ciebie czem innem zrobię...

Zwrócił się w kąt salonu, gdzie stało nie duże biurko. Wyjął klucze, otworzył jedną szufladę i wyjął z niej stos nie dużych książeczek.

— Ty znasz, co to za książeczka — spytał, pokazując Józi jeden zeszycik.

Wszystka krew zbiegła do serca dziewczyny,

— Jezus Marya!... — jęknęła, oparcia szukając.

— Będzie tobie Jezus Marya, jak ja ciebie tu wpiszę. Nic ci nie pomoże! Będziesz musiała co tygodnia jawić się z drugiemi!

Widmo napiętnowanej prostytucyi, widmo straszne, przed którem chroni się najnędzniejsza z nierządnic, walcząc do ostatniej chwili, jakby z upiorem, wiało od tej groźnej, strasznej książeczki, którą Tagiejew powiewał w stronę Józi.

— Kak twoja familia?

Książeczkę otworzył, za pióro ujął.

Józia osunęła się na klęczki.

— Panie naczelniku!... — wybełkotała zbielałemi usty — niech się pan naczelnik zmiłuje!... ja przecież nie żadna ostatnia... pan naczelnik mnie zgubi!... mnie nigdzie do żadnej restauracyi nie przyjmą!...

— Kak twoja familia?

— Panie naczelniku!...

Blada była jak trup. Na kolanach przywlokła się do biurka. Słońce przez pryzmat przepuszczony tęczowy blask na czoło jej kładło.

— Panie na... czel... niku!...

Do nóg mu się schyliła. Kopnął ją i udawał, że coś pisze w książce.

— Ty w piątek jaw się do rewizyi.

Ryk wydarł się z jej piersi. Taki krzyk musiał wydzierać się z piersi kobiet, które na szafocie kat piętnował rozpalonem żelazem.



Jezus Marya!... — jęknęła, oparcia szukając. (str. 233.)

Tagiejew w krzyk ten rad się wsłuchiwał, gdyż w nim widział już utorowaną drogę, którą poprowadzić Józię zamierzał.

Wziął z biurka pieczątkę i z hałasem zaczął ją do książeczki przykładać.



Kopnął ją i udawał, że coś pisze w książce. (Str. 234.)

— A teraz w o n z tem, do kancelaryi, tam cię wpiszą do ogólnej księgi. A jakbyś kiedy się nie jawiła, to garadowoj do ciebie przyjdzie i przygna cię... słyszałaś?

W rękę jej złożoną książeczkę wetknął — ona cisnęła nią o ziemię, jakby dotknęła się gadziny.

— Nie wezmę! Zdechnę, a nie wezmę!... — ryczała — niech się pan naczelnik zlituje... ja przecie jeszcze mogę za mąż pójść... a tak to już mnie chyba na Towarową... panie naczelniku.

— W o n!

Rozpacz ją chwyta.

— Ja zrobię, co pan naczelnik chce! — wyjękała — ja już będę szpiclem, ja przyniosę książki i listy, ja...

Nie mogła już mówić więcej. Dusiła się literalnie od własnych słów.

Tagiejew spojrzał na nią z pod oka.

— A będziesz posłuszna?

— Będę.

— I będziesz wiernie służyła r z ą d o w i?

Zaakcentował umyślnie to słowo „r z ą d" — cofając siebie po za potęgę ogromną, którą chciał przytłoczyć umysł dziewczyny.

— Będę!

— Zaklnij się.

Dziewczyna obejrzała się wkoło. W kącie przed ikoną paliła się lampeczka.

— Zaklnij się!

Wskazał jej ikonę.

— To przecie nie nasza Matka Boska, tylko

wasza!... — wyrzekła Józia, podciągając nosem i ocierając łzy.

— Ty pewnie masz jakie, co święte, na sobie.

— Mam „mentaliki“.

— No... s k a r i e j e! wyciągnij i klnij się!...

Józia wyciągnęła z po za bluzki na zatłuszczonej tasiemce kilka medalików.

— Nu... nu...

— Tak mi Panie Boże dopomóż!

— Że wiernie będę służyć rządowi.

— Że wiernie służyć będę rządowi.

— D a, ł a d n o. Schowaj świętości i ruszaj do domu. A pamiętaj, jak kiedykolwiek zełżesz, albo co ukryjesz, tak... ot co cię czeka!

Podjął z ziemi książeczkę i potrząsnął nią groźnie.

— Oto, co dla ciebie.

Józia dźwignęła się z posadzki.

— Panie naczelniku... ja przysięgłam, to ja już dotrzymam.

Była blada, zmieniona, postarzała nagle o jakie dziesięć lat. Nie patrząc na Tagiejewa, skierowała się ku wyjściu. Zdawało się, że idzie jak we śnie.

Tagiejew, który sądził, że dziewczyna, uspokoiwszy się, odzyska swój humor i wrodzoną niedbałość, ździwił się, widząc ją tak chmurną i zaciętą.

— A proszę nie dać na siebie czekać! — wyrzekł, nie wiedząc, jak wobec jej postawy przemawiać do niej.

— Ja przyjdę!

Nacisnęła klamkę i wyszła. Wybiegł za nią do przedpokoju.

— A jeszcze jedno!... — rzucił rozkazującym głosem — przed Markowskim, ani przed nikim ani słowa, co między nami zaszło. Inaczej czy tu, czy na kraju świata, panna pójdzie w prostytutki... Słyszano?



...A jeszcze jedno! — rzucił rozkazującym głosem. (str. 239.)

— Słyszę...

Ukłoniła mu się z daleka, otworzyla drzwi do sieni i wyszła.

Zesunęła się ze schodów, trzymając się poręczy. Gdy znalazła się w bramie, łzy napowrót napłynęły jej z całą siłą do oczów.

— Jezus! Jezus! — jęczała cicho, zasłaniając usta chusteczką, aby nie wybuchnąć głośnym krzykiem.

— Szpicel! szpicel! — migało jej przed oczami — szpicel, albo... Nic mi nie zostało, jeno te dwa wyzwiska. Co ja miałam zrobić, sierota?!

I tak stała długo, choć coraz więcej ludzi snuło się po bramie, wchodziło na schody, lub schodziło z nich. Nikt nie zwracał uwagi na przytuloną do ściany dziewczynę. Widziano tyle razy płaczące kobiety, wracające z posłuchania od Tagiejewa, że jedna mniej lub więcej nie wchodziła już w rachunek.

XVII.

Co się w duszy Klickiego działo. — Druga miłość. — Nakaz wyjazdu. — Klicki się oświadcza. — Chęć walki z „nimi“. — Pożegnanie. — Zlecenie Kazia. — Kobiety mają przeczucie.

Klicki otrzymał zrana list swego wspólnika, wzywający go do powrotu. Interesa atelier wymagały jego obecności. Uczuł ogromną przykrość. Nietylko wszakże myśl koniecznego rozstania się z Janią oddziałała na niego w ten sposób. Było tam jeszcze jakieś dziwne, ogromne uczucie dla czegoś nieujętego, a przecież tak mu bliskiego, czego on na razie jeszcze wyanalizować nie mógł.

To jedno przecież zrozumiał, że niedawno, kilka dni temu, pobyt w tem miasteczku, odłączając rozkosz przebywania z Janią — zdawał się mu niemożliwym do zniesienia. Tymczasem, teraz jakiś smutek go ogarniał, że odjechać stąd musi.

— Zdaję mi się — myślał — iż muszę pozostawić kogoś niebezpiecznie chorego, a mnie bardzo bliskiego i odjechać hen... daleko.

I zaraz nasunęła mu się myśl.

— Kto jest ten chory?...

W okno spojrzał. Roleta była jeszcze spuszczona, ale po za nią Klicki wyczuwał znękany kraj, zdławiony, wymęczony — budzący się do dziennej wegetacyi...

— Jakie to smutne!... — pomyślał — jakże to dna duszy sięgające.

Nagle zapukano do jego drzwi.

— Kto tam?

— G a r a d a w o j.

— Proszę wejść!

Wszedł Siemipudow. Bez drgnienia muskułu na twarzy z a j a w i ł Klickiemu, iż pan sekretarz oczekuje na Klickiego w kancelaryi.

— Czego chcą odemnie? — krzyknął Klicki zdenerwowany do najwyższego stopnia.

— N i e s m i e j u z n a t'! — wyrzekł spokojnie Siemipudow i plecami drzwi podparł, dając tem dowód, iż bez Klickiego nie ustąpi z pokoju.

— A dyabli z wami! — zaklął Klicki, wyskoczył z łóżka i pospiesznie ubierać się zaczął.

Siemipudow milczał i uparcie w przeciwległą ścianę zamglonym wzrokiem patrzył.

Klicki już wiedział, iż stawianie oporu na nic się nie przyda, a rozdrażnienie jego nerwów wskutek ciągłych zajść z Tagiejewem i policyą było tak wielkie, iż pragnął jak najszybciej wziąć swój paszport i wyjechać. Przed wyjazdem wszakże miał zamiar oświadczyć się Horskiemu o rękę Jani, aby mieć pewność, iż zostanie mężem ukochanej dziewczyny.

— Chodźmy! — wyrzekł do policyanta, gdy już ubrany stanął na środku pokoju.

Zabawiła go ta myśl, iż będzie szedł przez miasto, konwojowany przez policyę. Odczuł, że to jest zemsta Tagiejewa. Postanowił zepsuć policmajstrowi radość i nie ciskać się, nie rzucać, nie wywoływać skandalu — lecz iść do policyi dobrowolnie. Wychodząc, już w bramie spotkał owego obywatela z Litwy, który tak jego jak i idącego za nim Siemipudowa bystrem spojrzeniem obrzucił.

Klicki przechodząc kapelusza uchylił — „obywatel“ o dziwnych oczach ukłon mu oddał i przystanął, patrząc jak Klicki z bramy wychodził. Przeczekał chwilę — potem w trop za idącymi się puścił.

Klicki, wyszedłszy na Rynek, stracił jakoś fantazyę. Zdaleka — przez całą przestrzeń zbłoconą Rynku, dojrzał sklep Horskiego i szereg okien, za któremi przebywała Jania. Wyjazd jego nagły przedstawił mu się w całej pełni smutku. Postanowił iść zaraz i rozmówić się z Horskim.

— Przynajmniej będę miał pewność — pomyślał i zaczął się kierować na środek Rynku.

Lecz Siemipudow przyśpieszył kroku.

— P a z w o l t i e — wyrzekł — e t o n i e l z i a. W y d o ł ż n y p r i a m o i d t i k'g a s p a d i n u s e k r e t a r j u.

Klicki ramionami wzruszył.

— Ja idę pomówić ze znajomymi.

— N i e l z i a.

— Wściekłeś się?

— N i e l z i a.

Klickiego ogarnęła złość. Siemipudow mu drogę

zastąpił i jak posąg w ziemię się wbił. Klicki czuł, iż policyant go dalej nie puści.

Bić się z nim? wywołać skandal? — To wszystko nie miało sensu. Należało innych chwycić się środków...

Klicki sięgnął do kieszeni. Namacał srebrnego rubla. Sprawnie ukrył go w ręku i rękę tę do Siemipudowa wyciągnął.

— Ot... co ja znalazł... — wyrzekł dobrodusznie — to może wasze?...

Siemipudow rękę nadstawił i rubel w jego szerokiej dłoni znikł jak zaczarowany. Bez jednego słowa usunął się na bok. Klicki przeszedł mimo i ku sklepowi Horskiego zmierzał. Siemipudow jednak zamiast po za nim, szedł teraz obok niego jakby w podwojeniu gorliwości, z jaką spełniał swój obowiązek.

Klicki do sklepu wszedł.

Za nim wkroczył policyant.

Horski za ladą siedział. Zobaczywszy Klickiego w asystencyi Siemipudowa, ręce rozłożył.

— Ot co... — krzyknął.

Reszta słów, jakby mu zamarła w gardle.

Klicki się roześmiał.

— A no... mam świtę. Rząd rosyjski tak o mnie dba, jako o poddanego Austryi, że aż obdarza mnie honorową gwardyą.

— Ale... dlaczego?

— To już ich tajemnica. A ja do pana na chwilę rozmowy.

Zafrasowany Klicki szklanną klateczkę, po za

którą stało biurko, ogniotrwała kasa i leżały księgi, ukazał.

— Może tam pójdziemy? — co? — sklepu nie mogę zostawić, a zresztą i pański anioł stróż będzie miał w ten sposób pana na oku i nie będzie słyszał, o czem mamy mówić.

Weszli obaj do szklannej przegródki. Klickiemu biło mocno serce. Był ździwiony tem wzruszeniem. Nie będąc zdeprawowanym — życie, jako artysta, pędził dość swobodnie. Ta chwila przecież zmieszała go uroczystością swoją.

Horski mu krzesło wskazał.

— Proszę...

Lecz Klicki stał zmieszany i miął w ręku kapelusz.

— Wolę powiedzieć od razu... bez przygotowań... — zaczął z uczuciem takiem, jakby się rzucał w wodę — ja... i panna Jania... to jest... właściwie ja tylko... bo co do panny Jani, to pewności nie mam... chcielibyśmy... gdyby szanowny pan się zgodził...

Horski uśmiechnął się łagodnie.

— Zdaje mi się, że mnie pan prosisz o rękę mojej córki?

Klicki odetchnął.

— Tak.

Horski przez chwilę milczał.

— Mało znam pana — wyrzekł wreszcie — kobiety moje z Zakopanego pisały mi ciągle o panu w sposób bardzo pochlebny, jednak przyzna pan — ojciec dbający o los swego dziecka, musi z całem

staraniem zbadać, komu dziecko to na całe życie powierza.

Klicki schylił głowę.

— Rozumiem to wybornie — wyrzekł — i dlatego natychmiastowej odpowiedzi nie żądam. Pragnę właściwie dać się poznać szanownemu panu i proszę jedynie o pozwolenie rychłego powrotu...

Horski rękę ku niemu wyciągnął.

— Na to chętnie przystaję... zanim klamka zapadnie, zjemy ze sobą prawdziwie nie beczkę soli, ale gościnny chleb, na który pana całem sercem zapraszam. W niczem nie krępuję woli mych dzieci, a tembardziej w wyborze towarzysza lub towarzyszki na resztę życia. Tak samo będzie i z panem. Pokocha cię Jania, okażesz się jej godnym — chętnie pobłogosławię.

Cień smutku przesunął się po jego twarzy.

— Jedno tylko — wyrzekł — zabierzesz mi ją pan, uwieziesz i to będzie dla mnie ciężkie. Zostanę sam, Kazio jest odemnie tak daleko. Ona tylko jedna...

Klickiego coś porwało pod sercem.

— Nie, nie... — zawołał — ja tutaj osiędę.

Zapanowało milczenie.

To „tutaj" padło tak niespodziewanie, jak ptak prawie martwy na pustkę ugoru.

Klicki nawet przeraził się, gdy to słowo posłyszał.

Horski głową pokiwał.

— O!... tutaj zbyt ciężkie warunki. Przez te dni kilka widziałeś pan i przekonałeś się sam choć

w części. Po co byś miał kłaść zdrową głowę pod ewangelię. Po co ci tu przejeżdżać?

— Po to — aby walczyć.

— Z kim?

— Z nimi, z systemem, z opressją, ze wszystkiem, co ucisk stanowi.

Horski na szyby szklanne ukazał.

— Próbowałeś przecie, oto do czego cię to doprowadziło.

W mroku panującym w sklepie dźwigała się olbrzymia postać Siemipudowa. Policyant stał nieruchomy, milczący, lecz bacznie patrzył na szklanną przegrodę, widocznie śledził, aby mu Klicki nie umknął.

Klickiego ten widok jeszcze więcej podniecił.

— To drobnostka! ja się ich nie lękam. Cóż mi zrobić mogą?

— Przedewszystkiem jestem przekonany, że każą panu wyjechać.

— O! jeśli każą — to nie pojadę. Miałem jechać pierwszym pociągiem, bo mnie interesa wzywają, ale rozkazu ich słuchać nie będę.

— A ja pana proszę, ażebyś dla mnie, dla Jani to uczynił i nie drażnił ich przeciw sobie. Pomyśl pan, mogą tak zamanewrować, że będziesz miał wstęp do Królestwa zakazany. Tagiejew jest bardzo sprytny w pewnych kierunkach.

— Ależ ja będę miał paszport austryacki!

— To nic nie znaczy. Najlepiej odjechać zaraz bez skandalu. W ten sposób będziesz miał zapewniony powrót. Nie marnuj pan sił swoich na bezużyteczne walki...

Głos Horskiego stawał się głębszy, wyraz twarzy coraz smutniejszy.

— Kazio, pan... inni młodzi sądzą, że duch narodu tkwi w odrzucaniu marnych pocisków w stronę wroga. A przecież... ja, my tutaj w ogóle inny system przybraliśmy. Pod pociskami nie ustawać w pracy. Czy to nie lepsze?

Klicki gorąco odrzucił:

— Pod pociskami praca wykonywana nie może być ani silną ani trwałą.

Horski się zamyślił.

— Może pan ma i racyę. Dziś całą noc myślałem nad pana wczorajszemi słowy o zwołaniu wybitniejszych obywateli i wniesieniu zbiorowego podania do Rady, wyświetlającego gospodarkę Tagiejewa. Może, gdy pan nas drugi raz odwiedzi, rzecz już będzie spełniona.

Teraz z kolei Klickiego ogarnęła jakaś trwoga. Zdawało mu, się że tem postanowieniem Horski burzy szczęście i spokój swego domu i całej rodziny.

— Niech pan się jednak zastanowi... — wyrzekł cicho, jakby się słów swoich wstydził.

Horski z zadziwieniem na niego spojrzał.

— Co? pan się teraz lęka? — zapytał.

— Nie o siebie, o pana, o was!...

— A widzi pan... a widzi pan... tak jest zawsze. Każdy siebie naraża chętnie. Gdy jednak pociąga się za sobą innych, trwoga ogarnia. A tu trzeba akcyi zbiorowej, trzeba masowego wystąpienia całego miasta. Inaczej nic nie poradzimy...

Milczeli znów chwilę, jakby zgnieceni tym brakiem odwagi, gdy szło o innych, nie o nich samych.

— Więc dziś pan jedzie? — przemówił wreszcie Horski.

— Tak.

— Zapewne zechce pan pożegnać się z dziećmi?

— Gdyby szanowny pan zezwolił...

— Ależ zezwolę... zezwolę... Wszak i ja byłem młody. Jania dawno na nogach, Kazio nie wiem. Spał jeszcze, gdy szedłem do sklepu. Dziwić się nie można. Zmęczone to, przeciążone nauką. Niech choć to się wyśpi... Westchnął i małe drzwiczki prowadzące na kręte, żelazne schody otworzył.

— Trzeba i policyanta za panem puścić, a to narobi hałasu. Lepiej z nimi po dobroci. I jeszcze jedno... Gdy pan tam będzie w owej kancelaryi, niech pan ich nie drażni słowami. Niech się pan nie gniewa, ale wy tam w Galicyi przywykliście szafować słowami i uprawiać hałaśliwy patryotyzm. U nas... inaczej. My koncentrujemy wszystko w sobie i siły nie rozdrabniamy na okruszyny. To grunt...

Skinieniem przyzwał Siemipudowa. Ten natychmiast do przegródki wkroczył.

— Idźcie za panem na górę... pan Klicki tylko chwilę zabawi.

Siemipudow nie odrzekł ani słowa, tylko ku otwartym drzwiczkom postąpił.

— Ja tu pana pożegnam — wyrzekł — nie mogę sklepu odbiegać. Niechże pan mej rady słucha, niech pan jedzie i znów do nas zajrzy.

Klicki czuł, że coś go garnie ku ramionom Hor-

skiego. Zbliżył się, pochylił i ucałował go w ramię. Do tej chwili nie lubił, ba, pogardzał nawet mieszczaństwem i kupiectwem. Tam w Krakowie widział u nich tylko groszorobów i „kołtunów". Tu nagle zrozumiał, że jest to warstwa pracująca właśnie pod owymi pociskami, które jej siłę roznosiły na strzępy, a przecież zgnębić i złamać jej nie mogły.

Za chwilę, idąc po krętych schodkach, znalazł się w jadalni. Zastał tam Józię, która z oczyma i nosem, zaczerwienionemi od płaczu, energicznie czyściła kredens. Dozorowała ją w tej pracy Jania, ubrana w blado-niebieską bluzkę i ślicznie wyszyty kanwowy fartuszek. Włosy, splecione w długi warkocz, puszczone miała wolno na plecy. Była śliczna, różowa, błękitna i pachniała świeżością i wiosną życia.

Zobaczywszy Klickiego w asystencyi Siemipudowa, którzy nagle, jakby wyrośli z ziemi z otworu krętych schodków — Jania przerażona krzyknęła. Szybko uspokoił ją Klicki skinieniem ręki i słowami. Wytłumaczył jej po francusku pokrótce, że wezwano go do kancelaryi policmajstra. Widząc strwożoną minkę dziewczęcia, skłamał, iż wie doskonale, że chodzi tu o zwykłe załatwienie formalności paszportowych przed wyjazdem.

Jania posmutniała.

— Pan jedzie?

— Ale bardzo prędko powrócę... Ojciec pani mnie do tego upoważnił.

Twarzyczka Jani pokraśniała.

— A... pan mówił z taciem?

— Tak... Czy dobrze zrobiłem?

— Dobrze...

Jania ku Józi, wciąż majstrującej koło kredensu, się zwróciła:

— Moja Józiu, idź do kuchni... zadzwonię na ciebie.

Pokojówka posłusznie skierowała się w głąb mieszkania. Gdy przechodziła koło niego, Klicki doznał wrażenia, jakby prześlizgnęła się obok niego jaszczurka.

— Zkąd państwo mają tę dziewczynę? — zapytał mimowoli.

— To Warszawianka... Była bez miejsca, sama się zgłosiła. Jest wyjątkowo, jak na sługę, inteligentna, a przytem bardzo nam oddana.

— Czy pani tego jest pewną?

— Jak najpewniejszą... Dużo dała już dowodów przychylności.

— Ha... skoro tak...

Jania wzrokiem śledziła Siemipudowa, który ogromny, rosły, wspaniale się zaznaczał na jasnem tle ściany.

— Dlaczego on pana pilnuje? — zapytała po francusku, usuwając się we framugę, utworzoną przez wgłębienie okna.

Za nią poszedł Klicki.

— Taki ma widocznie nakaz — roześmiał się, pragnąc uspokoić dziewczynkę.

Pochwycił ją za ręce i zaczął całować te małe, trochę czerwone rączęta.

Jania nie broniła się tej pieszczocie. Wzrokiem ogarnęła Klickiego, a w spojrzeniu jej przejawiło się ogromne i szczere uczucie.

— Żeby oni panu co złego tylko nie zrobili!

— Kto?

— No... pan wie...

— Ach! Tagiejew i jego banda? Niech pani będzie spokojna. Mam zawsze przy sobie rewolwer...

— Och! już ta sama myśl jest dla mnie straszna.

— Ależ nie, nie. Użyję go chyba wtedy, gdyby godzili na moje życie, a o tem niema mowy.

— Pan żartuje.

— Bo nie jestem tchórzem.

— Ale... oni pana mogą... zamknąć.

Klicki zastanowił się chwilę.

— I o to się nie boję — odparł po namyśle — nie zamyka się tak łatwo poddanego obcego państwa.

— Och! pan naszych porządków nie zna.

— W każdym razie rząd austryacki się za mną upomni... więc nie zniknę tak łatwo z powierzchni ziemi. Zresztą tu chodzi o mój paszport. Chcą mi go pewnie wręczyć osobiście. Jadę za godzinę. Niechże pani stoi tu — przy oknie. Będę dorożką przejeżdżał na kolej. Gdyby mnie pani nie ujrzała, to znak, że Tagiejew mnie połknął...

Mimowoli Jania uśmiechnęła się.

— A kiedy pan powróci?

— Za dwa tygodnie.

— Słowo?

— Słowo!

Nie puszczał jej rąk. Nagle dojrzał, iż oczy jej zaszkliły się łzami.

— Co pani? — zapytał.



Usta do jasnego czoła dziewczynki przycisnął. (Str. 255.)

— Nie wiem, ale mi strasznie ciężko. Zdaje mi się, że jakieś niebezpieczeństwo grozi nam wszystkim — że coś cięży nad nami... Zdaje mi się, że my tak prędko się nie zobaczymy.

Zaczęła łkać cicho, łzy płynęły po jej ślicznej twarzy i spadały na błękitną bluzkę.

Klickiemu zrobiło się także strasznie smutno i ciężko na sercu.

— To wina tej atmosfery, w której żyjecie — zawołał — ciągle niepewni, ciągle pod wrażeniem, że się coś strasznego stanie.

— Może!... — wyrzekła Jania — ale cóż począć! Tu się urodziliśmy, tu żyć musimy.

Gdy to mówiła — spoważniała nagle. Spojrzeniem błękitnych, załzawionych oczów, objęła cały Rynek, który słał się po za oknem szary, nędzny, błotny — jak szmata jakaś zużyta — porzucona na przepadłe, gnijąca na wietrze i szarudze.

— Niech pan jedzie!... niech pana Bóg strzeże! — wyszeptała smutnie.

— I was niech Bóg strzeże — powtórzył mimowoli.

Usta do jasnego czoła dziewczynki przycisnął.

— Do widzenia.

Nie odpowiedziała mu nic. Przymknęła tylko oczy i tak stała nieruchoma i pobladła.

Nagle z pokoju bocznego wysunął się Kazio nieubrany, z szynelem, narzuconym na ramiona.

— A... to pan... — wyrzekł — zdawało mi się, że głos pana słyszę. Może pan na chwilę wejdzie do mnie.

— Owszem... — wyrzekł Klicki i, ucałowawszy dłoń Jani, która natychmiast wyszła innemi drzwiami w głąb mieszkania, do Kazia się zwrócił:

— Służę panu!

Siemipudow oderwał się od ściany i w ślad za nimi posunął.



— Czego?! — krzyknął Kazio, drogę mu do swego pokoju zagradzając.

— T a k o j p r i k a z! — odparł policyant.

— Żdat' zdieś!

Głos Kazia był stanowczy. Oczy mu się zaświeciły nienawistnie. Klicki wszedł do pokoju, zarzuconego broszurkami, zeszytami i książkami. Kazio drzwi przymknął i rękę na klamce położył.

— Pan kiedy jedzie? — zapytał szeptem.

— Za godzinę.

— Tam... w Krakowie... ktoś się do pana zgłosi, ktoś panu wręczy coś, gdy pan znów do nas jechać będzie. Ja na pana liczę.

Oczyma czystemi o szlachetnym, prześlicznym i rozumnym wyrazie, wbił się w twarz Klickiego.

— Nie zdradzę zaufania... — wyrzekł ten mimowoli, do głębi wzruszony.

— Wiem!...

Uścisnęli się za ręce silnie, z całą szczerością serc młodych i uczciwych.

— Niech pan idzie!

Otworzył drzwi i przeprowadził Klickiego do przedpokoju i stamtąd na główne schody. W jadalni oprócz Siemipudowa była już Józia. Widząc, że Kazio wychodzi ze swego pokoju, natychmiast się tam skierowała.

— Czego tam chcesz? — zapytał ją Kazio.

— Wodę zmienię w karafce i uprzątnę na umywalni... — odparła już na progu.

W przedpokoju raz jeszcze Klicki uścisnął rękę Kazia. Chciał mu powiedzieć o swych zamiarach względem Jani, ale nie mógł znaleść odpowiednich słów. Ten chłopiec zdawał mu się taki daleki od wszystkich jasnych stron życiowych, tak otaczał się

jakąś atmosferą uczuć szerokich, obejmujących masy, a nie koncentrujących się w jednostce — iż Klicki nie śmiał po prostu wszczynać z nim takich kwestyj.

— Pan wraca?

— Za dwa tygodnie.

— Dobrze.

Rozstali się. Klicki schodził powoli ze wschodów, a za nim rozległy się ciężkie kroki Siemipudowa.

Idąc, Klicki zaczynał znów doznawać tego trwożnego wrażenia, jakie ogarnęło go pod wpływem słów i łez Jani. Starał się jednak z niego otrząsnąć.

— Cóż znowu! — pomyślał — ta tagiejewowska atmosfera i mnie zaczyna rozstrajać. To nerwy, nic więcej...

A w głębi duszy coś przecież mu szeptało:

— Kobiety mają przeczucia!... mają przeczucia...

XVIII.

Markowskij zaszachowany. — Mara Jani i mara kraju. — Wyjazd. — Pan Montwiłł obywatel z Litwy. — Jego zasady.

Gdy Klicki wszedł do kancelaryi, Markowskij siedział przy biurku i udawał ogromnie zajętego pracą. Tym podwójnym wzrokiem, jakim się odznacza specyalnie policyant rosyjski, dojrzał doskonale wchodzącego, lecz udał, że go nie widzi.

Smród w kancelaryi spotęgował się jeszcze we dnie, a wiecznie otwarte drzwi ustępu wyziewały ze siebie kłęby cuchnącej woni. Stęchlizna odzieży interesantów, ich ciał brudnych, butów policyantów przesiąkniętych dziegciem, dzika woń mokrych szyneli — wszystko to składało się na wytworzenie zabójczego powietrza.

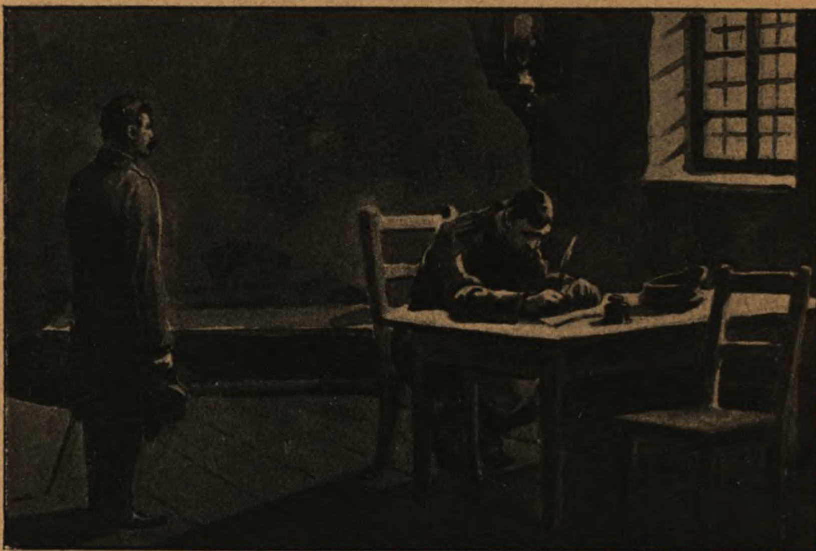
Klicki stanął opodal drzwi — i porwały go nudności. Oddychał z trudnością. Markowskij rozumiał to doskonale, lecz w stanie nerwowej złości, w jaką go wprowadziła awantura z Tagiejewem — doznawał pewnej ulgi, robiąc na złość tym, którzy od niego choćby chwilowo zależeli.

Wreszcie cierpliwość Klickiego wyczerpała się.

Przystąpił do biurka i wyrzekł zupełnie głośno.

— Przepraszam pana... czy ja mam długo jeszcze czekać?

Markowskij podniósł głowę i spojrzał na Klickiego, udając roztargnienie.



...siedział przy biurku i udawał ogromnie zajętego pracą. (str. 259.)

— A... eto wy? Nu ładno — wyrzekł przerzucając papiery — padażditie niemnożko.

— Przepraszam pana, ale tu czekać niepodobna.

— Dlaczego?

— Bo tu zemdleć można w tej kloace.

— Ach, pazwoltie!... Eto kancelarya policyjna, a nie watierkłozet. Wy się nie liczycie ze słowami. To nieładnie.

Śmiał się ironicznie.

— Trudno się liczyć ze słowami, kiedy oddychać nie można.

— Nu... co robić! Tu rozmaici ludzie przychodzą. Tu nie budoar baletnicy. Tak trzeba cierpieć.

— Czego właściwie policya chce odemnie?

— Ach!... e t o d r u g o j e d i e ł o. Proszę siadać.

Podsunął Klickiemu krzesło. Sam zasiadł za biurkiem, pióro w rękę wziął i zaczął powoli z miną sędziego śledczego:

— Wy tu długo myślicie jeszcze zabawić?

— Gdzie? w kancelaryi?

— Ach Boże mój! Tu, w naszem mieście i wogóle w Rosyi.

— Niby w Królestwie?

— Niech będzie w Królestwie.

Teraz Klicki zaczął się ironicznie uśmiechać.

— Zabawię tak długo, jak uznam za stosowne.

Nastała chwila milczenia. Markowskij bawił się piórem.

— N u, d a! — wyrzekł wreszcie.,— Ale gdyby my panu zrobili uwagę, że dla pana bezpieczeństwa lepiej będzie, jeżeli pan wyjedzie jak najprędzej?

— Dla mego bezpieczeństwa?

— D a... pan tutaj bawi bez określonego celu, a policya, która czuwa nad ładem i porządkiem w mieście, nie może pozwolić, aby tu bywali i siedzieli ludzie obcy, bez żadnego określonego stanowiska...

Klicki zaczął ironicznie głową kręcić.

— Ach! jakiż to wzorowy porządek, ile ładu i opieki policyjnej — wyrzekł — zbudować się można.

Markowskij brwi ściągnął.

— Ład być musi! — wyrzekł twardo — i dlatego my pana prosimy, żeby pan jaknajprędzej z granic rosyjskiej impierji wyjechał.

Klicki miał ochotę podrażnić jeszcze policyanta. Lecz przypomniał sobie rady Horskiego, w oczach stawała mu smutna Jania i dlatego powstał z krzesła mówiąc:

— Mój panie! ja bez waszych proszeń miałem jechać dziś rano i pojadę. Ale czynię to dlatego, że mnie się tak podoba, a nie dlatego, że wy tak chcecie. Gdyby nie moja wola, zostałbym i cóżbyście sobie ze mną poradzili?

Markowskij powstał także. Aż zakipiał ze złości, iż musi wybierać się i jechać równocześnie z Klickim, pozostawiając Tagiejewowi swoją Józię .Potrafił jednak powściągnąć się i odparł zimno, kłaniając się:

— Już my byśmy na pana środek znaleźli.

— Wątpię!... — odparł Klicki — jest jeszcze nasz konsul, nasz rząd...

Nic nie zdoła określić wyrazu uśmiechu, który przewinął się na te słowa po ustach Markowskiego.

Klicki skłonił się i szybkim krokiem opuścił kancelaryę, rad, że popsuł policyi, a głównie Tagiejewowi radość ze spodziewanego skandalu. Liczyli na to, że Klicki będzie się bronił, że będą go musieli straszyć ciupasami — Bóg wie czem.

— Dyabli ich wiedzą, jakie oni tu mają środki, — mówił, idąc do hotelu.

Spakował się prędko i zadzwonił.

— Proszowski! rachunek! dorożka! wyjeżdżam zaraz! — krzyknął na kurytarz do nadchodzącego stróża.

Drzwi numeru zajmowanego przez obywatela z Litwy były uchylone. Gdy Klicki zamknął swoje drzwi — wychylił się z numeru ów „obywatel“.

— Proszę was! — wyrzekł do Proszowskiego — i mnie natychmiast rachunek. Ja także wyjeżdżam.

— Czy i dorożkę?

— Nie, mam małe zawiniątko. Wezmę na mieście.

Proszowski pobiegł do Izaaka Feinbube, który się bardzo skrzywił na wiadomość, że ci dwaj panowie wyjeżdżają.

— Tacy fajni goście wyjeżdżają, a sama swołocz zostaje — wyrzekł, myśląc o oficerze pozostawionym w załog, który tej nocy, chcąc zagasić palącą się świecę, strzelił z rewolweru i zamiast w ścianę — trafił prosto w lustro.

. . . .

Z nadzwyczajną sprawnością wsunął się Markowskij do wagonu. Nie widział go Klicki, zajęty kupowaniem biletu. Natomiast „obywatel z Litwy“ — zdawał się specyalnie pragnąć zająć miejsce w tym samym przedziale, gdzie miał jechać Klicki. Kupiwszy bilet poprzednio, stał na peronie z zawiniątkiem w ręku i patrzył w stronę kasy. Pociąg jadący ku granicy zatrzymał się na stacyi pięć minut. Wreszcie Klicki zjawił się i bez wahania w pierwszy lepszy

wagon wskoczył. Za nim wsiadł i „obywatel“. Równocześnie w jednem z okien dalszych wagonów mignęła głowa Markowskiego. Rozległ się gwizd i wśród szczęku łańcuchów, pociąg ruszył dalej.

Klicki wszedł do przedziału drugiej klasy zupełnie wolnego. Otworzył okno i usiadł w kącie. Ciężko mu było na sercu i smutno. Przejeżdżając przez rynek,



...chcąc zagasić palącą się świecę, strzelił z rowolweru... (str. 263.)

dojrzał w oknie Janię. Dziewczę otworzyło pół okna i otulone szalem czekało na jego przejazd.

Blada była jakaś i zmieniona. Czarne fałdy szala otulały ją żałobnie. Skinęła głową na pożegnanie, a żaden cień uśmiechu nie rozjaśnił jej ustek.

— Kobiety miewają przeczucia... — myślał mimowoli Klicki.

I nigdy to całe miasteczko nie wydało mu się tak biedne, tak nędzne, tak wyzyskane, jak w tej chwili. Marą szarą we wspomnienia mu się kładło. I przez okna wagonu zajrzany kraj cały był taką marą znękaną — bez jęku, bez skargi — zrezygnowaną i jakby opuszczoną.

— To straszne!... — pomyślał — zaledwie dni kilka, a ile goryczy i smutku w duszę mi się wpiło.

Nagle ktoś wszedł do przedziału i usiadł naprzeciw niego.

Klicki poznał natychmiast „obywatela z Litwy“.

Miał do niego rodzaj żalu za to, że ten odmówił mu pomocy w obronie Rozy Montag podczas napaści Tagiejewa.

Lecz „obywatel“ przywitał go bardzo grzecznie.

— Pan dobrodziej także jedzie? — zapytał.

Głos jego był śpiewny, ciągnący. Wymawiał polskie wyrazy starannie z lekką domieszką akcentu.

— Jadę — odparł Klicki — usuwając się mimowoli, aby i współtowarzysz mógł z otwartego okna korzystać.

— A ja myślałem już, że nie wyjadę — podjął znów Litwin — w ostatniej chwili awantura z paszportem. W policyi! Należało z a j a w i ć wcześniej...

— Och! — rozśmiał się ironicznie Klicki — z policyą tutejszą łatwo sobie poradzić. Sunie się w łapę cobądź i sprawa skończona.

„Obywatel“ w ręce plasnął.

— Co pan mówi?... próbował pan?... wzięli?

Klicki rad, że może wylać swą złość, która go dławiła, odparł bez namysłu:

— Naturalnie. Dałem rubla temu drabowi, co się za mną od rana włóczył.

— Wziął?

— Aż mu się łapa trzęsła.

Obywatel głową kiwał.

— Oni wszyscy tak postępują. Od policmajstra zacząwszy. U nas na Litwie to samo. Ale ja myślałem, że to tylko na Litwie, a w Królestwie większy ład. A widzę, że przeciwnie. Dziś naprzykład w nocy! Sodoma i Gomora...

— A!... A czemu pan mi nie chciał dopomódz, żeby tego kanalię policmajstra ukarać za to, co wyrabiał?

Obywatel ręce rozłożył.

— Panie miły!... — wyrzekł dobrodusznie — ta co mnie sunąć się w takie sprawy. Ja się niedawno ożenił... dzieciątko u mnie... po co mi się narażać?... Montwiłł jestem, z Brzeskiego — dodał w formie rekomendacyi.

— Klicki.

Podali sobie ręce. Klicki zauważył, że ręka Montwiłła była długa, męska, o bardzo ładnej, arystokratycznej formie.

To, jako artystę, pociągało go do tego człowieka. Przytem jeszcze artystyczną jego ciekawość drażniły oczy Litwina, dziwne, szare, które pomimo, że Montwiłł przysłaniał je długiemi rzęsami, przejmowały do głębi siłą jakąś dziwną, która z nich płynęła.

— Jadę do Wiednia... — opowiadał dalej Mon-

twiłł — przyplątał mi się jakiś artretyzm. Strzyka, boli, męczy. Sąsiad mój, Budzyński Julian ze Stawisk, tak samo cierpiał i poradzili mu w sanatoryum u jakiegoś dra Webera. Wykurowali go we dwa tygodnie... Jak ręką odjął. Tak i ja do Wiednia. A to pojmuje pan... artretyk przy roli to funta kłaków nie wart... No i potem jeszcze, ożeniwszy się, także jakoś nie wypada stękać.

Mówił jasno, głosem czystym i miłym. Klicki słuchał go, rad, że wyrywał go ze smutnego koła, w jakie zapadł.

— No... a pan dobrodziej mieszka w Krakowie?

— Tak... — odparł Klicki.

Montwiłł spoważniał.

— Piękny, wspaniały gród! — wyrzekł jakimś poważniejszym tonem — sercu Polaka każego drogi. Toć gdybym ja tam mieszkał, tobym na Wawel codziennie chodził... A to darujcie... Parę razy byłem i pustka zupełna. Są, ręczę, między wami tacy, którzy nigdy tam nie chodzą. A to wstyd... to źle... to się ducha, panie, krzepi, jak się pamiątek świętych dotyka. Jak pan myśli? co?...

— Zapewne!... — odparł Klicki — ale tak źie znów nie jest... I my pamiętamy o Wawelu.

— No... jeszcze by też! — oburknął się Montwiłł — może chcecie, zapomniawszy zupełnie... co?

Chwilę milczeli. Rozmowa jednak zawiązana widocznie już była na drodze gładkiego toczenia się. Montwiłł też niebawem podjął:

— I dlatego my do was z opresyi, jak na odpust, wy znów chyba nie macie co oglądać u nas?...

Pan naprzykład... co pan odniósł za korzyść z bytności w tej z przeproszeniem pomyjnej jamie?

Klicki nagle wybuchnął:

— Jaką korzyść?... Ależ panie łaskawy, olbrzymią. Co ja przez te parę dni widziałem... o czem się dowodnie przekonałem! Nikt by nie uwierzył!

— O czem pan mówi?

— Ano o gospodarce rządowej w „przywiślańskich miasteczkach“... To rozbój... to bezwstydne obdzieranie ludzi na gładkiej drodze... to ucisk drobiazgowy, który najsilniejsze charaktery może złamać.

Pod rzęsami u Montwiłła rozpaliły się źrenice.

— Tak, tak... — poparł — ja sam zauważył. Te policmajstry to chyba na to ustanowione, aby oczy zamknęli na wszystko zło, co się dzieje.

— Oczy zamknęli? — roześmiał się gorżko Klicki — może oczy mają zamknięte, ale za to łapy na kubany szeroko otwarte.

— Tak! tak!...

— Taki Tagiejew, to jak się tu mówi „wziatocznik“ pierwszego rzędu. Drze skórę, łupi za każdy oddech niemal, a pomaga mu cała szajka jego zbirów. Ja panu opowiem tylko jeden fakt...

Montwiłł aż się przysunął.

— No... opowiadaj kochanieńki!

Cygarami potraktował Klickiego, ten wpadł w ferwor i opowiedział mu nadzwyczaj szczegółowo cały fakt Barłamowa ze złodziejami, następnie historyę szyldu Horskiego, dalej przyczynę znęcania się Tagiejewa nad Rozą Montag.

Montwiłł słuchał z ogromną uwagą, w ręce plaskał, wydawał okrzyki. Gdy Klicki skończył, Montwiłł zapytał:

— Toś widział dobrodzieju, jak się ten złodziej z policyantem pieniędzmi dzielił?

— Widziałem.

— No... a ten szyld... Toś słyszał, że Tagiejew chce sto rubli za jego przemianę?

— Słyszałem.

— No... no...

— I za to wszystko s t a s z c z y l i mnie dziś do celaryi i kazali natychmiast wyjechać.

— Kto panu to zajawił?

— Markowskij się nazywa. Jakaś kreatura Tagiejewa.

— No... to oni do tego nie mieli prawa.

— Tak i ja myślałem, ale, że ja chcę powrócić i nieraz do miasteczka, więc chodziło mi o to, aby z nimi nie zadzierać.

Montwiłł się zadziwił.

— Pan chce powrócić? po co to panu?... To taka szkaradna dziura.

Klicki się uśmiechnął.

— Hm... To już moja tajemnica.

— Sercowa?

— Może...

Montwiłł westchnął.

— Oj młodość... młodość!...

Zastanowił się, a potem jakby od niechcenia rzucił:

— Pan poznał w Zakopanem tę panienkę... Horską, zdaje mi się.

Klicki zmieszał się, ale szczerze odparł:

— Tak. W Zakopanem. Skąd szanowny pan o tem wie?

— Panie łaskawy, mam znajomych w miasteczku. Pantoflowa poczta... To śliczna panienka, a jej brat... to także dzielny chłopak?!

— O tak!

— Pan go dopiero tu poznał?

— Tak.

— On był u pana parę razy w hotelu.

— Zaprzyjaźniliśmy się. Chłopak ogromnie inteligentny, ciekawy...

— Ciekawy?... pewnie bada, rezonuje... pali mu się w głowie?

— O nie! on bardzo rozumnie na życie się zapatruje...

— Refleksye...

— Może. Teraźniejsza młodzież inna, niż poprzednia generacya.

— No... daruj pan i oni zapalni i oni się łudzą, konspirują... co?... tak jak my w młodości.

Klicki ramionami wzruszył.

— Nie konspirowałem, a co do nich wiem jeszcze nie wiele.

— No... ale i z tego n i e w i e l e może pan sobie już coś wysnuć. Naprzykład taki młody Horski. Z tego, co on panu się zwierzył, może pan już przecież wyrobić sobie o nim jakieś zdanie. Co pan o nim myśli?...

Klickiemu zrobiło się jakoś dziwnie. Było to uczucie, z którego on sobie nie mógł zdać sprawy.

Montwiłł nacierał na niego i dominował nad nim. Przytem z pod rzęs przysłoniętych magnetyzował go niejako wzrokiem. Klicki niepewny i zmieszany odsunął się od okna.

— Wieje! — wyrzekł.

Montwiłł natychmiast zmienił sposób postępowawania.

— Widzi pan kochanieńki... ja ot nie przez ciekawość, ale z potrzeby radbym wiedzieć — ciągnął dobrodusznie — mam także brata w szkołach i zawsze równam charaktery młodzieży, aby jaki pożytek dla siebie z tego wysnuć.

Pociąg pędził, szczękając łańcuchami. Szare, smutne, płaskie skiby odwalały się, zlewając się na horyzoncie z równie szarem niebem. Gdzieniegdzie sterczała rózga samotnego drzewa. I znów płaszczyzna, pełna troski i melancholii z lśniącą gdzieniegdzie tafelką tającej z lodu kałuży.

— Prędko pan znów tu będzie? — zapytał wreszcie Montwiłł.

— Za dwa tygodnie... o ile pan Tagiejew mnie natychmiast nie wytransportuje... A kto wie, może nawet na granicy mnie nie puszczą.

Montwiłł się uśmiechnął.

— Puszczą... ja to panu zrobię, że puszczą.

— Pan?

— Ja!... Znam doskonale kapitana żandarmeryi na granicy. Bardzo gładki człowiek... Przedstawię pana.

Klicki się uśmiechnął.

— Wolałbym nie.

— Ale cóż znowu! Toć on, ile razy grają Kościuszkę u was, albo jaką inną patryotyczną sztukę, to jeździ do Krakowa i ogromnie się zachwyca. Powiadam panu, bardzo gładki człowiek. Skoro się pan z nim pozna, to pan zawsze granicę przejedzie i nikt panu nie śmie nic zrobić.

— Ha... skoro tak!...

— Tak, tak, panie drogi... Tutaj nie można inaczej. Gdzie nie można przeleźć, tam trzeba podleźć... Bieda!..

Westchnął i zaszył się w kąt. Nagle porwał się.

— Dojeżdżamy!...

Rzeczywiście... szare, brzydkie cielsko budynków granicznych, fatalnie reprezentujących w oczach Europy wjazd do kraju białego cara, widniały po stronie toru. Wicher wiosenny hulał po małym ogródku stacyjnym, gnąc krzaki bzu i szarpiąc słomą, w którą owinięto róże.

Montwiłł powstał i wyszedł na kurytarz. Gdy rozległy się ciężkie kroki żandarmów, odbierających paszporty, Montwiłł na żandarmów skinął nieznacznie i szybko zesunął się z wagonu.

Nie widział tego Klicki, który był zajęty wydobywaniem z portfelu swego paszportu. Gdy wreszcie, uporawszy się, wysiadł na platformę, Montwiłła nie było nigdzie widać. Natomiast zdawało mu się, że widzi znikającego w sieni Markowskiego.

— A to łotry! — pomyślał wzburzony — nie wierzyli mi i ten pies aż tu za mną przyjechał. Mam ochotę zrobić mu na złość i pojechać z powrotem.

Montwiłł powiedział, że policya nie miała prawa mnie wytransportować. Należałoby się dowiedzieć.

Wszedł wzburzony do restauracyi i usiadł przy stole. Teraz dokładnie widział, że Markowskij chodził po peronie i ciągle zazierał w okna restauracyi. Widocznie pilnował Klickiego.

— Czekaj małpo!... — myślał — już ja cię urządzę. Żeby gdzie tego Montwiłła znaleźć, mógłbym się go zapytać o bliższe szczegóły i na czem opiera twierdzenie, że policya nie miała prawa mnie transportować.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Montwiłł. Przez chwilę udał, że nie dostrzega Klickiego, popatrzył uważnie w okno, uśmiechnął się i zbliżył się wreszcie do stołu.

— Pan widzi, kto tam chodzi? — zapytał Klickiego przyciszonym głosem.

— Widzę... i dyabli mnie biorą... Mam ochotę wrócić do miasteczka.

— Po co?... Właśnie odjechać, a za dwa tygodnie wrócić. O n i zanim się dowiedzą, że ktoś przyjechał, zanim wezmą paszporty z hotelu, to pan może się ze znajomymi zobaczyć. Ot ja byłem dwa dni i oni dopiero się zabrali, aby o mnie s p r a w k i ściągać. A ja już dziś wyjechał. Tylko niech pan czeka, my tego Markowskiego zaraz weźmiemy w obroty.

— Jakto... m y?

— Ach, Boże mój! Ja i mój znajomy kapitan żandarmeryi; on bardzo policyi nie lubi. Ja jemu o panu mówiłem... on rad się z panem pozna. To nadzwyczajny człowiek. O... o... patrz pan!

Przez szybę widać było, jak do Markowskiego podszedł żandarm i coś przemówił. Markowskij się zawachał, rzucił okiem w głąb restauracyi, jakby dla upewnienia się, czy Klicki siedzi na swojem miejscu, i wreszcie za żandarmem poszedł.

— Kapitan go poprosił do siebie! — wyrzekł, śmiejąc się Montwiłł — dyabli go muszą brać.

Wpadł w doskonały humor i na przechodzącego kelnera zawołał:

— No wódeczki... dwie czyste i coś na przekąskę... dobrze?

— Kiedy... ja wódki nie piję...

— Co? jakże to?... Wstyd... do stanu małżeńskiego się zabiera, a babskie życie pędzi. Wstyd... Dwie wódki!... a pod strych lej, szelmo, bo inaczej nie dam kopiejki na czaj.

Pod melancholijnym, zapruszonym suto bukietem perkalowych róż, sterczących w wazie od szampańskiego wina, kelner postawił na tacy dwa grube kieliszki i wódkę w nie lać zaczął.

— Za nasze!... — zawołał Montwiłł; porwał kieliszek i trącił się z Klickim, który mimowoli się rozchmurzył i swój kieliszek wypił.

XIX.

W lisiej jamie. — Hordyj. — Kto sprytniejszy? — Żandarm i policyant biorą się za bary. — Markowskij w pułapce. — Za Klickim idzie szary cień.

Kapitan Hordyj usiłował swej fizyonomii nadać jak najsłodszy wyraz, gotując się na przyjęcie Markowskiego.

Stał oparty o wysokie staroświeckie biurko, ustawione w kącie kancelaryi. Nad biurkiem błyszczała ikona i migotała lampeczka. Story okna, wychodzącego na platformę, przysłonięte były do połowy i pogrążały kancelaryę w półcieniu. Pod ścianą, naprzeciw okna, stała elegancka, pokryta pluszem sofa, a na niej rzucony leżał pled i poduszka irchowa. Opodał na ziemi widniał tłumoczek z ciemnego brązowego płótna, który Montwiłł przywiózł ze sobą. Laska Montwiłła również stała w kącie. Kapitan Hordyj dostrzegł ją, podszedł szybko i wrzucił laskę za sofę. W tej samej chwili zapukano do drzwi kancelaryi i wszedł Markowskij.

Zanim przemówili do siebie, policyant i żandarm zmierzyli się wzrokiem. Obaj starali się ukryć w sobie to, co nimi rządziło.

Prawie równocześnie wymówili:

— Z d r a s t w u j t i e!

I umilkli na chwilę, jakby zbierali siły do walki.

— A... w y t u t p a d i e ł u? — zapytał Hordyj, starając się o ile możności złagodzić ostry ton głosu, który wśrubowywał się po prostu w ucho słuchacza.

— D a, p a d i e ł u! — odparł Markowskij.

— Wy kogo tu przywieźli? — zapytał po rosyjsku kapitan, patrząc bystro w oczy Markowskiemu.

Markowskij spostrzegł się, iż nie zda się na nic przeczyć, ani kręcić. Żandarmerya zdawała się być doskonale poinformowana.

— Tak... — odparł twardo — ja przyjechałem nie z kimś, ale za kimś, patrzeć, czy on do Krakowa powraca.

Hordyj ramionami wzruszył.

— Dlaczego to tak... Siergieju Aleksandrowiczu, dlaczego? Cóż ten jakiś zawinił?... Macie jakie poszlaki? Ha!...

Markowskij się zmieszał.

Nie był na to przygotowany. Sądził, że Klicki przejedzie spokojnie granicę, a jego obecność da się wytłumaczyć chęcią odwiedzenia znajomych urzędników na t a m o ż n i. Tymczasem szyki się psuły. Żandarmerya wmieszała się, uprzedzona, czort wie przez kogo. Trudno było Hordemu wytłumaczyć, iż on, Markowskij, z polecenia Tagiejewa, zmusza Klickiego do opuszczenia miasteczka, gdyż los pozwolił Klickiemu być świadkiem kompromitujących policyę faktów.

Tymczasem kapitan Hordyj czekał na odpowiedź.

Wyprostował się w swym granatowym surducie, podbitym futerkiem i przybrał minę dygnitarza, oczekującego raportu od swego podwładnego.

Nigdy może ta walka żandarmeryi z policyą, która wre na terytoryum zabranego kraju, nie ujawniła się z taką mocą. Żandarmerya, poniewierana przez armię, nawzajem poniewierała policyę. Wynosiła się po nad stan policyjny, mając się za coś znamienitszego w hierarchii państwowej. W gruncie rzeczy spełniano jedne funkcye, teroryzując się i walcząc podjazdami.

Policya walczyła drobiazgami i sprytem, żandarmerya pokonywała ją siłą i wytrawnością.

Markowskij w tej chwili czuł, że przewaga jest po stronie Hordego i zbierał wszelkie władze umysłowe, aby się wyplątać z matni. Czuł, że tak Tagiejewowi jak i jemu żandarmerya, której obowiązkiem było śledzić policyę, zaczyna następować na pięty. Należało zmylić tropy, aby czas jakiś chociaż grasować bezkarnie.

— No... i cóż? Dowiem się o co chodzi? — pytał Hordyj.

Markowskij ramionami ruszył.

— Ja wiem mało — wyrzekł — to Iwan Iwanowicz Tagiejew wydał mi rozkaz przypilnowania, aby Klicki nie tylko miasto, ale i imperyę opuścił. Dlaczego? Mnie zdaje się, że Klicki politycznie jest podejrzany i pan policmajster nie chciał, aby się po mieście szastał.

Hordyj ironicznie oko przymrużył.

— Czy wy nie wiecie, co w takich razach wy

powinni zrobić? Dać znać do gubernii — a my bylibyśmy się ptaszkiem zajęli.

— Tak... ja to wiem, ale to Iwan Iwanowicz tak postanowił... i...

— Nu... kiedy on polityczny, to już pozwólcie... my się nim zajmiemy.

Na Markowskiego pot wystąpił. Właśnie chodziło mu o to, aby Klicki nie porozumiał się z żandarmeryą. Wyśpiewać mógł wszystko i stać się niebezpiecznym świadkiem.

— Ja nie wiem. To rzecz Iwana Iwanowicza Tagiejewa! — mruknął, zwalając wszystko na nieobecnego zwierzchnika.

— Nu... ładno! My się Klickim zajmiemy, a z Iwanem Iwanowiczem się zniesiemy.

— Pozwólcie!

— Co?... — przerwał ostro Hordyj — polityczne przestępstwa... jeśli wy ich rzeczywiście wytropili, to już nasze dieło, a szczególniej co do przejazdu przez granicę, to już chyba ja postanowię.

Zmienił ton, narzucił szynel i z kurtoazyą do Markowskiego się zwrócił.

— Wy pozwólcie... ja na chwilkę na peron!...

Wyszedł szybko i ku restauracyi się skierował.

Markowskij pozostał sam i z niemej wściekłości gryzł palce. Nie mógł nic przeciw naturalnemu biegowi rzeczy. Czuł, że sami z Tagiejewem pokpili całą sprawę. Bez ich nacisku byłby Klicki sam odjechał, a Tagiejew może wpływami swymi byłby potem wyrobił zakaz przepuszczenia go przez granicę.



— No... i cóż? Dowiem się, o co chodzi? — pytał Hordyj. (str. 277.)

Markowskij rzucił się na sofę i plusz paznogciami drapał.

— Czortowaja mat'! — klął, nie wiedząc sam, do kogo się to przekleństwo sdnosi.

Tymczasem kapitan Hordyj szybko wszedł do restauracyi i do stołu, przy którym siedzieli Klicki i Montwiłł, się zbliżył.

— Nu... ja wasz serwiteur! — wyrzekł z uśmiechem, oddając zgrabny ukłon wojskowy.

Po Klickim mróz przeszedł. To zbliżenie się żandarma przejęło go jakimś zabobonnym strachem. Lecz Montwiłł serdecznie ku przybyłemu podskoczył.

— A ot... i nasz kapitan! — zawołał — kelner prędko kieliszek. A panowie pozwolą przedstawić się. Pan Klicki Władysław, artysta malarz, a to nasz dobry i miły kapitan Hordyj.

„Dobry i miły“ kapitan, skłonił się raz jeszcze i kieliszek odsunął.

— Nie piję.

— Co?...

— Nie piję — wyrzekł po polsku z rosyjskim akcentem. — To dziwne! Cóż wy tam na Litwie macie za wyobrażenie o nas. Zaraz, jak Rosyanin, to pijak.

Roześmiali się. Klicki uśmiechnął się z przymusem. Hordyj przysunął się z krzesłem i zaczął jeść kwaśny ogórek.

— Pan ma nieprzyjemności? — wyrzekł półgłosem do Klickiego.

— Trochę...

— Pan widział, że za panem przyjechał sekretarz?

— Widziałem i dla tego na złość chciałbym zaraz wrócić.

Hordyj z Montwiłłem zamienili szybkie spojrzenie.

— To niepodobna — wtrącił Montwiłł — ja radzę jechać, a za dwa tygodnie wracać.

— Tak — podparł Hordyj — to będzie najlepiej. Przez ten czas my ich zapytamy, jakie oni mają prawo pana prześladować... Oni dopuścili się bezprawia. Gdy pan będzie znów jechał do Królestwa, pan się sam u mnie na granicy zajawi, a ja tu panu wszystko ułatwię.

Klicki zadziwił się niepomiernie. Lękał się ogromnie zetknięcia z żandarmeryą. Tymczasem, ona właśnie występowała, jako opiekuńcza władza i narzucała się z uprzedzającą grzecznością.

Był tak zmieszany tem pogmatwaniem jego wyobrażeń, iż powstał i podszedł do bufetu pod pretekstem wybrania cygar, a głównie dlatego, aby na chwilę samemu pozostać.

Tymczasem Hordyj, nie podnosząc głowy, zapytał siedzącego naprzeciw Montwiłła po rosyjsku:

— On stale mieszka w Krakowie?

— Tak! — odparł Montwiłł również po rosyjsku — ma tam zakład fotograficzny.

— My tam mu przydzielimy Szarego. Już on go wytropi.

— A stąd kto za nim pojedzie?

— Paklewski... Już się ubiera i brodę goli. Za

chwilę, jak pociąg nadjedzie, będzie gotów. On go zda Szaremu.

Montwiłł pochylił się przez stół pod pozorem nabrania soli do mięsa.

— Wy już go, Piotrze Mikołajewiczu, nie pytajcie nic o to, co widział w miasteczku z policyą... Spłoszy się jeszcze i nie wróci.

Hordyj ramionami ruszył.

— Ja to wiem i bez was.

— No darujcie... ja doświadczenie mam, tak ja tylko radę swoją daję.

— Ja wiem... Może się uda podwójne sieci. On nam za świadka przeciw n i m, no i może się co wytropi, kiedy wy mówicie, że ten student u niego tak ciągle siedział.

— Pst... wraca.

Klicki wracał od bufetu z cygarami. Montwiłł przyjął go nalanem w kieliszku winem. Powoli mowa zeszła na artystyczne tory. Obaj panowie ogromnie zdawali się interesować zakładem Klickiego.

— Ja tam do was zajdę w Krakówie — roześmiał się Hordyj — a wy mnie sfotografujecie.

— Proszę bardzo... — wyrzekł Klicki, nie bardzo zachwycony tą propozycyą.

Rozległ się gwizd. Portyer monotonnym głosem, złą wymową rosyjską, wywoływać zaczął odchodzące pociągi.

— Wam czas w drogę! — przemówił Hordyj — a mnie do obowiązków.

Powstali wszyscy.

— A pan? — zapytał Klicki Montwiłła.

— Ja jadę następnym pociągiem... Mam tu znajomego, chcę się z nim zobaczyć.

W tej chwili do bufetu wszedł mężczyzna niski, krępy, ale barczysty, świeżo ogolony, ubrany w porządne watowane palto niemodnego kroju i zbyt duży kapelusz. Nie patrząc na nikogo, przystąpił do ławki i usiadł na niej apatycznie, z wyrazem pewnego znudzenia i obojętności.

— Tak bądźcie zdrowi panie Klicki! — szybko i bardzo głośno przemawiał Hordyj, ściskając rękę Klickiego i prowadząc go w stronę ławki, na której usadowił się ów jegomość — proszę! niech pan Klicki nie zapomina, że jestem na jego usługi.

Wyszli na peron. Montwiłł szedł z Klickim. Deszcz dobry mżył i dachy pociągów szkliły się błękitnawym stalowym blaskiem.

Pasażerowie wsiadali. Dokoła pociągów szarzały żandarmskie szynele. Hordyj udał się do kancelaryi, z której niebawem wyszedł.

Klicki pożegnał się z Montwiłłem uściśnieniem ręki. Gdy wsiadł do wagonu, uczuł, że ktoś za nim drapie się na schodki. Obejrzał się mimowoli i dostrzegł, że to jest ten sam jegomość, wygolony, który niedawno wszedł do sali restauracyjnej.

Lecz już za nimi walili się żandarmi z paszportami. Silna woń dziegciu wypełniła przedział kolejowy. Klicki odebrał swój paszport z rąk żandarma.

Gdy wszystko się uspokoiło, Klicki w okienku stanął.

Montwiłł był jeszcze na peronie i stał opodal Hordego, ale się do nie zbliżał. Kapitan przybrał minę

groźną i rzeczywiście zdawał się cały z sinej stali wykuty w swym fioletowym mundurze i takiejże czapce. Bystrem okiem wodził ciągle dokoła, aż zatrzymał wzrok na twarzy Klickiego, który mimowoli ciągle na żandarma patrzył.

Hordyj uśmiechnął się i ukłonił. Klicki mimowoli uśmiechnął się także i ukłon ten oddał. Zły był na siebie.



...że to jest ten sam jegomość, wygolony... (str. 284.)

— Uśmiecham się teraz do nich — myślał — co się ze mną dzieje!

Nagle — w ramie okna kancelaryi dostrzegł Klicki Markowskiego, który podszedł i tę wymianę uśmiechów dostrzegł.

Przygryzł usta i z pod brwi jasnych, rybie swe oczy, brzydkie, a w tej chwili pełne jadu, w twarz

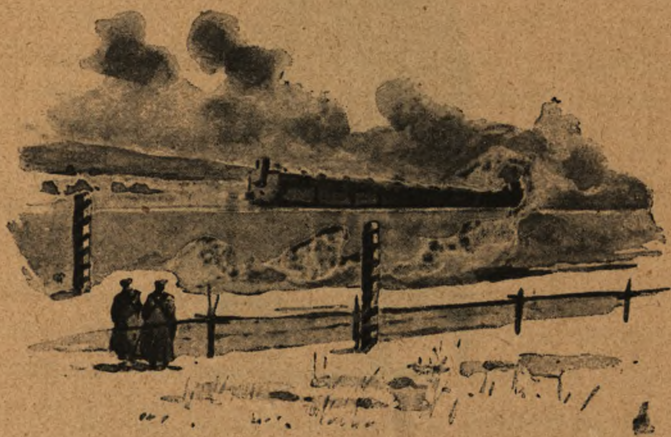
Klickiego wbił tak, jakby go chciał przeszyć niemi do głębi.

I Klicki nie wiedział, co było groźniejsze, czy ten uśmiech żandarma, czy ta groźba policyanta, którą poczuł wypromieniowaną w jego kierunku.

I jedno i drugie ścięło mu krew w żyłach.

Pociąg ruszył.

I to było ostatnie wrażenie, które Klicki ze swej podróży do Królestwa unosił.



KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

CZĘŚĆ I.

❃ ✽ ❃